

Ali-Baba



JOCelyn + KESTER BRENT

PRZECIWI SOBIE SAMYM

CEYTELNIK

JOCELYN I KESTER BRENT

PRZECIW SOBIE SAMYM



CZYTELNIK * WARSZAWA * 1972

Prolog

Wbrew pogłoskom, które sam rozpuszczał wśród znajomych, James Brent był człowiekiem systematycznym. Pracował codziennie, z wyjątkiem niedziel, świąt i wakacji, a także półoficjalnych wyjazdów śledczych, w których od czasu do czasu brał udział na szczególnie gorące zaproszenie Scotland Yardu. W pozostałe dni między dziesiątą rano i drugą trzydzieści po południu oraz między dziesiątą wieczorem i północą siedział przy swoim biurku i pisał. Wynikiem tego przyzwyczajenia było już dwadzieścia kilka powieści kryminalnych, napisanych zwięźle i precyzyjnie, opatrzonych zawsze zaskakującym, choć jakże logicznym finałem. Książki te oraz praktycznie sprawdzone talenty detektywistyczne zyskały Brentowi zasłużoną sławę. Przeprowadzona niedawno przez jeden poczytniejszych magazynów ankieta na najpopularniejszego autora w dziedzinie twórczości sensacyjno-kryminalnej przyniosła mu zaszczytne drugie miejsce, zaraz po pewnej starszej pani, o której od lat mówi się, że jest „królową zbrodni” i której na razie nikt na świecie nie

jest w stanie zdetronizować. Dzień dziesiątego kwietnia różnił się tym od innych, że przypadały właśnie urodziny Jamesa. On sam nie uważał oczywiście, aby było to wielkie święto, i tego przedpołudnia pracował jak zwykle, mimo uroczystego nastroju swej żony Anny, która z tegoż to właśnie tytułu zapowiadała na obiad jakiś zupełnie nadzwyczajny pudding. Atrakcją tą zaciekawiony i podniecony był jednak nie tyle solenizant, co mały George, sześciolatek synek Brentów. Właśnie zadawał matce już chyba tysiączne pytanie na temat okolicznościowego deseru. Brent napisał jeszcze jedno zdanie i zamyślił się. W perspektywie miał teraz przedstawienie rozmowy między detektywem, który nic nie wiedział na pewno, ale wszystkiego się domyślał, i mordercą, który wiedział wszystko, ale do niczego nie chciał się przyznać. Była to najtrudniejsza, a zarazem najważniejsza część programu. Przestępcy z książek Brenta byli zawsze ludźmi szalenie inteligentnymi i wyposażonymi w szczególnie odporny system nerwowy, toteż wyprowadzenie ich w pole, którego musiał dokonać detektyw, bynajmniej nie należało do łatwości. James podniósł się od maszyny i stanął przy oknie. Postronny obserwator byłby przekonany, że z napiętą uwagą przygląda się on ścieżce prowadzącej od furtki środkiem niedużego, po zimie jeszcze szarego ogródka. Jednak w rzeczywistości Brent był tak pochłonięty rozgrywającą się w jego wyobraźni walką dwóch charakterów, że żadne obrazy realnego świata chwilowo do niego nie docierały. Dlatego wcale nie zauważył wysokiego, młodego człowieka w mundurze posłańca z kwiaciarni, który z owiniętym w celofan bukietem i jakąś sporą, brązową paczką w ręce szybko przeszedł ścieżką kierując się do drzwi. Nie usłyszał również energicznego dzwonka, jaki rozległ się w mieszkaniu chwilę potem. Rozmyślenia jego przerwała dopiero Anna, która weszła do pokoju niosąc kwiaty i paczkę.

- Patrz, Jim, jakie prześliczne żonkile! Przed chwilą przyniesiono je z kwiaciarni. Posłaniec dał mi też ten pakunek. Domyślałam się, że musi tam być coś jeszcze oprócz biletu wizytowego. James ze zdumieniem popatrzył na otrzymane kwiaty. Nie był przecież ani piękną kobietą, ani znanym

aktorem, ani też sędziwym profesorem medycyny. Zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego ktoś mu nagle zrobił tak niezwykle prezent. Tyle kwiatów! Przeczytał adres wypisany na grubej, brązowej kopercie. Nie, nie było żadnej pomyłki. Zgadzało się zarówno imię i nazwisko, jak i dzielnica Londynu wraz z nazwą ulicy i numerem domu, w którym nikt inny poza Brentami nie mieszkał. Zaintrygowany coraz bardziej, rozciął kopertę srebrnym nożem do papieru, otrzymanym niegdyś w prezencie od swego serdecznego i jedyne go przyjaciela, nadinspektora Scotland Yardu, Stanleya Kevela. Wewnątrz znajdował się jakiś maszynopis oprawiony w tekturową okładkę. Brent otworzył go i zobaczył, że na pierwszej stronie było kilka odręcznie napisanych zdań:

Drogi Stryju!

W dniu urodzin życzymy Ci wszystkiego najlepszego i przesyłamy niespodziankę, którą z myślą o Tobie przygotowaliśmy przez kilkanaście ostatnich tygodni. Wymyśliliśmy zagadkę kryminalną, którą, naszym zdaniem, Ty rozwikłałbyś najlepiej. Dla żartu postanowiliśmy ją opisać, wyobrażając sobie tok postępowania, jaki przypuszczalnie byś przyjął przy jej rozwiązywaniu. Ponieważ staraliśmy się przyjąć sposób opisu pod wieloma względami podobny do tego, jaki stosujesz w swoich, jakże poczytnych książkach, więc nie tylko uczyniliśmy Cię bohaterem powstałej w ten sposób powieści, ale również osobą, której, z wyrazami szacunku, dedykujemy owoc naszego eksperymentu.

Jocelyn i Kester

Solenizant zdumionym wzrokiem wpatrywał się w przeczytany tekst. Przewrócił kartkę. U góry znajdowały się nazwiska autorów, zaś niżej tytuł powieści i szekspirowskie motto. Pierwszy raz w swoim życiu James Brent miał przeczytać książkę o sobie, która nie wyszła spod jego pióra.

JOCELYN I KESTER BRENT
PRZECIW SOBIE SAMYM

„... Wy wszyscy, których wytępiła
Niesprawiedliwość podstępna i zła -
Jeśli wasz gniewny, obrażony duch
Przez chmury patrzy na obecną chwilę -
O, drwijcie mściwie z mojego upadku!...
... Życzyłem sobie, by właśnie ten dzień
Był dla mnie kresem ziemskiego żywota...
... I oto teraz wszechwidzący Bóg,
Z którego ongi sobie podrwiwałem,
Przeciw mnie zwrócił me obłudne prośby,
Dał mi naprawdę, o com żartem prosił!
Tak z woli Boga źli ludzie zwracają
Ostrze swych mieczów przeciw sobie samym.”

William Shakespeare, Król Ryszard Trzeci,
W tłumaczeniu Romana Brandstaettera.

Rozdział pierwszy NA TORZE W LIVELANDS

Wyścigi samochodowe w Livelands, w hrabstwie Surrey, miały już pięćdziesięcioletnią tradycję. Pierwszy raz zorganizowano je w roku tysiąc dziewięćset ósmym, zaraz po wybudowaniu bazaltowego toru, który w tamtych czasach uchodził za szczyt trudności i nowoczesności.

Pięciomilowa trasa tworząca zamknięty wielobok o pięciu ostrych zakrętach i dwóch stromych wzniesieniach nakazywała kierowcom zachowanie maksymalnej uwagi. Wilgotny angielski klimat dodatkowo podnosił trudność konkurencji - szybka jazda po zlewanej deszczem bazaltowej kostce wymagała szczególnych umiejętności.

Toteż w początkach swej kariery wyścigi w Livelands zyskały opinię ambitnych i niebezpiecznych. Konkurencja ta rozgrywana rok rocznie w końcu września wymagała przebycia pięćdziesięciu okrążeń trasy. W pamiątkowej księdze toru figuruje wiele znakomitych nazwisk sportu automobilowego, wśród nich słynnego „mistrza deszczu” Caccioli, kilkakrotnego zwycięzcy w latach dwudziestych.

Z biegiem czasu błędnie gwiazda Livelands. Na kontynencie powstają nowe tory wyścigowe - szybsze, trudniejsze, nowocześniejsze. Słynni mistrzowie kierownicy zwracają swą uwagę ku Monte Carlo, Monzy, Nurburgring, a tor livelandzki staje się z roku na rok bardziej prowincjonalny. Wreszcie, gdy wyścig o Grand Prix Anglii przenosi się do Aintree i Silverstone, opinia o drugorzędności starego toru ugruntowuje się na dobre. Impreza samochodowa w Livelands nie chciała jednak umrzeć śmiercią naturalną i lokalni entuzjaści tracili sporo czasu i energii na próby przywrócenia jej dawnej świetności.

Właśnie nadarzała się znakomita okazja - pięćdziesięciolecie toru. Organizatorzy zwrócili się więc do wszystkich bardziej znanych brytyjskich kierowców, aby zechcieli wziąć udział w jubileuszowych wyścigach. Po zapewnieniu silnego wsparcia

finansowego przez dwie zamożne gazety lokalne i po dłuższych pertraktacjach z właścicielami stajni wyścigowych i samymi zawodnikami, impreza jubileuszowa zapowiadała się okazale. Swoją udział zgłosiło trzydziestu kilku kierowców, spośród których aż dziewięciu znanych było na wielu torach europejskich i amerykańskich. Szczególnie dwa nazwiska budziły żywe zainteresowanie publiczności - Christophera Hodgarthy, wytrawnego kierowcy o renomie ustalonej już od lat kilkunastu, i znacznie od niego młodszego Michaela Thornesa, który w ostatnich czasach zaczął zyskiwać opinię najlepszego angielskiego zawodnika. Thornes, pochodzący z Surrey, zapowiedział swój udział jako jeden z pierwszych, Hodgarthy z Sussex - jako jeden z ostatnich.

Od tego czasu aż do chwili startu rubryki sportowe gazet obu hrabstw zajmowały się głównie stawianiem prognoz co do wyniku wyścigów. W chmurny niedzielny poranek 21 września 1958 roku, mimo niezachęcającej pogody trybuny dla widzów wypełniło około stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi, z których z pewnością co najmniej trzy czwarte stanowili mieszkańcy Surrey i Sussex. Sekretarz wyścigów, a zarazem ich główny entuzjasta, sir Samuel Crossford z zadowoleniem obserwował tłumy, jakich Livelands nie widziało od bardzo wielu lat. Może to renesans toru? Na trybunach i w parku maszyn, przy boksach i na stanowisku kontroli wyścigu panowała specyficzna atmosfera gotowości i podniecenia.

Cały sztab służby organizacyjnej i pomocniczej był w pełnym ruchu. Sędziowie zajmowali wyznaczone stanowiska kontrolne. Prasa, radio i telewizja zaczynały pracę sprawozdawczą. Zawodnicy słuchali ostatnich wskazówek swych trenerów i opiekunów.

„Zupełnie jak na prawdziwych wyścigach Grand Prix!” - pomyślał z dumą sir Samuel. Punktualnie o dziewiątej pierwsze maszyny wystrzeliły z pozycji startowych. Jubileusz w Livelands został rozpoczęty.

Co chwilę na trasę wyskakiwały nowe samochody. W ciągu kilkunastu sekund wszyscy zawodnicy znaleźli się na torze. Na wąskiej bieżni zrobiło się nagle ciasno.

Mieszkańcy Livelands i okolic niecierpliwie wypatrują kasku z białym otokiem, w którym jeździ ich faworyt, Mike Thornes. Jest! Siedzi za kierownicą wyścigowej Ferrari. Tuż obok Christopher Hodgarthy na smukłej angielskiej maszynie, Vanwall. Jadą łeb w łeb. Od razu widać, że walka będzie tu zażarta. Ale inni zawodnicy też nie każą na siebie czekać. Tempo jest ostre. Trochę zbyt ostre, jak na sfatygowaną, wymagającą już generalnego remontu nawierzchnię. Dziewięta pięćdziesiąt. Zaczyna padać drobny, ale ostry jesienny deszcz.

W ciągu minuty tor robi się niebezpiecznie śliski. Średnia prędkość nieco maleje, a zwarta grupa samochodów rozwija się w ruchomą, pulsującą wstęgę. Ale po kilku chwilach kierowcy oswiają się z deszczem i znów tempo wzrasta. Młody Mac Lane, debiutant tegorocznego sezonu, przyśpiesza chcąc wyprzedzić jadącego tuż przed nim Gordona. Zbyt gwałtownie. Maszyna Szkota wpada w poślizg i uderza w samochód rywala. To pierwsza kraksa. Na szczęście kończy się na niezbyt groźnych obrażeniach. Dziesiąta dwadzieścia pięć. Deszcz leje już jak z cebra, ale publiczność wyekwipowana w parasole i płaszcze przeciwdeszczowe dzielnie trwa na stanowiskach. Wyścig jest krótki - za godzinę będzie już wiadomo, kto wygrał. Wszyscy czekają na zwycięzcę popijając gorącą herbatę.

Tymczasem w czołówce bez zmian. Hodgarthy i Thornes jadą znakomicie - bardzo równo i spokojnie. Dziesiąta pięćdziesiąt jeden. Deszcz nie ustaje. Chris Hodgarthy i Milce Thornes równo wychodzą z wirażu, ale tuż zaraz, na prostej, maszyna Mike'a wysuwa się na czoło przy gorącym dopingu miejscowej publiczności. Dziesiąta pięćdziesiąt trzy. Odległość między Thornesem a Hodgarthy'm zwiększa się już do dziesięciu jardów. Entuzjaści zrywają sobie gardła skandując nazwisko lidera. Dziesiąta pięćdziesiąt siedem. Mike Thornes nie zagrożony zbliża się do ostrego zakrętu. Zwalnia. bierze wiraż lekko i znów przyśpiesza wyskoczywszy na prostą.

Chwilę potem zbliża się do tego punktu Christopher Hodgarthy. I on dopingowany jest przez swych zwolenników. Ale czemu wcale nie zwalnia? Czyżby awaria układu hamulcowego? Zielony Vanwall jak bomba wpada w ostry

wiraż i w ułamku sekundy wali się na barierę ochronną. Mordercze kilkunastoyardowe salto i bezkształtna już masa spada na zewnętrzną stronę toru, na szczęście z dala od trybun. Zamarła nagle publiczność słyszy łoskot walącego się żelastwa, eksplozję zbiorników paliwa i niemal jednocześnie przeciągły jęk ambulansu sanitarnego, zdążającego w stronę nieruchomego ludzkiego kształtu na torze. Ale wszelka pomoc jest już zbyt późna. Christopher Hodgarthy nie żyje.

Musiał nie dopiąć kasku.

Zginął natychmiast uderzywszy gołą głową o bazalt. Miał lat czterdzieści dwa, z czego połowę spędził za kierownicą. W ostatnich miesiącach nieraz mówił, że chce już wycofać się z czynnego życia sportowego.

Nie zdążył.

James Brent podniósł się ze swojego miejsca na trybunie. Lubił wprawdzie młodego Thornesa, ale jego prawdziwym faworytem był Christopher Hodgarthy. Ta przypadkowa śmierć zrobiła na Jamesie silne wrażenie, z którego chciał się otrząsnąć.

Szybko przesuwał się ku wyjściu, nie zwracając uwagi na siedzących jeszcze w ławkach ludzi. „Jakże głupi wypadek! Co z tymi hamulcami?” - myślał mimowolnie. Nie mógł jednak przypuszczać, że minie dużo czasu, zanim dzisiejsza tragedia stanie się przedmiotem jego dociekań.

Rozdział drugi PO DZIESIĘCIU LATACH

Kiedy James Brent otworzył oczy tego lipcowego ranka 1968 roku, zobaczył stojącą nad nim kompletnie już ubraną Annę, która śmiała się potrząsając lekko jego ramieniem. Mówiła bardzo prędko coś, czego jej walczący ze snem mąż zupełnie nie mógł zrozumieć.

- O czym właściwie mówisz, Anno? - zapytał wreszcie z pewnym wysiłkiem.

- O śniadaniu - odparła konkretnie i stanowczo. - George i ja

jesteśmy już dawno gotowi, a ty tymczasem spisz sobie nadal w najlepsze. Przecież za trzy kwadranse przyjeżdża Lucy!

- Twoja siostra ma nieco denerwujący zwyczaj przychodzenia do nas o najdziwniejszych porach - westchnął Brent.

Anna spojrzała na męża z wyrzutem.

- Trochę przesadzasz, Jim. Lucy umówiła się ze mną na dziewiątą trzydzieści. To jest chyba zupełnie normalna pora dnia i, co ważniejsze, dostosowana do godziny odjazdu promu. To bardzo ładnie ze strony Lucy, że zdecydowała się podjechać po małego, zamiast kazać mi go wieźć do niej na drugi kraniec miasta. James Brent ziewnął szeroko i uniósłszy się na łokciu. popatrzył na tarczę swego niezawodnego zegarka. Rzeczywiście, była za piętnaście dziewiąta. - Przepraszam cię, moja droga - powiedział nieco zmieszany. - Kiedy mnie obudziłaś, sądziłem, że jest najdalej szósta rano i zupełnie nie mogłem zrozumieć, o co ci właściwie chodzi. Oczywiście zaspąłem przez tę książkę. Postanowiłem jednak skończyć wczoraj ostatni rozdział i w związku z tym pisałem do świtu...

- I co? Skończyłeś? - Anna wyraźnie się zainteresowała. - Tak. Dzisiaj jeszcze przejrzę całość i jutro odeślę wszystko wydawcy.

- W takim razie my również będziemy mogli wybrać się na małe wakacje? - spojrzała pytająco na męża.

Brent pokiwał głową z uśmiechem.

- Myślę, że raczej tak.

- Och, to wspaniale! Jeszcze dzisiaj zastanowię się nad planami wyjazdu - powiedziała radośnie Anna. - Jednak najpierw wyekspediuję nasze dziecko. Pośpiesz się, Jim, bo inaczej Lucy zastanie cię w łóżku.

- Wykluczone! Za kwadranś usiądę z wami do stołu.

W dość odległych od dnia dzisiejszego czasach James Brent posiadał wiele cennych, przeważnie nie używanych obecnie umiejętności. Jedną z nich była zdolność dokonywania całkowitej toalety porannej w ciągu zaledwie dziesięciu minut. Niekiedy popisywał się tym przed swą małżonką, która na ten cel traciła szczególnie wiele czasu. Lubił, jak Anna dziwiła się. I tym razem z niedowierzaniem spojrzała na niego, gdy

punktualnie o dziewiątej, ogolony, wykąpany i ubrany wszedł do jadalni.

Na jego widok mały George poderwał się z krzesła z okrzykiem.

- Tatusiu! Wiesz, ja zaraz wyjeżdżam! Ciocia Lucy już dzwoniła i pytała, czy jestem gotowy... Bardzo lubię ciocię Lucy! Powiedziała, że mnie nauczy pływać i że będziemy jeździć motorówką... I jeszcze, że cały czas będziemy tam mówić po francusku! Tatusiu, czy Marsylia jest taka jak Londyn?

- Nie, trochę mniejsza i w ogóle zupełnie inna. Sam zobaczysz. Ale na razie proszę cię, George, usiądź spokojnie na swoim miejscu i zjedz tapiokę, bo inaczej nigdzie nie pojedziesz.

Dziecko spojrzało na ojca trochę spłoszone i posłusznie, choć bez wielkiego entuzjazmu, zabrało się do jedzenia. James rzucił żonie krótkie porozumiewawcze spojrzenie i uśmiechnąwszy się lekko, usiadł przy stole.

Po chwili do pokoju weszła dziewczyna w białym fartuszkach na kolorowej, letniej sukni. W ręce niosła tacę, na której stała patelnia z dymiącą jajecznicą, a obok zawinięte w serwetkę grzanki.

- Dziękuję, Maggie - powiedział James, kiedy pokojówka postawiła przed nim smakowicie wyglądające śniadanie.

Poczuł głód, nagle obudzony nęcącym zapachem. Maggie zabrała opróżnioną tacę i dygnąwszy grzecznie, wyszła z pokoju. - Po dwudziestu minutach rozległ się dzwonek u drzwi. Maggie otworzyła i zaraz potem z przedpokoju dobiegł dźwięczny, wysoki głos Lucy Talcott.

- O! Jest już ciocia! - zawołał George, który do tej pory na wszelki wypadek siedział cicho jak trusia. Zerwał się z krzesła i wybiegł do przedpokoju.

Lucy, o trzy lata młodsza od Anny, uwielbiała dzieci. Będąc dotąd osobą samotną nie miała własnych, więc głównym obiektem swych zainteresowań uczyniła sześciolatniego obecnie synka swej jedynej siostry.

George w pełni akceptował ten stan rzeczy i ze swej strony darzył ciotkę wielką miłością, przyjaźnią i zaufaniem. Lucy była

jego powiernicą, doradcą i arbitrem w zdarzających się czasem sporach z matką. Wobec tak znakomitej komitywy, Brentowie już dawno zgodzili się, by ich synek co drugie wakacje spędzał z ciotką. Oboje, Lucy i George, zdawali się być tym zachwyceni. Chłopczyk z miną triumfatora wprowadził przybyłą do pokoju.

- Mamusiu, tatusiu, to my już jedziemy - oświadczył uroczyście, dla pewności trzymając Luzy za rękę.

- Halo, kochani - powiedziała młoda kobieta. - Jim, nie miej takiej osobliwej miny, bo pomyślę, że jesteś zazdrosny o względy, które mi tu okazuje wasza latorośl.

Brent rozłożył ręce gestem symbolizującym rezygnację.

- Już dawno musiałem pogodzić się z losem - powiedział. - Przecież George jest w tobie zakochany od urodzenia. Patrz tylko, jak się kurczowo trzyma, żebyś przypadkiem nie zrobiła mu kawału i nie wyjechała sama... No, chodźże tu, młodzieńcze - zwrócił się do syna. - Zanim stąd wyjedziesz, pożegnasz się chyba z rodzicami?

- Napijesz się herbaty, Lucy? - spytała Anna.

- Nie, dziękuję ci bardzo. Piłam tuż przed wyjściem. Zresztą, musimy się śpieszyć, bo jest mało czasu. Czy bagaż małego gotowy?

Anna skinęła głową pokazując stojącą przy drzwiach niedużą, kolorową walizkę.

- Tak. Tu jest komplet ubrań na wszelkie możliwe okazje, no i oczywiście wszystkie najważniejsze skarby, bez których George nigdzie by się nie ruszył... Zaraz powiem Maggie, żeby zaniosiła walizkę do samochodu.

- A to po co? Jesteśmy przecież samowystarczalni, prawda, George? - powiedziała Lucy, a gdy mały zdecydowanie kiwnął głową, dodała: - No, pożegnaj się z rodzicami i już nas nie ma.

Kiedy scena pożegnalna dobiegła końca. Anna z podejrzenie błyszczącymi oczami odprowadziła wyjeżdżających aż do samochodu. Stała patrząc, jak wsiadają. Siostra zapuściła silnik i niebieska Simca ruszyła w dół ulicy. Anna opuściła rękę, w której trzymała okolicznościową chusteczkę. Westchnęła i wolnym krokiem poszła w stronę schodów.

Nagle ktoś zawołał za jej plecami. Anna odwróciła się i

zobaczyła okrągłą, zawsze uśmiechniętą twarz starego listonosza, który przynosił korespondencję, odkąd tu mieszkała. Wręczył jej niedużą kopertę.

- Proszę bardzo. To na dzisiaj wszystko.

- Dziękuję, panie Sharp. Niech pan teraz o nas nie zapomina i często przynosi listy od mojego synka. Właśnie przed chwilą wyjechał na wakacje. - Anna jeszcze raz uśmiechnęła się do rzeźkiego staruszka i oglądając adres na kopercie weszła do domu.

W swoim pokoju, usiadłszy wygodnie w fotelu, przeczytała, co do niej napisał ktoś, kogo nie widziała już kilkanaście lat. Gdy starała się przypomnieć sobie twarz tego człowieka, wszedł James.

- Dostałam list, który może cię zaciekawić - powiedziała do niego w zamyśleniu. - Od Johna Crowna. To daleki kuzyn mojej matki, który od lat mieszka w Australii. Posłuchaj, co pisze:

Sydney, 7 lipca 1968

Droga Anno!

Wybacz, że po tak długim okresie milczenia pozwalam sobie absorbować Cię niniejszym listem. Sprawa, w której chciałbym prosić Cię o pomoc, jest jednak dla nas szczególnej wagi. Dlatego, o ile przebywasz aktualnie w Londynie i nie jesteś zbyt zaabsorbowana swymi prywatnymi sprawami, pozwalam sobie, w imieniu. własnym i mojej żony, Helen, zwrócić się do Ciebie z następującą prośbą. Otóż, jak Ci z pewnością wiadomo od Twej Matki, przez ostatnie czternaście lat wychowywała się u nas Maureen Denvertey, córka Catherine, przedwcześnie zmarłej siostry Helen. Nagła śmierć Catherine była w swoim czasie powodem wielu bolesnych i przykrych przeżyć dla całej naszej rodziny, o czym zapewne wiesz doskonale. Obecnie Maureen, która przed dworna miesiącami stała się osobą pełnoletnią, jest wlanie w drodze do Anglii. Zawsze chciała wrócić do rodzinnego kraju, więc nie zamierzałem jej od tego odwoznić. Zwłaszcza że poza, chęcią studiowania historii sztuki właśnie

w Anglii, Maureen do powrotu ma powód znacznie ważniejszy, a to w postaci spadku po jej ojczymie, Christopherze Hodgarchy'm. Zgodnie z wolą testatora spadek ten miała objąć po ukończeniu lat 21. Nie wiem, czy byłaś kiedyś w Sussex, gdzie w pięknym parku położona jest rodzinna siedziba Hodgarchytch. Ten właśnie park wraz z domem i całą jego zawartością przypadł w udziale naszej drogiej Maureen. Toteż, chociaż ciężko byto nam rozstać się z dziewczyną, którą tyle lat traktowaliśmy jak własną córkę, nie odradzaliśmy jej tego wyjazdu. Żadne z nas nie mogło jej jednak towarzyszyć. Mnie interesy nie pozwalają na dłuższy wyjazd z Australii, zaś Helen od pewnego czasu nie czuje się najlepiej i uciążliwa podróż byłaby teraz ponad jej siły. Zresztą Maureen, od niedawna urzędowo dorosła, z pewnością nie chciałaby jechać po samodzielność z ciotką u boku. Jednakże w Anglii na młodą spadkobierczynię czeka wiele spraw trudnych, które, zważywszy bolesne echa tamtej sprawy sprzed lat, mogą okazać się jeszcze trudniejsze, niż na to teraz wygląda. Obawiam się więc, czy Maureen potrafi im sprostać. jeśli nie spotka mądrych i życzliwych ludzi, którzy zechcą jej pomóc. Wybacz mi, Anno, że pomyślałem o Tobie. Tak wiele słyszałem o Tobie i wierzę w Twój rozsądek i spokojną rozagę nie mniej niż w dobroć i życzliwość dla ludzi. Nie wątpię więc, że zechcesz pomóc młodej dziewczynie, mimo że więzy pokrewieństwa, a raczej powinowactwa są między Wami dosyć luźne. Jest jeszcze jeden powód, dla którego ze sprawą tą zwracam się właśnie do Ciebie. Jak już wspomniałem, Maureen pragnie studiować historię sztuki, a Ty, sama będąc malarką, środowisko to musisz przecież znać lepiej niż ktokolwiek inny z naszej rodziny. Dlatego, mając na uwadze wszystkie przedstawione tu względy, pozwoliłem sobie prosić Cię o podanie Maureen pomocnej ręki. Nasza wychowanica ma Twój adres i będzie próbowała skontaktować się z Tobą po swoim przylocie do Anglii, który ma nastąpić w dniu 8 bm. Łączę serdeczne pozdrowienie i ukłony dla Ciebie i Twego Małżonka w imieniu własnym i Helen. Twój kuzyn

John Crown

James z zainteresowaniem popatrzył na żonę, która skończywszy czytać położyła list na stole.

- Czy owa Maureen - zapytał - ma coś wspólnego z Robertem Denverley?

- To nawet jego córka, ale zupełnie nie wiem, skąd tobie przyszło do głowy to skojarzenie, Jim.

- Obawiam się, Anno, że w głębi serca uważasz mnie jednak za ignoranta - pokiwał głową Brent.

- Ale nie muszę przecież zajmować się zawodowo dziejami i kulturą Mayów, aby wiedzieć, jakim autorytetem był w tej dziedzinie Robert Denverley i ile hałasu zrobiła w swoim czasie jego napisana wraz z Edwardem Tarlettem książka o interpretacji związków nauki z religią w Starym Państwie, a więc w okresie od IV do IX wieku.

Mayowie rozwinęli skomplikowany system wielobóstwa, który musiał opierać się na matematyce. To właśnie Denverley i Tarlett dowiedli, że dwudziestny system liczbowy, a nawet znajomość zera miały swoje odbicie w religijnych poglądach Mayów.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać zasobem najrozmaitszych wiadomości encyklopedycznych! Jak ty to wszystko możesz spamiętać, Jim?

- Ponieważ wierzę, że może mi się to kiedyś do czegoś przydać. Ale na razie przestańmy mówić o mnie, a zacznijmy o Maureen Denverley i kłopotach, które w przekonaniu twego kuzyna może ona mieć po objęciu spadku. Co wiesz o tej historii?

- Sprawa jest mi znana tylko ogólnikowo, ale to, co wiem, wystarczy cło jej naświetlenia. Przynajmniej od tej strony, od której, jak się zdaje, niepokoi ona wuja Johna. Musisz jednak uzbroić się w cierpliwość, bo nie da się tego powiedzieć w trzech zdaniach.

- Zamieniam się w słuch!

- Rzecz rozpoczyna się w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym., kiedy Catherine Denverley, młoda wdowa po

znanym ci Robercie Denverley i matka trzyletniej Maureen poznała Christophera Hodgarthy'ego, który zakochał się w niej natychmiast.

-- Christophera Hodgarthy'ego? Tego fenomenalnego kierowcę?

- Jim, czy ty znasz nazwiska wszystkich wybitnych ludzi?

- To przyzwyczajenie profesjonalne. Ale przerwałem ci...

- Tak, więc ślub Młodej pary odbył się w początkach pięćdziesiątego pierwszego. Catherine była wówczas bardzo przystojną i zgrabną trzydziestoletnią blondynką. Była przy tym nie tylko ładna, ale i inteligentna. Wprawdzie nie miała żadnego fachowego wykształcenia, lecz pierwsze małżeństwo z Denverley'em wpłynęło na znaczne pogłębienie i rozszerzenie wyniesionych przez nią ze szkoły wiadomości... Jak zapewne wiesz, Christopher Hodgarthy był również bardzo przystojnym mężczyzną i pochodził z dość zamożnej rodziny. Rodzice jego mieli jakąś fabrykę w Chichester oraz stary dom w Timbergate, gdzie mieszkało już kilkanaście pokoleń Hodgarthy'ch. Prosperity tej rodziny skończyła się nagle z powodu wielkiego kryzysu. Z całego majątku został tylko dom na prowincji oraz jakaś resztką pieniędzy, za którą stary Hodgarthy kupił warsztat samochodowy. Sytuacja była trudna i po maturze Christopher, zamiast na studia ekonomiczne, poszedł do pracy do ojcowskiego warsztatu. Nie narzekał zresztą specjalnie, gdyż, jak się wkrótce okazało, namiętnie lubił prowadzić samochód. Zapisał się nawet do jakiegoś klubu sportowego i zaczął startować w rajdach samochodowych.

- Lepszy był wszakże później na torze - wtrącił Brent. Spostrzegł jednak, że znów przerwał swej żonie, która przecież chciała mówić nie tylko o samochodach i wyścigach. Dlatego zapewne uczynił gest, aby traktować jego uwagę jako niebyłą. Anna mówiła dalej:

- Potem przyszła wojna, którą Christopher spędził w wojsku, w służbie czynnej. Pasja automobilowa musiała być silna, skoro po latach wrócił znów do swoich samochodów, przy czym przrzucił się teraz na automobilizm torowy... Po ślubie z Catherine trochę to wprawdzie zaniedbał. Młoda para

zamieszkała w Timbergate i zajmowała się głównie sobą. Wszyscy, którzy się z nimi w tym czasie kontaktowali, zgodnie twierdzą, że było to bardzo kochające się małżeństwo... Sielanka trwała jednakże tylko dwa i pół roku, gdyż Catherine jesienią pięćdziesiątego trzeciego zachorowała na raka. Bardzo szybko było wiadomo, że sprawa jest beznadziejna. Hodgarchy szalał, sprowadzał najlepszych lekarzy, ale nikt nie mógł tu nic pomóc. Tragedia była tym większa, że chorobie towarzyszyły potworne bóle i Catherine wyglądała śmierci jak zmiłowania. Umarła w styczniu pięćdziesiątego czwartego, ale jak stwierdzono przy sekcji zwłok, przyczyną śmierci był nie rak, lecz nadmierna dawka środków nasennych czy przeciwbólowych.

Anna na chwilę zamilkła. Tym razem czekała, aż James zada jakieś pytanie. Lecz on tylko słuchał.

- Oczywiście, policja przeprowadziła wówczas dochodzenie - kontynuowała Anna - niemniej jednak nie udało się stwierdzić, kto spowodował zgon Catherine: czy ona sama, czy jej mąż, czy pielęgniarka, która opiekowała się chorą. Śledztwo umorzono z braku dowodów, ale sprawa nabrała w okolicy nieprzyjemnego rozgłosu... Iv Laureen przez cały czas trwania drugiego małżeństwa jej matki mieszkała razem z nią. Jak już wiesz z listu Johna, do Australii zabrała ją dopiero Helen Crown, gdy przyjechała stamtąd na pogrzeb swej siostry. Przy tej okazji Helen usłyszała na pewno niejedną plotkę na temat śmierci Catherine. Myślę, że stąd właśnie biorą się obecne obawy Crownów co do tego, czy Maureen w starym domu Hodgarchy'ch nie natrafi przypadkiem na jakiś ślad prawdy o śmierci swej matki i czy prawda ta nie okaże się dla niej zbyt trudna do przyjęcia.

- Hm, to bardzo interesujące - mruknął Brent. - A czy nie wiesz, jakie były stosunki między małą a jej ojczymem? Nie musiały być chyba złe, skoro zostawił jej cały swój majątek.

- Wydaje mi się, że Hodgarchy nie mając własnych dzieci traktował Maureen jak córkę, a dziewczynka też była do niego bardzo przywiązana... Nie chcieli się wcale rozstawać po śmierci Catherine i z pewnością niemało. trudu kosztowało

Helen Crown przekonanie szwagra, że dziewczynka będzie się lepiej chować pod opieką kobiety. Później, pomimo oddalenia, utrzymywali ze sobą trwałą kontakt aż do śmierci Christophera w pięćdziesiątym ósmym roku.

- Więc to już dziesięć lat? A pamiętam jego śmierć tak dokładnie, jakby to było wczoraj. Byłem wtedy w Livelands i widziałem tę jego całą brawurową i tak tragicznie zakończoną jazdę... To był rzeczywiście fenomenalny kierowca. Naprawdę szkoda, że zginął.

- Co sądzisz o tym wszystkim, Jim? Co powinnam teraz zrobić?

- Na razie nic. Po prostu czekać, aż się odezwie Miss Denverley, która prawdopodobnie od tygodnia jest już w Anglii.

Rozdział trzeci PRZED ROZPOCZĘCIEM SPEKTAKLU

Brent machinalnie przekręcił klucz w zamku frontowych drzwi swego londyńskiego mieszkania i wszedł do środka. Mimo wczesnej jeszcze godziny w hallu panował łagodny półmrok. Nagle jedna z kilku par zamkniętych drzwi otworzyła się wpuszczając jasną smugę światła, a wraz z nią Annę, która szybkim krokiem wyszła na spotkanie męża.

- Och, nareszcie jesteś, Jim. Zaczynałam się właśnie martwić, czy nie zapomniałeś o dzisiejszym teatrze. Maureen ma tu być za pół godziny i byłoby nieładnie, gdyby nie zastała cię w domu. Zwłaszcza że to jej pierwsza wizyta u nas, a wy jeszcze nie zdążyliście się poznać.

- Natomiast my, Anno, znamy się już tyle lat, a jednak nie zdołałem cię dotąd przekonać, że ja nigdy o niczym nie zapominam - powiedział z udawanym wyrzutem.

- Nie przejmuj się tym, kochanie. Życie, nawet twoje, nie składa się z samych sukcesów. A co do sztuki przekonywania, to fakt, że w swoim czasie zostałam twoją żoną, świadczy, że jednak opanowałeś ją w dość wysokim stopniu - zażartowała

Anna.

- Ciągle jeszcze zbyt małym, moja miła. Wzorowa żona powinna być uległa, to znaczy przekonana o słuszności swego męża zanim jeszcze zdąży on otworzyć usta. Niestety, tobie wciąż tak wiele brakuje do tego ideału - westchnął z komicznym grymasem Brent.

- No, ale pójdę utopić w kąpielii tę bolesną świadomość - dodał znikając w drzwiach do łazienki.

Odkręcił kran z gorącą wodą myśląc o poranku sprzed tygodnia, kiedy pierwszy raz usłyszał o istnieniu Maureen Denverley. Teraz miał ją poznać. Ciekaw był, jak wygląda ta dziewczyna i czy w jej historii, którą opowiedziała mu żona, tkwiło w istocie coś zagadkowego. Na razie nic na to nie wskazywało, ale James znał już uczucie podniecenia, które nawiedzało go czasem z pozoru irracjonalnie, lecz zawsze okazywało się uzasadnione w konfrontacji z przyszłym biegiem wypadków.

Gdy Brent wykąpany i ubrany wszedł do salonu, Anna właśnie układała świeże kwiaty w opalizującym wazonie z weneckiego szkła, stojącym na okrągłym stole nieopodal kominka. Ona również była już gotowa na przyjęcie gościa. Mieniący się morski odcień jej wieczorowej sukni pogłębiał jeszcze bardziej błękit oczu, a upięte wysoko włosy dodawały jej niemal królewskiej dystynkcji.

James spojrzał na żonę z uznaniem i chciał je właśnie wyrazić słowami, gdy na progu stanęła Maggie.

- Miss Maureen Denverley chce się widzieć z państwem - oznajmiła i wyszła ustępując miejsca wysokiej, młodej dziewczynie o jasnych włosach i żywych czarnych oczach, które tworzyły interesujący kontrast ze skandynawską urodą ich właścicielki.

- Witaj, Maureen! Twoja punktualność świadczy, że nie miałaś trudności w odnalezieniu drogi - powiedziała Anna witając się serdecznie.

- Dobry wieczór! Wy tłumaczyłaś mi tak dokładnie, jak się mam tu dostać, że szłam nieomal jak do własnego domu. - Cieszę się, że choć raz udało mi się to zrobić z tak dobrym

rezultatem. Pozwól, że ci przedstawię mego męża. To właśnie Jim. Brent uściśnął opaloną dłoń dziewczyny i spojrzał w jej uśmiechniętą twarz.

- Bardzo mi miło pana poznać - powiedziała Maureen dziewczęcym głosem. - Czytałam wszystkie pańskie książki, które można było dostać w Sydney, a to, co opowiedziała mi o panu Anna, zaostrzyło tylko moją ciekawość.

- Ja również cieszę się z poznania pani, Miss Denverley. Mam nadzieję, że dzisiejszy wieczór będzie początkiem naszej przyjaźni, a ten dom stanie się dla pani miejscem bliskim - odparł z uśmiechem James.

- Słyszę, że juk mnie zdążyłaś oplotkować - dodał żartobliwym tonem, zwracając się do żony. - To powinno być zabronione, przynajmniej w odniesieniu do własnego męża. No, ale na kobiece języki nie ma lekarstwa - westchnął z udaną rezygnacją.

- Ależ jest! - powiedziała prędko Anna. - Stoi w twoim barku na drugiej półce od góry. Ręczę, że Maureen byłaby tego samego zdania, gdyby nie powstrzymywało jej onieśmielenie gościa przychodzącego z pierwszą wizytą.

- Ostrzegam panią przed moją żoną. Ma wyraźnie alkoholiczne skłonności - zauważył James podchodząc do barku. - Koniak czy whisky, Miss Denverley?

- Poproszę whisky. Z odrobiną wody i lodu.

- Dla mnie również whisky, Jim. Jak zwykle, bez wody, ale z kawałkiem lodu.

Brent wyjął trzy szklaneczki i napełnił je do połowy złotawym płynem. Wszyscy troje usiedli w miękkich, przepastnych fotelach i na chwilę zapadła cisza, którą przerwał James:

- Czy przyzwyczaiła się już pani do naszego dżdżystego Albionu? Po australijskim słońcu musi się tu wydawać zimno i mokro.

- Wręcz przeciwnie - zaprzeczyła Maureen. - W ciągu dwóch tygodni, które tu zdążyłam spędzić, tylko raz zanosilo się na deszcz. A te kilka stopni mniej raczej mnie cieszy niż martwi. Upały, jakie zdarzały się w lecie w Australii; zawsze trochę mnie męczyły.

- No, nie znasz jeszcze prawdziwego klimatu Wysp Brytyjskich - roześmiała się Anna. - Poczekajmy do jesieni i zimy, to zobaczymy, co powiesz o naszej pogodzie. Jeśli masz równie pozytywny stosunek do wszystkiego, co angielskie, to widać, że długoletni pobyt w Sydney nie zrobił z ciebie jednak australijskiej patriotki.

Maureen pokręciła głową z niezdecydowaną miną.

- Och, u ciotki Helen było mi oczywiście świetnie, a sama Australia ma bardzo wiele zalet i naprawdę da się lubić - powiedziała. - Jednak nigdy nie wyobrażałam sobie, żebym mogła zostać tam na stałe. Może sprawiła to jeszcze umowa, jaką zawarłam z ojczymem tuż przed wyjazdem do Sydney, podtrzymywana potem jego wielokrotnymi obietnicami, ale ilekroć wyobrażałam sobie moje przyszłe, dorosłe życie, zawsze myślałam o Anglii. Toteż, kiedy w kwietniu dostałam list z biura prawnego Milford, Brothers & Co., wzywający mnie do objęcia spadku, jaki przed laty zostawił mi tutaj Christopher, bardzo się ucieszyłam. W ciągu półtora miesiąca zlikwidowałam moje wszystkie australijskie sprawy i przyjechałam - zakończyła z uśmiechem.

Anna spojrzała na nią z zakłopotaniem.

- Martwiłam się trochę, Maureen, jak dasz sobie radę w pierwszych dniach pobytu w Anglii zupełnie sama, w odmiennym otoczeniu i mając do czynienia ze sprawami zapewne niezbyt dobrze ci znanymi. Nie codziennie przecież dostaje się spadek. Gdyby wuj Crown był napisał do mnie wcześniej, moglibyśmy ci pomóc w załatwianiu dość skomplikowanych formalności prawnych. Niestety, jego list przyszedł już po twoim przyjeździe i nie wiedziałam, gdzie cię w tej sytuacji szukać. Mogliśmy więc tylko cierpliwie czekać, aż się sama odezwiesz.

- Dziękuję ci za troskę, Anno, ale to nie było aż tak skomplikowane - uśmiechnęła się Maureen. - Pracowałam w Sydney kilka miesięcy jako sekretarka w dużym biurze notarialnym i procedura spadkowa nie jest mi zupełnie obca. A gdyby nawet tak było, panowie I z firmy Milford, Brothers & Co. poinformowaliby mnie o wszystkim, co należało wiedzieć.

Byli dla mnie bardzo uprzejmi.

- Myślę jednak, Maureen, że mimo wszystko byłoby ci raźniej, gdyby cię na lotnisku ktoś oczekiwał - zaproponowała łagodnie Anna.

- Powiedz sama, czy nie czułaś się odrobinę nieswojo wyładowawszy w nieznanym sobie terenie, wśród zupełnie obcych ludzi?

- Początkowo rzeczywiście byłam troszkę onieśmielona - skinęła głową dziewczyna. - Zwłaszcza że spodziewałam się mieć towarzystwo. Przyjaciel Chrisa, pan Andrews, pisał do mnie do Australii, niedługo przed moim wyjazdem, że chciałby mi właśnie pomóc przy załatwianiu tych pierwszych spraw. Mieliśmy się spotkać w Southampton, dokąd zawija statek, którym miałam przyplłynąć. Tak się jednak niefortunnie złożyło, że musiałam opóźnić mój wyjazd z Sydney o trzy dni, a statek naturalnie nie mógł na mnie czekać. Dlatego zmieniłam środek lokomocji na samolot. Trochę się bałam, bo to miał być mój pierwszy lot i od razu taki długi. Ale te strachy okazały się bez sensu, bo podróż była fantastyczna. Tym bardziej że w dużej części spędziłam ją w pierwszej klasie. w towarzystwie pana Dawsona, który jest jednym z dyrektorów linii lotniczej, do której należał nasz samolot. Pan Dawson bardzo się interesował moimi planami życiowymi w Anglii i tak na milej rozmowie podróż minęła niepostrzeżenie.

- No, no, uważaj, Maureen, żebyś zamiast historykiem sztuki nie została przypadkiem dyrektorem. - Mrs. Brent żartobliwie pogroziła kuzynce palcem.

- Ależ, co ty mówisz, Anno - roześmiała się dziewczyna. - Pan Dawson mógłby być spokojnie moim ojcem. Musi mieć dobrze po pięćdziesiątce. A ponadto jest bliskim znajomym mojego byłego szefa i parę razy widziałam go u nas w kancelarii. Właśnie od naszego ostatniego spotkania w Sydney bardzo się postarzał. Osiwiał prawie zupełnie i zaczął nosić okulary.

- No, to na pewno zrehabilituje pana Dawsona w oczach Anny - zamknął tę kwestię Brent. - Ale wróćmy do tematu. Mówiła pani o panu Andrewsie i zmianie sposobu podróżowania.

- No właśnie - przytaknęła Maureen. - Kupiwszy bilet lotniczy poinformowałam o tym telegraficznie pana Andrews. Ale on nie przyszedł na lotnisko. Widocznie nie dostał depechy albo miał jakieś inne przeszkody w tym czasie. Pan Dawson też był od razu bardzo zajęty. Zostawił mi tylko swój numer telefonu i pożegnał się ze mną jeszcze w samolocie. Dalej musiałam sobie radzić sama, bo i list, który wuj John miał napisać do Anny, również nie mógł uprzedzić mojego przyjazdu. Ale, mimo braku bardziej dorosłej opieki, jakoś udało mi się załatwić najważniejsze sprawy. Może to i dobra szkoła samodzielności, prawda?

- Oczywiście - odezwał się James, który od dłuższej chwili milcząco przysłuchiwał się rozmowie pań. - „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”, jak zauważył kiedyś mentor, którego nam pani zaproponowała na dzisiejszy wieczór... Czy jest pani istotnie taką miłośniczką Shakespeare'a, czy też, jak zdaje się sądzi moja żona, wybór ten został podyktowany długo nie zaspokojoną tęsknotą za wszystkim, co angielskie?

- Oba przypuszczenia są dość bliskie prawdy, ale to jeszcze nie wszystko. - Na czole Maureen, pomiędzy łagodnie narysowanymi łukami ciemnych brwi, pojawiła się mała pionowa zmarszczka. - W ostatnim tygodniu bardzo dużo myślałam właśnie o „Królu Ryszardzie Trzecim” - wyjaśniła po chwili. - Dlatego, kiedy wczoraj, zaraz po przyjeździe z Timbergate do Londynu, dowiedziałam się, że grają to akurat w Globie, poczułam wielką ochotę pójścia do tego teatru jak najprędzej.

- Na pewno nie będzie pani żałowała tej decyzji. Reżyseria i obsada aktorska w Globie zawsze są znakomite, a samego autora reklamować nie trzeba. Czemu jednak właśnie „Król Ryszard Trzeci” tak panią ostatnio zaabsorbował? - spytał James.

- Trudno to wyjaśnić jednym zdaniem, ale przyczyna mego zainteresowania wiąże się poniekąd ze spuścizną po Chrisie - powiedziała z namysłem Maureen. - Mimo że już dziesięć lat minęło od śmierci mego ojczyma, pozostał mi w pamięci jego bardzo wyraźny obraz. Widziałam go jednak oczyma dziecka i

zrozumiałe, że nie mógł być dokładnie taki, jakim go pamiętam. Jednakże, chociaż świetnie zdaję sobie z tego sprawę, każda jego cecha nie znana lub odmienna od pamiętanej przeze mnie budzi we mnie zdziwienie i staje się źródłem irracjonalnych dociekań, jaki Chris był naprawdę i czemu moje wspomnienie było niezgodne z rzeczywistością.

- A co, na przykład, tak panią zaskoczyło?

- Przede wszystkim to, że kolekcjonował chińską porcelanę, chociaż ani ja, ani nikt z naszej rodziny nie posądzał go chyba o większe zainteresowanie sztuką. Tymczasem u Braci Milford był dla mnie osobisty list oraz formalny testament, w którym Chris zapisał mi całą nieruchomość w Timbergate oraz znajdujący się tam nieduży, ale rewelacyjny zbiór porcelany, głównie z okresu Sung.

- Sung? Ależ to fantastyczne! - wtrąciła Anna. - Z dziesiątego do trzynastego wieku, czyli właśnie z czasów tej dynastii, pochodzą dwa ulubione przeze mnie rodzaje: seledyny z Luang-chluan i biała porcelana z Ting.

- Będziesz więc miała co oglądać, kiedy przyjedziecie państwo do mnie do Sussex, gdyż obydwie gatunki są dość licznie reprezentowane - powiedziała z satysfakcją Maureen. - Jest tam jeszcze pa kilka eksponatów z porcelany Chun i Temmoku, ponadto z epoki Ming jest trochę polichromii Wanli i dwie sztuki niebiesko-białe, wreszcie z dynastii Ching mam parę jednokolorowych, siedemnastowiecznych wazonów i trzy naczynia z Familie Rose.

- No, to o ile się orientuję, ojczym pani zgromadził, bardzo wartościową kolekcję. Niejedno muzeum mogłoby mu pozazdrościć takiego zbioru - zauważył James.

- Właśnie - przytaknęła Maureen.

- Tym bardziej więc mnie dziwi, że nikt z rodziny nie orientował się w tej pasji Chrisa. Jestem pewna, że nigdy o tym nie słyszałam.

- Ale co za fantastyczny zbieg okoliczności, że prezent taki trafił się osobie, która tu przyjechała studiować właśnie historię sztuki. Masz wyjątkowe szczęście, Maureen - stwierdziła Anna.

- Ja też tak myślę. Ale gdybym nawet chciała studiować

astronomię, nie mogłabym chyba pozostać obojętna wobec tak wspaniałej sztuki - odparła z przekonaniem dziewczyna.

Brent wstał, napełnił ponownie puste szklaneczki i unosząc swoją w górę, powiedział:

- Wobec tego, Miss Denverley, proponuję toast za szczęście i również za to, aby towarzyszyło ono pani zawsze.

Dziewczyna podziękowała uśmiechem. A kiedy wszyscy troje wypili, James zwrócił się do Maureen ponownie:

- Nie rozumiem jednak, jaki jest związek między chińską porcelaną a „Królem Ryszardem Trzecim”, od którego zaczęła się nasza rozmowa.

- Och, po prostu sztuka ta zafrapowała mnie również ze względu na Chrisa. Czytał ją bowiem niedługo przed swoją śmiercią i przypuszczam, że właśnie na jej temat zrobił kilka niezbyt dla mnie zrozumiałych uwag w tym liście, o którym już mówiłam - odparła Maureen.

- Przed śmiercią? Dlaczego uważa pani, że ojczym czytał „Ryszarda Trzeciego” właśnie przed śmiercią? Z czego to pani wnosi? - wyraźnie zainteresował się James, w którym przebudziła się żyłka detektywistyczna.

- Z tego, że znalazłam w jego bibliotece egzemplarz tej sztuki z zakreśloną kwestią, którą wypowiada Buckingham tuż przed egzekucją, zaś obok, na marginesie, jakąś nieczytelną uwagę, napisaną na pewno przez Christophera - powiedziała z naciskiem Miss Denverley.

- To jeszcze niczego nie dowodzi - uśmiechnął się Brent. - Począwszy od czternastego roku życia każdy z nas wielokrotnie czyta Shakespeare'a, a przy ponownych lekturach coraz to inna myśl wydaje się mu godna podkreślenia. Uwagę tę mógł więc pani ojczym zrobić na długo przed swoim zgonem.

- Ogólnie rzecz biorąc ma pan rację - przyznała Maureen. - Ale jeszcze nie powiedziałam, że właśnie ten egzemplarz książki z biblioteki Chrisa pochodzi ze zbiorowego wydania dzieł Shakespeare'a, które ukazało się w końcu sierpnia pięćdziesiątego ósmego roku, czyli najdalej na miesiąc przed śmiercią Chrisa. Ponieważ zaś w swoim liście datowanym, zdaje się, dziewiętnastego września wspomina on o lekturze

któreś z „królewskich tragedii” Shakespeare'a, więc łatwo się domyślić, że chodzi tu właśnie o „Króla Ryszarda Trzeciego”.

- Rzeczywiście, trudno odmówić logiki pani rozumowaniu, Miss Denverley. Ale żeby dość do jakichś konkretnych wniosków, musiałabym zobaczyć ten tajemniczy list. Naturalnie, gdyby pani nie miała nic przeciw temu - powiedział James.

- Ależ oczywiście, że nic bym nie miała - zgodziła się od razu dziewczyna. - Jeśli tylko nie macie państwo innych planów na najbliższy weekend, to może zechcielibyście przyjechać do Timbergate, żeby obejrzeć posiadłość łącznie z porcelaną i listem od Chrisa, którego teraz nie mam przy sobie.

- Doskonale - odparł Brent porozumiewszy się wzrokiem z żoną. - Dziękujemy za zaproszenie i przyjedziemy z przyjemnością... A czy pamięta pani tę zakreśloną przez ojczyzna kwestię? - dodał po chwili.

Dziewczyna skinęła głową i zaczęła recytować: „...Wy wszyscy...”

Rozdział czwarty PIERWSZY WIECZÓR W TIMBERGATE

Witajcie w Timbergate i czujcie się jak u siebie w domu - powiedziała Maureen podchodząc do wysiadających z samochodu Brentów.

- Wybaczcie przy tym, jeśli gospodyni okaże się niezbyt wprawna, ale tak niedawno występuję w tej roli, że jeszcze nie zdążyłam się do niej przyzwyczaić.

- Nie martw się o nic, Maureen - odparła Anna. - Oboje z Jimem nie należymy na szczęście do gości, którzy natychmiast siadają na kanapie i wszystko gospodarzom mają za złe. Jeśli masz jakieś problemy gospodarcze, nie krępuj się i mów od razu. W ramach moich możliwości chętnie ci pomogę.

- Tak - wtrącił Brent nim Maureen zdążyła odpowiedzieć. - Ale w pani dobrze rozumianym interesie proszę nie korzystać z pomocy mojej żony w żadnej sprawie, przed pokazaniem jej

kolekcji, o której wspominała nam pani w Londynie. Anna cierpi na nieszkodliwą zapewne, ale wyraźną manię związaną z porcelaną z okresu Sung. Przez całą drogę nie mogła o niczym innym mówić. O ile dobrze zrozumiałem, chce wykorzystać jakiś specjalny ornament do projektu kilimu, który właśnie ma na warsztacie. Dlatego sędzę, że rozsądniej byłoby zaspokoić najpierw jej zawodową ciekawość.

- W takim razie możemy to zrobić natychmiast - roześmiała się Maureen. - Przedtem jednak pokażę państwu pokój, który dla was przygotowałam, abyście mogli zostawić tam swoje rzeczy.

Ruszyła przodem po krętych, prowadzących na piętro schodach, które wychodziły do sporego, prostokątnego hallu. Podłoga, boazeria i framugi czterech par widocznych drzwi wykonane były z jasnego drzewa, a światło wpadające przez wysokie, weneckie okno nawet późnym popołudniem nadawało temu miejscu atmosferę spokoju i pogody.

Maureen otworzyła najbliższe w stosunku do schodów drzwi i Brent zobaczył duży, widny pokój z widokiem na przylegający do domu park. Biegące tuż pod oknami grządki pełne były rozkwitających wielobarwnie róż, których intensywny, słodki zapach dobiegał wyraźnie do stojących przy oknie osób.

- Bardzo tu pięknie, Maureen - powiedziała cicho Anna. - W atmosferze tego domu i parku jest coś, co mi przypomina dom mojego dzieciństwa w pobliżu Torquay, chociaż Devon i Sussex trochę się różnią geograficznie. Nie umiem jednak zdefiniować tego podobieństwa. Wydaje mi się ono tak wyraźne, ale i tak nieuchwytnie zarazem... Ale teraz - dodała po chwili - chodźmy już obejrzeć te twoje porcelanowe skarby, bo rzeczywiście umieram z ciekawości.

Zeszli na dół. W gabinecie Christophera Hodgarthy'ego oraz w przyległym przestronnym salonie, na blacie biurka, półkach i stolikach, a także wewnątrz sporej, oszklonej gabloty stały liczne dzbany, flakony, czarki, talerze, wazony i amfory wykonane z najpiękniejszej na i świecie porcelany.

Jedne z nich były wielobarwne, z bogatym ornamentem, inne czysto białe, o których wysokiej klasie mówiła ich nieskazitelna

śnieżność i pełna elegancji prostota bezbłędnej linii kształtu, jeszcze inne gładkie, seledynowozielone, ozdobione z rzadka jakimś rdzawo-czerwonym, pojedynczym rysunkiem. Te ostatnie sporządzone były z grubej, ciężkiej masy o połyskliwej, szlachetnej glazurze.

Było też kilka sztuk ceramiki ciemnej, prawie czarnej lub czarnobrazowej, malowanej w finezyjne, białawe kształty kwiatów i owoców. Niektóre ozdobiono skrzącymi się w świetle drobinami srebra. Wreszcie kilka najniżej stojących czarek wykonanych było z porcelany lawendowoszarej, na której śliwkowopurpurowa, opalizująca wszelkimi kolorami glazura utworzyła fantastyczne, nieregularne kształty, przypominające trochę zarysy ptaków i zwierząt.

Oboje, Anna i James, wpatrywali się jak urzeczeni w znajdujące się przed nimi bogactwo formy, kształtu, barwy i techniki, będące dziełem starych mistrzów chińskiej sztuki ceramicznej.

- Rzeczywiście - powiedział Brent oderwawszy wreszcie wzrok od porostawianych wokół eksponatów - nigdy jeszcze nie widziałem jednocześnie tylu wspaniałych okazów tej sztuki, a muzea zdarza mi się odwiedzać dość często. Jak na laika w tych sprawach, oczywiście.

- Co tu mówić o laikach! - Anna zdecydowanie potrząsnęła głową. - Ja podobno, jak dopiero co sama słyszałaś, mam wręcz regularnego bzika na punkcie chińskiej porcelany. A jednak muszę przyznać, że również nie widziałam tak cudownego zbioru jak ten. Ciekawe, jak udało się twemu ojczymowi zgromadzić tak wspaniałe egzemplarze. Przecież prawie wszystko jest tu zupełnie bezcenne. Na przykład wątpię, czy na świecie jest więcej niż kilka wazonów tej klasy - powiedziała biorąc do ręki mlecznobiały flakon o prostym, lecz wytwornym kształcie.

W swojej dolnej części wazon ozdobiony był delikatnym, rźniętym ornamentem, przedstawiającym egzotyczne kwiaty, a jego wąska szyjka kończyła się cienką, srebrną obwódką.

- Jest on więcej niż piękny. Myślę, że musiał zdobić stół cesarski, jak często się to zdarzało szczególnie udanym okazom

porcelany Ting... Nie wspomnę już nawet o cudownych, cieszących się zasłużoną sławą seledynach, które też masz tu w ilości wprost zadziwiającej, gdy weźmie się pod uwagę rzadkość, z jaką one obecnie występują.

Ostrożnie odstawiała na półkę trzymany w dłoniach wazon i odwróciła się do kuzynki.

- Pozwolisz, Maureen, że zrobię sobie jutro kilka szkiców?

- Ależ oczywiście! Przerysuj sobie wszystko, co ci się tylko podoba.

Anna podziękowała i podeszła do okna.

Była poruszona. Nareszcie znalazła motyw, którego szukała od kilku miesięcy. Nagle przed oczyma stanął jej kilim. Piękny, barwny, właśnie taki, jaki chciała zrobić. Uśmiechnęła się do swoich wyobrażeń.

- Już go masz? - spytał cicho mąż, który podszedł do niej niepostrzeżenie.

Skinęła głową, ale nie odpowiedziała, gdyż w tym właśnie momencie do pokoju wszedł szybkim krokiem szczupły, mocno szpakowaty mężczyzna w wieku 55-60 lat. Nie odznaczał się ani wybitną urodą, ani szczególnie interesującymi rysami twarzy i tylko szare, przenikliwe patrzące oczy świadczyły o jego nietuzinkowej indywidualności, w której upór musiał grać dość dużą rolę. Nie zauważywszy najwidoczniej stojących pod oknem Brentów, wchodzący zwrócił się od razu do pani domu:

- Niestety, nie udało mi się naprawić mojego samochodu nawet prowizorycznie. Uszkodzenie wygląda poważniej niż przypuszczałem. W tej sytuacji, Maureen, zmuszony jestem poprosić panią o przenocowanie mnie tutaj. Jutro rano postaram się sprowadzić jakiegoś mechanika samochodowego z pobliskiego miasteczka, który wyratuje mnie z tej opresji. Proszę mi wybaczyć ten kłopot, ale... - tu urwał zobaczywszy, że w pokoju jest jeszcze dwoje nie znanych mu ludzi.

- Pozwólcie państwo, że was sobie przedstawię - powiedziała Maureen. - To jest pan inżynier Andrews, serdeczny przyjaciel mego ojczyma jeszcze z czasów wojny. Jak już państwu wspomniałam, pan inżynier był tak uprzejmy, że dowiedziawszy się o moim przyjeździe, chciał mnie przywitać

zaraz po wylądowaniu na angielskiej ziemi. Ponieważ jednak zmieniłam sposób podróżowania i przyjechałam wcześniej, spotkaliśmy się dopiero dzisiaj. A to jest moja krewna, pani Anna Brent, wraz ze swym mężem, panem Jamesem Brentem - zwróciła się do inżyniera. - To właśnie u nich byłam wtedy, kiedy chciał mnie pan odwiedzić, przejeżdżając tędy w ubiegły poniedziałek. Anna akurat zaprosiła mnie do siebie, do Londynu, i nasze wcześniejsze spotkanie w Timbergate z tego powodu nie doszło do skutku - Maureen uśmiechnęła się do Andrews'a przepraszająco, a potem dodała:

- Państwo Brent właśnie przyjechali na weekend, aby zobaczyć, jak sobie radzę w roli pani domu.

James uściśnił szczupłą, lecz muskularną dłoń i spojrzał w pociągłą, nerwową twarz inżyniera. Podłużne, stare oczy patrzyły uważnie i jakby taksujące.

- Więc to pan jest owym słynnym Jamesem Brentem, który w opinii naszej prasy, radia i telewizji nigdy jeszcze się nie omylił w rozwiązywaniu zagadek kryminalnych. Wielki to dla mnie zaszczyt poznać taką znakomitość w dziedzinie walki ze zbrodnią. - W tonie Andrews'a zasadniczo bardzo uprzejmym, tkwiła jakaś nieuchwytna prawie nutka przekory.

Brent przyjrzał mu się bacznie, ale szare oczy miały nadal poważny, nieco badawczy wyraz.

- I ja czuję się nie mniej zaszczycony mogąc poznać czołową postać brytyjskiego przemysłu lotniczego - odparł więc tak samo grzecznie James.

- Panu także trudno byłoby zachować incognito i to również z powodu środków masowego przekazu, informujących jeszcze chętniej o tym, co dobrego dzieje się w naszej gospodarce i komu te blaski zawdzięczamy.

- Skoro prezentacja została już dokonana - powiedziała Maureen - pozwólcie państwo, że zaproszę was na kolację, która będzie za trzy kwadransy. W związku z tym będę musiała teraz zająć się trochę stołem. Państwo Brent zapewne zechcą się rozpakować jeszcze przed kolacją, a pan Andrews też będzie mógł ulokować się w sąsiednim pokoju gościnnym, który na szczęście jest prawie przygotowany. Chodźmy zatem na górę, to

pana tam zaprowadzę.

- Wykąpię się pierwsza, dobrze, Jim? - powiedziała Anna, gdy zamknęły się za nimi drzwi ich pokoju. - Ty mógłbyś tymczasem rozpakować nasze rzeczy. Trzy kwadransy to wcale nie jest za dużo na dokonanie całkowitej toalety, ponieważ moje nowe uczesanie jest dość czasochłonne.

Powstrzymując mimowolny uśmiech, James skinął głową. Otworzył zamykaną na błyskawiczny zamek kraciatą torbę i zaczął wyjmować ułożone w niej większe i mniejsze drobiazgi podróżne.

Kiedy wszystko poukładał na półkach znajdującej się w pokoju ciemnej, dębowej szafy, a ubrania powiesił na wieszakach w jej drugiej części.

Anna, ubrana w błękitny szlafrok weszła do pokoju.

- No, chyba nie grzebałam się, Jim. Teraz twoja kolej. - Usiadła przed toaletką i rozwiązała wstążkę, którą ściągnięte były jej wspaniałe, jasne, rozsypujące się teraz na ramionach włosy. - Ta porcelana jest zupełnie rewelacyjna - skonstatowała po chwili, gdy tymczasem James siedział już w wannie.

- Nigdzie jeszcze nie widziałam tak pięknego zestawu z okresu Sung. Są tu same najrzadsze i najpiękniejsze okazy!

- I mnie się tak wydaje - dobiegł z łazienki głos Brenta. - Dzięki tej kolekcji Maureen stała się bardzo bogatą dziewczyną i myślę, że już choćby dlatego należało by ten zbiór przechowywać w nieco bezpieczniejszych warunkach. Trzymanie takiego bogactwa na parterze, w pokojach, które nawet nie mają krat w oknach, i w dodatku zupełnie na wierzchu, na wszelkich możliwych sprzętach, jest co najmniej lekkomyślnością.

- Ach, ty zawsze musisz mieć jakieś kryminalne podejrzenia - zachnęła się Anna. - Przecież tu, w domu, nie ma nikogo obcego, a okolica jest prawie odludna w promieniu kilku mil.

- Na odludziu również zdarzają się kradzieże, moje dziecko - wyjaśnił łagodnie Brent. - I to wcale nie tak rzadko, jakby ci się mogło wydawać. A to, co powiedziałaś na temat braku obcych ludzi w tym domu, przywiodło mi na myśl świeżo poznanego inżyniera Andrews, który, o ile wiem, nie jest żadnym

krewnym ani powinowatym pani domu.

- Tym razem już trochę przesadziłeś, Jim. - Głos żony wyrażał niemal oburzenie. - Pan Andrews, jak sam to słyszałeś, był bliskim przyjacielem Christophera Hodgarthy'ego. Wygląda na człowieka bardzo kulturalnego, a z tego, co słyszałam o jego majątku, można wnosić, że mógłby on sobie kupić dwie czy nawet trzy takie kolekcje, gdyby mu przyszła na to ochota. Czemu więc posądzasz go o złodziejskie zapędy?

- Ależ ja nikogo o nic nie posądzam, kochanie - zaprzeczył Brent. - Wykazuję jedynie pewne nieścisłości tkwiące w twojej opinii, według której w domu nie ma nikogo obcego. Ponadto, niezależnie od tego, jak bardzo kryształowy charakter mają wszystkie przebywające lub mogące tu przebywać osoby, uważam, że ze względu na swą wartość zarówno kulturalną, jak i materialną, kolekcja ta powinna zostać odpowiednio zabezpieczona.

- No, tak. Być może, masz rację, Jim - przyznała Anna po chwili namysłu. - Ale wychodź już z wanny, bo za dziesięć minut kolacja... o, Boże! - dodała z przerażeniem. - Ta porcelana przyparowała mnie chyba o zawrót głowy. Zupełnie zapomniałam, że obiecywałam Maureen pomoc w gospodarstwie. Powinnam była iść z nią do kuchni, zamiast się tu upiększać przed lustrem!

- Teraz już za późno na poprawę. Możesz jedynie żywić optymistyczną nadzieję, że twoja kuzynka jednak zna się na kuchni lepiej, niż nam mówiła - powiedział pocieszająco James.

Gdy zeszli na dół, okazało się, że miał rację. W niewiele mniejszej od salonu jadalni stał bogato zastawiony stół świadczący zarówno o kulinarnych umiejętnościach młodej pani domu, jak i jej chęci najlepszego przyjęcia przybyłych gości. Maureen, nieco zarumieniona, ubrana w tę samą ciemnozieloną suknię, którą miała na sobie w teatrze, dokonywała ostatnich, kosmetycznych poprawek w geometrii nakrycia stołu.

- Widzę, Maureen, że mimo młodego wieku jest pani świetną gospodynią. - Wchodzący właśnie Andrews obrzucił zastawiony stół spojrzeniem znawcy. - Jeśli wszystko tu smakuje tak, jak

wygląda, to nie potrzeba pani żadnej dodatkowej edukacji w dziedzinie sztuki kulinarnej.

- Dziękuję za komplement, ale rzeczywiście najpierw trzeba by spróbować smaku tych potraw - zarumieniła się Maureen. - Proszę, siadajcie państwo.

Dziewczyna podeszła do wyłącznika i światło z dwóch zawieszonych nad stołem kryształowych świeczników rozproszyło gęstniejący w pokoju mrok.

- Miss Denverley powiedziała przy prezentacji, że jest pan przyjacielem jej ojczyma jeszcze z czasów wojny, którą Mister Hodgarthy spędził służąc w formacji spadochronowej. Czy może pan też był komandosem, Mister Andrews? - spytał Brent przerywając ciszę, jaka zapadła po zajęciu miejsc przy stole.

- Naturalnie - uśmiechnął się Andrews. - Christopher trafił do grupy bojowej, której dowódcą byłem właśnie ja. Tak zaczęła się nasza znajomość, która później przerodziła się w przyjaźń. Ale niezależnie od własnych, subiektywnych uczuć, muszę powiedzieć, że Hodgarthy był najsprawniejszym i najbardziej zdyscyplinowanym z moich podkomendnych.

- Mieszanina sprawności, odpowiedzialności i odwagi stwarza najlepsze postawy w ludziach wspólnie narażonych na permanentne niebezpieczeństwo - przyznał James. - Kiedy wspominał pan o tych cechach Christophera Hodgarthy'ego, pomyślałem natychmiast o pewnej mojej przyjaźni, która zaczęła się w analogicznych warunkach. Obaj stanowiliśmy właśnie część kilkusobowej załogi i nie rozłączaliśmy się aż do zawieszenia broni. Przez wspólnie spędzone lata wojny niejednokrotnie wzajemnie ratowaliśmy sobie życie, a każdy z nas żywił do drugiego zaufanie niemal większe niż do siebie samego. Zażyłość, która się między nami nawiązała, była czymś więcej niż zwykłą przyjaźnią i pozostawiła w nas cenne przeświadczenie, że mimo ustania codziennego kontaktu, każdy z nas może zawsze zwrócić się do drugiego we wszystkich naprawdę ważnych sprawach. - Brent zamilkł i po krótkiej chwili dodał:

- Wyobrażam sobie, że podobnie musiała wyglądać pańska znajomość z Christopherem Hodgarthy'm, Mister Andrews.

- Trafił pan w samo sedno - skinął głową inżynier. - Pański opis zgadza się nawet w tym, że zdarzyło mi się również uratować życie Christopherowi i jego czterem kolegom.

- Ach, więc to pan uratował od zguby swoją załogę razem z samolotem, którym lecieliście wykonać powierzone zadanie! Jednakże, zanim wyskoczyliście, w maszynie zepsuło się coś bardzo ważnego i samolot musiał przymusowo wylądować tuż pod nosem Niemców! - W głosie Maureen wyraźnie zabrzmiała nuta grozy zmieszanej z podziwem.

- Ojczym opisywał mi ten wypadek. Wprawdzie dużo z tego wtedy nie zrozumiałam, ale potem, kiedy byłam trochę starsza, wuj opowiedział mi to zdarzenie przy jakiejś rozmowie o wojnie. Mówił, że pan zakradł się na niemieckie lotnisko i nie zauważony przez nikogo wyjął z jakiegoś samolotu to coś, bez czego nie mogliście ruszyć. Powiedział też, że dostał pan za to wysokie odznaczenie. Czy to było właśnie tak, Mister Andrews?

- No, powiedzmy, że to się zgadza w grubszym przybliżeniu - uśmiechnął się inżynier. - Tutaj przydała mi się jednak nie tyle odwaga, ile po prostu fachowe wykształcenie. Jestem przekonany, że na to samo byłoby stać Christophera, gdyby tylko posiadał odpowiednią wiedzę na ten temat. Wspomniałem jednak o tym fakcie nie po to, aby budzić zachwyt w pani młodych oczach, Maureen, ale w nawiązaniu do tego, co powiedział przed chwilą pan Brent. Właśnie po tym zdarzeniu nasza zażyłość znacznie się pogłębiła, a razem z nią i wzajemne zaufanie.

- Myślę, że w ogóle kontakty międzyludzkie zacieśniają się dużo bardziej wtedy, gdy osoby w nie wchodzące sprawdzają się w bardzo trudnych dla siebie warunkach - włączyła się do rozmowy Anna.

- Z pewnością. Właśnie dlatego przyjaźnie wojenne są tak trwałe. - To samo można chyba powiedzieć o koleżeństwie ludzi wspólnie wykonujących niebezpieczne zawody. Na przykład nurkowie. Sporo o nich słyszałam od tej strony będąc jeszcze w Australii - wtrąciła nieśmiało Maureen.

- Oczywiście. Bardzo dobry przykład - pochwalił dziewczynę Andrews. - Swoją drogą, ludzie wykonujący niebezpieczne

zawody przeważnie kochają po prostu niebezpieczeństwo - ciągnął dalej. - Na pewno nie są oni wolni od lęku, ale chęć pokonania go i właśnie sprawdzenia się w skrajnych warunkach, na granicy ludzkich możliwości i śmierci, jest wielokrotnie motorem ich działania. Takim człowiekiem był na przykład pani ojczym, Maureen. Nieraz rozmawialiśmy o jego pasji samochodowej. Pamiętam, że zapytał mnie kiedyś: „Czy wiesz Charles, co to jest wiraż na torze wyścigowym?“, a gdy nie umiałem udzielić właściwej według niego odpowiedzi, Christopher pokręcił głową i powiedział: „Wiraż to umiejętność utrzymania ściśle określonej dla każdego przypadku prędkości, powiedzmy siedemdziesiąt osiem mil na godzinę. Każdy, kto z ostrożności pojedzie siedemdziesiąt siedem, przegra, a każdy, kto przekroczy właściwą prędkość choćby o jedną milę na godzinę, wyskoczy z wirażu jak z katapulty i prawdopodobnie będzie to jego ostatni wyścig w życiu...” Pani ojczym nigdy nie jechał siedemdziesiąt siedem. Był krańcowo odważny, co wreszcie któregoś dnia kosztowało go życie, właśnie na feralnym wirażu toru Livelands. - Andrews rozłożył ręce ze smętnym uśmiechem i James zauważył wtedy na jego lewej dłoni pamiątkę, która przypuszczalnie pozostawiła mu po sobie wojna.

Wzdłuż wskazującego palca, od jego wewnętrznej strony, biegła gruba czerwona blizna, rozbiegająca się na boki krótkimi bielejącymi promyczkami. Czubek palca był zupełnie siny, widocznie na skutek nieodwracalnych zmian, jakie zaszły w strukturze kostnej i mięśniowej. Brent błyskawicznie przypomniał sobie, ile takich i znacznie gorszych obrażeń widział w dawno minionych latach, kiedy co krok eksplodowały nieprzyjacielskie pociski. Nieco zawstydzony, że może o ułamek sekundy za długo przyglądał się okaleczonej ręce inżyniera, James postanowił natychmiast włączyć się do rozmowy.

- Ja jednak bardzo dobrze rozumiem pani ojczyma, Miss Denverley - powiedział z przekonaniem - i myślę, że mimo tego smutnego finału odwaga jego jest godna szacunku i śmiałość nie musi się kończyć tak tragicznie, a jest to przecież przymiot,

którego cena stale rośnie na naszym coraz wygodniejszym świecie.

- No, na szczęście, z ludzką odwagą nie jest jeszcze tak źle - zaprotestował Andrews. - Gdybyśmy wszyscy byli tchórzami, nie mielibyśmy przecież żadnego postępu w dziedzinie techniki i wiedzy o otaczającym nas świecie. Wiadomości nasze rozszerzamy stale właśnie dzięki tej armii odważnych. Myślę teraz o trójce śmiałków, która i niedawno wróciła z przestrzeni kosmicznej. Proponuję toast za ich dzielność. - To powiedziałwszy, uniósł swój kieliszek.

Wszyscy wypili i przy rozmowie na tematy podróży kosmicznych kolacja dobiegła końca.

- Dziękujemy za wspaniałą ucztę, którą nas uraczyłaś, Maureen - Anna wstała i uśmiechnęła się serdecznie do dziewczyny.

- Po tak ciężkiej pracy trzeba teraz pomyśleć o odpoczynku. Oczywiście, tobie należy się on w pierwszym rzędzie.

- Życzę więc państwu dobrej nocy. Ja też niedługo pójdę do siebie. Przedtem jednak muszę odbyć krótką rozmowę z moją pomocnicą, pełniącą tu rolę kucharki i pokojówki.

Bez wydatnej pomocy Jane nie zdołałabym podać państwu takiej kolacji jak dzisiejsza. - Maureen skinęła głową obecnym i zniknęła w drzwiach prowadzących do pomieszczeń gospodarczych.

- Prawdziwy skarb z tej dziewczyny - odezwał się Andrews. - Pani na pewno orientuje się, czy już wiadomo, kto będzie tym szczęśliwcem, którego zgodzi się ona poślubić? - zwrócił się do Anny.

- O ile się nie mylę, jego imię nie jest jeszcze znane nawet samej zainteresowanej. Ale jeśli wszystkich swoich gości zechce Maureen przyjmować tak jak nas, to myślę, że bardzo prędko przyjedziemy tutaj na wesele. Mężczyźni, nawet bardzo młodzi, są szczególnie wrażliwi na dobre traktowanie przy stole - odparła młoda kobieta.

Wszyscy troje roześmieli się i ruszyli na górę.

- Jaką gwieździstą noc mamy dzisiaj, Jim - powiedziała Anna wchodząc do pokoju, który razem zajmowali.

- Aż nie chce się zapalić światła, żeby nie rozproszyć tego delikatnego księżycowego blasku.

Stanęli przy oknie i przez dłuższą chwilę przyglądali się parkowi, który w tym oświetleniu pełen był dziwacznych, tajemniczych kształtów.

- Jestem jednak trochę znużona i najchętniej zaraz położyłabym się. To śmieszne, że najbardziej człowiek się męczy wtedy, kiedy właściwie nic nie robi - odezwała się znowu Anna.

- Powietrze jest tutaj trochę odurzające, a ty jeszcze nie przeszedłaś aklimatyzacji. Dodajmy do tego sutą kolację, którą poczęstowała nas Maureen. a rezultaty będą zupełnie zrozumiałe. Weź pierwsza kąpiel i połóż się. Ja też zrobię to niedługo - zaproponował James.

Po niespełna godzinie w pokoju państwa Brent zgasło światło. Anna zasnęła prawie natychmiast. Leżała teraz na prawym boku, w pozie, jaką najchętniej przyjmują śpiące małe dzieci, i oddychała spokojnym, równym oddechem. James przez chwilę przyglądał się żonie, po czym sam przymknął oczy.

Było ciepło. Gdzieś w dole, za otwartym oknem, słychać było cykady porozumiewające się ze sobą monotonnym szyfrem. Mimo to senność nie nadchodziła. Aby więc nie przewracać się z boku na bok, postanowił przejść się trochę po ogrodzie.

Ubrał się cicho i wyszedł z pokoju na palcach. Cały dom pogrążony był widać we śnie, bo znikąd nie dobiegał najmniejszy nawet szelest. Ująwszy poręcz schodów, James niemal bezgłośnie zaczął schodzić na dół. Skierował się ku wyjściu, gdy wtem zobaczył na podłodze nikłą smugę światła wybiegającego z jakichś półprzymkniętych drzwi. Rozejrzał się i stwierdził, że drzwi te prowadziły z sieni do pokoju, który był dawnym gabinetem Christophera Hodgarthy'ego.

Zbliżył się do wejścia i stanął w zagłębieniu framugi. Powoli oczy jego przyzwyczyły się do otaczającego mroku i dostrzegły szczupłą postać siedzącego mężczyzny, który świecąc sobie „ślepą” latarką szperał w wysuniętej szufladzie biurka. Dzielilo ich kilka dobrych kroków, lecz do uszu Brenta wyraźnie dobiegał szelest przewracanych ostrożnie kartek.

Twarzy nocnego gościa James nie mógł widzieć, gdyż był on odwrócony plecami. To, co dostrzegł, wystarczyło jednak zupełnie do zidentyfikowania siedzącej za biurkiem postaci. Nagle Andrews wstał, zasunawszy przedtem po cichu szufladę biurka. Brent bezgłośnie usunął się z drogi, sądząc, że inżynier zakończywszy swą niekonwencjonalną wizytę zamierza opuścić pokój. Po chwili zorientował się jednak, że nocny gość zatrzymał się przy półkach z książkami. Żółtawy promyk jego latarki błędził teraz po grzbietach licznych woluminów, wypełniających stojące pod ścianami regały.

Wtem, kiedy przejrzawszy zawartość trzech półek Andrews skierował się ku czwartej i ostatniej, wyraźnie skrzypnęły jakieś drzwi na piętrze. Zaraz potem obaj mężczyźni usłyszeli czyjeś szybkie kroki w korytarzu, rozbrzmiewające echem w pogrążonym we śnie domu.

Andrews drgnął i latarka zgasła.

Niemal w tej samej chwili dał się słyszeć cichy brzęk porcelanowej wazy, którą spłoszony intruz widocznie musiał potrącić. James wstrzymał oddech, ale cenny okaz na szczęście utrzymał równowagę. Andrews zapewne także zamarł w oczekiwaniu, gdyż przez chwilę w pokoju panowała niczym nie zmałona cisza. Wreszcie inżynier poruszył się. James rozplaszczony niemal zupełnie we framudze drzwi, bardziej poczuł, niż zobaczył, że tym razem rzeczywiście skierował się ku wyjściu.

Lekkie skrzypienie schodów, które po chwili dobiegło do uszu Brenta, świadczyło, że Andrews postanowił udać się wreszcie na spoczynek. Jeszcze stłumiony odgłos ostrożnie zamykanych drzwi i znowu zaległa zupełna cisza.

James zatrzymał się trochę w gabinecie. Chciał zastanowić się, jakie znaczenie mógł mieć nocny incydent, którego nieoczekiwanym i do końca nie ujawnionym świadkiem stał się przed chwilą. Wprawdzie zupełnie nie wiedział, czego Andrews mógł tutaj szukać, ale był teraz przekonany niemal całkowicie, że w sprawie Christophera Hodgarthy'ego rzeczywistość nie pokrywa się tak ściśle ze znaną wszystkim historią.

Pojedyncze elementy łamigłówki, której całości jeszcze nie

ogarniał, krążyły w jego niespokojnym umyśle. Jednakże James Brent wiedział, że musi istnieć wspólny mianownik, do którego można byłoby sprowadzić wszystkie, zagadkowe na razie fakty.

Rozdział piąty WSPOMNIENIA STAREGO OGRODNIKA

Po księżycowej nocy nastąpił równie piękny poranek I Brent obudziwszy się zobaczył z zadowoleniem, że na błękitnym niebie nie ma najmniejszej nawet chmurki. Spojrzał na zegarek. Dochodziło dopiero wpół do szóstej. Mimo że spał niewiele tej nocy, James czuł się zupełnie rześko i nie miał ochoty na długie wylegiwanie się w łóżku. Ponadto chciał sprawdzić, czy nocny incydent będzie miał jakiś dalszy ciąg tego ranka. Dlatego szybko wstał, wykapał się i ogolił, po czym jeszcze się ubierając, delikatnie uchylił drzwi prowadzące do hallu, aby móc słyszeć, co się tam dzieje.

Po niedługim czasie sąsiednie drzwi otworzyły się z cichym skrzypieniem i ktoś zaczął schodzić na dół. Brent wyjrzawszy ostrożnie z pokoju, zauważył szpakowatą głowę Andrews'a znikającą na pierwszym zakręcie spirali schodów. Poczul narastające podniecenie, ale z zegarkiem w ręce zmusił się do odczekania pięciu minut. Kiedy duża wskazówka dobiegła wreszcie do wyznaczonego punktu, rzuciwszy uważne spojrzenie na śpiącą jeszcze Annę, cicho wyszedł z pokoju.

Zszedł po schodach z zamiarem udania się do gabinetu Christophera Hodgarchy'ego, ale zanim dotarł do właściwych drzwi, w przestronnej sieni zobaczył Maureen Denverley wchodzącą właśnie od strony ganku. James zatrzymał się i pozdrowił dziewczynę.

- Dzień dobry panu - odpowiedziała swoim wysokim, dźwięcznym głosem. - Widzę, że panu również poranne słońce nie pozwoliło długo spać. Myślałam, że oprócz mnie, Jane i Sullivana nikt nie wstanie o tak wczesnej porze, tymczasem jest pan już drugą osobą, którą dziś spotykam. Inżynier Andrews

zszedł kilka minut temu I powiedział, że chce jeszcze raz spróbować naprawić swój samochód. Bardzo mu się śpieszy do Londynu, gdzie od rana ma dużo spraw. Właśnie wracam z warsztatu, dokąd go odprowadziłam.

- Mnie na szczęście nie prześladują żadne sprawy służbowe - stwierdził z zadowoleniem Brent. - W tej chwili nie mam nie do roboty. Chętnie więc wypełniłbym sobie najbliższą godzinę przeglądaniem bogatego księgozbioru, który widziałem w pokoju bibliotecznym. Czy nie miałaby pani nic przeciw temu?

- Skądże znowu! - Maureen zaprzeczyła potrząsając jasną główką. - Proszę niczym się nie krępować i naprawdę czuć się jak u siebie w domu. Cała biblioteka jest do pana dyspozycji.

- W takim razie od razu skorzystam z pozwolenia i nie będę pani dłużej przeszkadzał w na pewno licznych porannych czynnościach gospodarskich - Brent skłonił się dziewczynie i wszedł do gabinetu.

Zamknąwszy za sobą drzwi, podszedł od razu do półki, której zawartości Andrews nie zdążył przejrzeć minionej nocy. Miał trochę czasu, gdyż inżynier nie mógł przecież tak prędko zreperować swego samochodu. Jeden po drugim zaczął James przeglądać kolejne tomy, nie wiedząc dobrze, czego w nich szukać. Może jakiegoś dokumentu, którego Andrews nie mógł odnaleźć w biurku? A może jakiegoś określonego tytułu czy autora? Doszedłszy tak do czwartego już rzędu, zwątpił prawie zupełnie w celowość swego działania, gdy naraz w którejś z otwieranych książek zobaczył ex-libris Andrewsa.

Gwizdnął cicho i jeszcze raz spojrzął na okładkę. Było na niej zdjęcie jakiejś wysokogórskiej panoramy, a na jej tle - duży, wyraźny napis: ALPY ZACHODNIE.

Na górze widniały nazwiska trzech autorów: David Brookerby, Randolph Goodson, Cecil Whitehorn. Brent ponownie otworzył książkę i wtedy zauważył dedykację napisaną drobnym, starannym pismem:

„Staremu przyjacielowi, Charlesowi B. Andrewsowi, jedną ze stron swej górskiej działalności przedstawia C. Whitehorn. Londyn, 17.6.1952.”

James przerzucił książkę, na której stronach słowny tekst

ilustrowany był bogato zdjęciami i mapkami. Nagle spomiędzy kartek wypadł złożony we czworo artykuł, wycięty z jakiegoś magazynu. Brent spojrzął ciekawie na tytuł. Czarne, grube litery tworzyły napis: REQUIEM ALPEJSKIE 1957.

Pierwsza część artykułu poświęcona była problemowi śmiertelnych wypadków w górach, które co roku zabierają zarówno wytrawnych alpinistów, jak i turystów z przypadku. Autor podawał zestawienia liczbowe, świadczące o wzroście tej smutnej statystyki, i apelował do czytelników o większą ostrożność przy wspinaczce.

Druga część była wspomnieniem o znanych alpinistach, zarówno brytyjskich, jak i innych, którzy zginęli w Alpach w ciągu 1957 roku. Składała się z kilkunastu oddzielnych akapitów, z których każdy mówił o wybranej osobie. Uwagę Brenta przyciągnął właśnie jeden z tych fragmentów. Był on równo obwiedziony czerwonym ołówkiem, zapewne przez kogoś, kto wyciął z czasopisma cały artykuł. Linia obejmowała też nagłówek: CECIL WHITEHORN.

James jeszcze raz rzucił okiem na podpis pod dedykacją książki i zaczął czytać poświęcony alpinistom tekst:

„Tragicznie zakończyła się ostatnia samotna wspinaczka znanego alpinisty brytyjskiego, Cecila Whitehorna. Późnym popołudniem 27 września wyruszył on z Courmayeur z zamiarem udania się na Mont Blanc drogą przez Poire na ścianie Brenvy. Początkowo nic nie zapowiadało tragicznego finału tej wyprawy. Grupa alpinistów włoskich i francuskich spotkana przez Whitehorna w bivacco na przełęczy La Fourche zgodnie twierdziła, że warunki atmosferyczne były w górach zadowalające, a sam Whitehorn zdawał się być bardzo dobrze przygotowany do pokonania tej trudnej trasy. Niespełna trzy tygodnie wcześniej drogę tę przeszli znani alpinisci włoscy Walter Bonatti i Marcello Bareux. Whitehorn chciał powtórzyć ich wyczyn idąc jednakże sam. Z biwaku na przełęczy La Fourche wyruszył 28 września o godzinie 0.30. Ponieważ nikt nie towarzyszył alpinistom w tej wyprawie, można jedynie domyślać się jej dalszego przebiegu. Nie ulega

jednak wątpliwości, że Whitehorn z powodzeniem przeszedł najniebezpieczniejszy odcinek drogi na Poire: zdradliwy kuluar centralny ściany Brenvy, grożący częstymi i nieoczekiwanymi lawinami lodowymi. Przed dwoma laty w tym właśnie miejscu potężna lawina porwała trzech alpinistów, w tej liczbie znakomitego przewodnika alpejskiego Arturo Ottoza. Alpinista brytyjski przeszedłszy kuluar centralny osiągnął podstawę Poire o wysokości 13 000 stóp. Następnie zaczął wspinać się w górę trafiając na gładki taras, zwany Rideau, który znajduje się około 270 stóp poniżej szczytu La Poire. Niedaleko tego miejsca musiał wydarzyć się wypadek, gdyż grupa poszukiwawcza odnalazła na grzędzie Rideau ślady prowizorycznego biwaku, a white haki wskazywały, że alpinista rozpoczął stamtąd trawers w prawo celem osiągnięcia wierzchołka La Poire. Zapewne w którymś momencie wspinaczki przeszła lawina i jak wykazały oględziny miejsca wypadku, alpinista ześliznąwszy się kilkanaście jardów upadł do szczeliny lodowcowej, która stała się jego wieczystym grobem. Śmierć Whitehorna okryła żałobą środowisko brytyjskich alpinistów." Niżej zamieszczony był krótki życiorys: „Cecil Whitehorn urodził się w roku 1917 w Ipswich, East Anglia. Studia prawnicze w Cambridge przerwał mu wybuch wojny, którą przeszłużył w wojsku. Utraciwszy rodzinny majątek w wyniku działań wojennych, nie podjął później dalszych studiów i zaczął pracować jako tłumacz w Gordon & Jenkins Commerce House. Nieruchomości ani innego majątku nie posiadał. Był natomiast posiadaczem konta w Bank of England oraz polisy asekuracyjnej New Western Insurance Company. Żony ani bliższej rodziny nie miał. Prowadził raczej samotny tryb życia. Jego jedyną pasją była uprawiana od lat wspinaczka alpejska, w której odniósł wiele sukcesów. Specjalizował się głównie w wejściach w masywie Mont Blanc. Zajmował się również fotografią górską”.

Brent skończył czytać i zapadł w zadumę. Przypomniała mu się wczorajsza rozmowa o ludziach wykonujących

niebezpieczne zawody. „Oni po prostu kochają niebezpieczeństwo” - powiedział wtedy Andrews. Zapewne miał rację. Oto jeszcze jeden przedstawiciel tego rodzaju ludzi. Usłyszawszy w sieni szybkie kroki Maureen Denverley, James zamknął książkę, wkładając doń na powrót przeczytany artykuł. Z albumem w ręce wyszedł z pokoju i zatrzymał Maureen w momencie, gdy właśnie wychodziła do ogrodu.

- Proszę poczekać, Miss Denverley. Właśnie znalazłem w pani bibliotece tę książkę, która jest prawdopodobnie własnością inżyniera Andrews. Byłoby chyba dobrze, gdyby, korzystając z okazji, zwróciła mu ją pani od razu.

- Książka inżyniera Andrews? - powiedziała ze zdziwieniem Maureen otwierając album, który wręczył jej James. - Nie zauważyłam jej. A wydawało mi się, że przejrzałam już całą bibliotekę. Rzeczywiście, jest ex-libris, a nawet jakaś dedykacja. Cecil Whitehorn... Gdzieś już słyszałam to nazwisko. - Dziewczyna zmarszczyła brwi usiłując przywołać jakieś wspomnienie z dalekiej przeszłości.

Nagle twarz jej rozjaśniła się.

- Już wiem! Ten Cecil Whitehorn był jednym z kolegów Chrisa w czasie wojny. Służyli w tej samej jednostce. Na pewno również stamtąd znał go Mr Andrews, któremu jest dedykowana ta książka. Bardzo dziękuję za wskazanie mi tego albumu. Na pewno panu inżynierowi będzie przyjemnie, kiedy mu go zaraz zwrócę. Musi mieć przecież dla niego wartość pamiątkową.

- Właśnie tak myślałem - pokiwał głową Brent.

- Słyszysz pan? Mr Andrews wyjeżdża z warsztatu. Widocznie udało mu się coś zrobić z tym samochodem. Wobec tego od razu pójdę oddać książkę. Będzie miał miłą niespodziankę.

Dziewczyna uśmiechnęła się do Jamesa i wybiegła przed ganek.

Brent wrócił do biblioteki i przez okno zobaczył zbliżający się czarny Jaguar Andrews. Samochód zatrzymał się i inżynier wysiadłszy z niego zaczął mówić do Maureen coś, czego James nie mógł dosłyszeć z powodu zamkniętego okna.

Na ogół James Brent był człowiekiem dyskretnym, ale

bywały chwile, kiedy jego rozbudzona ciekawość rozgrzeszała drobne wykroczenia przeciw kanonom dobrego wychowania. Widocznie nadszedł właśnie taki moment, gdyż Brent cicho przekręcił klamkę okna i do pokoju wpadły słowa Maureen

- ... że nie może pan zostać na śniadaniu. Nie chcę jednak nalegać, jeśli w Londynie ma pan akurat dużo pracy. Mam nadzieję, że jeszcze nieraz odwiedzi pan Timbergate, gdzie będzie pan zawsze mile widziany.

- Dziękuję za zaproszenie i za wspaniałe przyjęcie, drogie dziecko. Chętnie przyjadę, jak tylko znajdę chwilę czasu. Ale oczywiście najpierw pani musi mnie odwiedzić w mojej nadmorskiej siedzibie, koło Cardiff. A co to za książka, którą pani trzyma w ręku?

- To właśnie coś dla pana. Jest chyba pańską własnością, choć była w tutejszej bibliotece. Dziewczyna wręczyła mu album, a inżynier zaczął się weń wpatrywać ze zdumieniem.

- Powiedziała pani, że to było tutaj, w bibliotece? - W zmienionym głosie zabrzmiało coś na kształt niedowierzania.

- Tak. A ponieważ to pańska książka i chyba bardzo pamiątkowa, więc dlatego zwracam ją panu korzystając z pierwszej okazji.

- Rzeczywiście - Andrews intensywnie przyglądał się teraz Maureen nie patrząc, już na otwarty album.

W tym momencie powiał wiatr i gładki arkusz wysliznąwszy się spomiędzy stronic książki zatańczył w powietrzu. Usłyszawszy szelest inżynier odwrócił głowę i szybko podniósł z ziemi leżącą na niej teraz kartkę. Rozłożywszy ją, przez kilka sekund patrzył na nią bez słowa, po czym włożył z powrotem do albumu.

- Dziękuję bardzo, Miss Denverley. To naprawdę ważna pamiątka... A zatem umawiamy się, że odwiedzi mnie pani w Seaside Garden? - powiedział już lekkim tonem.

- Moglibyśmy spotkać się w Londynie i stamtąd wybrać się razem do Walii.

- Bardzo chętnie. Nie znam jeszcze tutejszego krajobrazu, więc każda nowa podróż ma dla mnie urok wyprawy w nieznanne. - W takim razie zadzwonię do pani w ciągu tego

tygodnia i wtedy umówimy się na konkretny termin. A teraz już muszę panią pożegnać i prosić o przekazanie moich ukłonów państwu Brent... Aha, jeszcze nesese! Byłbym zapomniał... Przepraszam panią na chwilę. Pójdę tylko na górę i zaraz wracam.

Powiedziawszy to inżynier znikł Brentowi z pola widzenia. James usłyszał jego szybkie kroki na schodach, najpierw na górę, a zaraz potem - w dół. Jednakże zamiast wyjść od razu na ganek, Andrews z nesese'em w ręce wszedł do biblioteki.

Przez ułamek sekundy zatrzymał się, jakby zaskoczony widokiem siedzącego w fotelu Jamesa, ale zaraz podszedł doń wyciągając rękę.

- Właśnie wyjeżdżam, Mister Brent. Chciałbym pożegnać się z panem i prosić o przekazanie moich ukłonów małżonce... Miło mi było poznać państwa. Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze w tym gościnnym domu.

- Z pewnością - odparł James ujmując podaną mu dłoń. - Nam również było bardzo przyjemnie. Życzę panu miłej podróży.

Mężczyźni skłonili się sobie i inżynier szybko wyszedł z pokoju. Po chwili James zobaczył go wsiadającego do samochodu. Maureen, która cały ten czas stała obok wozu, pokiwała ręką odjeżdżającemu. Jaguar ruszył ostro w kierunku bramy. Brent odwrócił się od okna i wolnym krokiem poszedł ku wyjściu. Przechodząc przez rozległą, prawie pustą sień spojrzął na tarczę stojącego tam okazałego, wiktoriańskiego zegara, który zachrypłym tykaniem odmierzał mijające sekundy.

W tym momencie rozległ się piekielny zgrzyt i zegar wydzwonił trzy kwadransy na siódmą. Trzy donośne uderzenia wprawily w drżenie masywną, dębową konstrukcję. Łańcuchy, na których zawieszono były ciężkie, mosiężne wagi, naprężyły się jeszcze bardziej i Brent przez chwilę miał wrażenie, że zerwą się pozwalając ciężarom rozbić inkrustowaną masą perłową szafkę, na której wznosiła się wieżyczka zegara. Nic takiego nie stało się oczywiście. Niebawem drgania wygasły i zegar wrócił do równowagi. Tym samym schrypniętym tykaniem wtórował

znów ruchom wahadła.

„Piekielna machina - pomyślał James. - Nic dziwnego, że ustawiono ją tutaj, a nie w którymkolwiek pokoju. Dłuższe przebywanie z nią w jednym pomieszczeniu przyprawiłoby o rozstrój nerwowy najbardziej opanowanego człowieka.” Skonstatowawszy to, Brent wyszedł przed dom, ale młodej gospodyni już tam nie było. Musiała widocznie powrócić do przerwanych zajęć domowych. Wobec tego James postanowił przejść się po otaczającym go parku. Ale nie było mu dane rozkoszować się zbyt długo pięknem przyrody i samotnością, gdyż po kilku minutach zobaczył na ścieżce idącego ku niemu starego człowieka, którego poznał wczoraj odstawiając samochód do garażu. Wiedział od Miss Denverley, że był to Geoffrey Sullivan, dawny sługa Christophera Hodgarthy'ego pełniący tu za życia obojga państwa Hodgarthy funkcję odźwiernego, ogrodnika i konserwatora samochodów Christophera, a potem, po śmierci Catherine, również funkcję zarządcy całej nieruchomości i doradcy jej właściciela. Kiedy i Hodgarthy rozstai się z tym światem, Sullivan, zgodnie z wyrażonym kiedyś życzeniem swego zmarłego pracodawcy, pozostał w Timbergate oczekując przyjazdu Maureen. Obecnie dobiegał osiemdziesiątki, ale trzymał się znacznie lepiej, niżby na to mogła wskazywać jego metryka. Brent pokiwał do niego ręką i stary człowiek zatrzymał się.

- Dzień dobry, Sullivan. Mieliście pewnie pracowity poranek przy samochodzie pana Andrewsa - zagadnął.

- Dzień dobry panu - ogrodnik pochylił głowę w ukłonie. - Może to pana zdziwi, ale inżynier Andrews i wczoraj i dziś sam reperował swój samochód. Jak tylko wczoraj zaczął grzebać w wozie, mówiłem mu, że mógłbym może coś pomóc. Ale on nie chciał. Myśli pewnie, że taki stary jak ja, co siedzi na odludziu, nie nadaje się do naprawiania Jaguarów. Żeby on widział te samochody pana Hodgarthy'ego, w których dłużyłem tyle razy. Zresztą... - ogrodnik machnął ręką - nie ma o czym mówić. Ludzie są różni i nie każdy może być taki jak zmarły pan Hodgarthy - westchnął melancholijnie.

- Widzę, że byliście przywiązani do waszego dawnego

pracodawcy - James przyjrzał się uważnie swemu rozmówcy.

- Bo to był, proszę pana, kryształowy człowiek. Sullivan zasepił się. Milczał przez chwilę, a obserwujący jego twarz Brent zauważył, że stary człowiek podejmuje właśnie jakąś ważną decyzję. Wreszcie, widocznie coś postanowiwszy, ogrodnik zwrócił się do Jamesa:

- Wiem, kim pan jest, Mister Brent. Nie trzeba mieszkać w Londynie, aby pana znać. Ja też o panu słyszałem i mam zaufanie do pana i do tego, co pan umie. Dlatego zwracam się do pana z wielką prośbą... - Stary człowiek zamilkł, porządkując w myślach to wszystko, co chciał powiedzieć. Widać było, że nie jest przyzwyczajony do wypowiedziania dłuższych kwestii, a do samego tematu ma stosunek wyraźnie emocjonalny. Wreszcie podjął wątek:

- Chodzi właśnie o dobrą pamięć pana Horgarthy'ego. To był bardzo szlachetny człowiek, proszę pana. I mnie osobiście boli, że jego wspomnienie nie jest takie czyste jak być powinno. Głęboko wierzę, że mój pan bardzo kochał swoją żonę. Panią Maureen też traktował jak własną córkę. Ale po śmierci pani Hodgarthy różne rzeczy tu mówiono... Przecież przyjazd policji to dopiero okazja do plotek, co? Potem, po czasie, te plotki ucichły, ale teraz, jak przyjechała panna Maureen, ludzie, którzy tu dawno mieszkają, znowu przypominają sobie to i owo. A jak pamiętam, panna Maureen zawsze miała dobre serce i pewnie zabolaloby ją bardzo, gdyby się czegoś złego dowiedziała o człowieku, którego kochała jak rodzzonego ojca. Gdyby policja umiała wtedy wyjaśnić tę sprawę do końca, na pewno żadne podejrzenia nie padłyby na pana Hodgarthy'ego. Ale oni, proszę pana... - Sullivan urwał i dopiero po chwili dodał: - Dlatego mam wielką prośbę, żeby zechciał pan to wszystko raz porządnie sprawdzić... Tak, żeby nareszcie nie było żadnych wątpliwości. I mnie kamień spadłby z serca, i panna Maureen nie spotkałaby się z żadnymi przykrościami.

- Dziękuję za zaufanie, ale nie wiem, czy po tylu latach można będzie jeszcze wyjaśnić okoliczności śmierci pani Hodgarthy. Bo oczywiście chodzi wam właśnie o tę sprawę? - Brent spojrział na ogrodnika, który nie spuszczał z niego

wzroku przytaknął ruchem głowy. - Rozumiem dobrze wasze stanowisko i dlatego mogę obiecać, że spróbuję zorientować się w tej sprawie. Nie przyrzekam jednak, co z tego wyniknie. Oczywiście najpierw muszę się dowiedzieć jak najwięcej o trybie życia rodziny Hodgarchy'ch w tamtych czasach. Dlatego musicie mi opowiedzieć, jak tu było w Timbergate w czasach, kiedy oboje państwo jeszcze żyli.

Weszli pomiędzy drzewa. Na trawie wyciągały się długie cienie wczesnego ranka. Ogród w tym miejscu był prawie dziki.

Brent oparł się o gruby pień i uśmiechnął się do Sullivana zachęcając go do mówienia.

- Kiedy państwo żyli oboje, działo się tu bardzo dobrze - zaczął z przekonaniem ogrodnik. - Gości wtedy dużo nie bywało i mieszkali we trójkę, z maleńką jeszcze panną Maureen, jak u pana Boga za piecem. Czasem tylko ktoś ich odwiedził. Najczęściej tacy jedni mili państwo z Londynu, co to on był jakimś profesorem, a ona koleżanką szkolną pani Hodgarchy. Przyjeżdżał też pan inżynier Andrews, a czasem, znacznie rzadziej, także i inni koledzy z wojska. Zaraz po wojnie to pan Hodgarchy przyjaźnił się z panem Andrewsem bardzo serdecznie, ale po śmierci pani chyba trochę mniej. Tak mi się zdaje, bo pan inżynier przyjeżdżał już rzadziej i pan Hodgarchy nie miał wtedy takiej zadowolonej miny, jak to kiedyś bywało. Zresztą ci państwo z Londynu też przestali tu bywać. Przenieśli się podobno na dłużej do Ameryki.

- Skoro pan Hodgarchy, jak mówicie, był tak bardzo przywiązany do swojej żony, to jej ciężka i beznadziejna choroba musiała stać się dla niego wielką tragedią - powiedział James.

- Tak,.. Pamiętam te dni, jakby to było wczoraj. Gdy pan Hodgarchy dowiedział się, na co choruje jego żona, zmienił się w ciągu jednego dnia nie do poznania. Przedtem był taki pogodny... Ciągle miał jakieś nowe projekty... Potem aż przykro było na niego patrzeć, wyglądał sam jak straceniec. Ilu lekarzy przeszło wtedy przez ten dom! Cała procesja, prośbę pana. Ale nic nie pomogło. - Ogródnik zmarszczył brwi. - Już pewnie dawno Bóg przebaczył pani Hodgarchy, jeśli to ona sama

połknęła tę truciznę, bo tak cierpieć to było naprawdę ponad siły człowieka. A może to ktoś inny ulitował się nad nią i dał jej skończyć tę mękę? - dodał po chwili milczenia.

- Wszystko jedno, kto to zrobił, musiało to być z litości dla tej biednej kobiety. A czy wiecie, kogo wtedy podejrzewano o przyspieszenie śmierci pani Hodgarthy? - spytał James.

- Pewnie, że wiem, bo mnie ciągle przesłuchiwali... I innych stąd też. Policja ustaliła, że to mogła zrobić albo sama pani, albo jej mąż, czyli pan Hodgarthy, albo pielęgniarka, która przy chorej siedziała. Jednak policja nie wiedziała kto i na tym całe śledztwo się skończyło.

- Ale na początku naszej rozmowy wspominaliście, że coś tu o waszym panu w okolicy źle mówiono - przypomniał Brent.

- Kiedy to ludzie głupstw nie mówią, jak tylko mają okazję? Tak, mówiono nawet bardzo źle. Krążyła plotka, że pan Hodgarthy specjalnie pozbył się żony, bo miał w domu młodszą i ładniejszą niewiastę. Chodziło niby o wychowawczynię panny Maureen, która miała wtedy ze dwadzieścia lat i była rzeczywiście bardzo ładna. - Sullivan zamilkł na chwilę i chrząknął głośno, jakby zażenowany własnymi słowami. Potem dodał prędko:

- Ale to była zupełna bzdura, bo między panną Thompson a panem Hodgarthy'm nigdy nic nie było, może mi pan wierzyć. A takie głupie gadanie było podłością wobec człowieka tak uczciwego i kochającego swą żonę. Potem zresztą te plotki prędko ucichły, bo przyjechała siostra pani Hodgarthy z Australii i zabrała ze sobą dziewczynkę, a wtedy oczywiście panna Thompson poszła do pracy gdzie indziej.

- Ofiarami plotki padają częstokroć zupełnie niewinni ludzie i właściwie nie ma na to rady. - Nastąpiła chwila ciszy.

Brent zerknął na Sullivana, który stał z wyrazem napiętej uwagi i czekał na dalsze pytanie.

- Wspominaliście, że po śmierci żony pan Hodgarthy bardzo się zmienił. Zdaje się, że właśnie wtedy zaczął dużo częściej startować w wyścigach samochodowych, prawda?

- Więc i pan to zauważył? No właśnie... Nieraz bywał prawie gościem w domu. Ile to razy mówiłem, żeby trochę bardziej się

oszczędzał, bo przecież przy zmęczeniu o wypadek nietrudno. Ale wtedy jeszcze miał szczęście. - Ogrodnik ciężko westchnął. - Czasem robił wrażenie człowieka usiłującego dogonić spokój ducha, który mu gdzieś uciekł. Pewnie stąd te ciągłe wyścigi i nagłe podróże za granicę. Wracał zawsze jeszcze mniej spokojny, niż wyjechał.

- Miss Denverley mówiła mi, że pan Hodgarthy prosił was, abyście na wypadek jego śmierci pozostali tutaj i czekali na jej przyjazd. - Czy to było na długo przed jego śmiercią? - spytał James.

- Ze dwa albo trzy dni, nie więcej. Pan Hodgarthy był wtedy znowu bardzo nerwowy. Najpierw nie pojechał na wakacje z panną Maureen, chociaż przedtem bardzo się na nie cieszył. A potem naraz zaczął mówić, że może mu się coś złego stać na wyścigu i gdyby tak było, żebym czekał na pannę Maureen, która tu przyjedzie, jak będzie dorosła.

- Musiał mieć widocznie jakieś złe przeczucia - zauważył Brent. - Czy nic więcej na to nie wskazywało oprócz tej prośby, abyście tu zostali po jego ewentualnej śmierci?

- A nie, więcej już nic... Tak, pewnie miał jakieś przeczucie. Tego dnia, co mówiłem, w ogóle był jakiś dziwny. Całe popołudnie siedział w swoim gabinecie. Czytał coś, pisał, porządkował swoje papiery i bardzo się na mnie rozgniewał, jak przyszedłem go o coś zapytać. Dopiero potem, już po kolacji, przeprosił mnie za to, że mnie skrzyczał bez powodu. Mówił, że to pewnie dlatego, że jest zdenerwowany tym startem. Wtedy też powiedział, żebym tu czekał na pannę Maureen, gdyby mu się co złego stało. - Stary ogrodnik umilkł i popatrzył na Brenta pytająco.

- Dziękuję wam bardzo, Sullivan. Spróbuję nie zawieść waszego zaufania. Być może, bardzo dobrze się stało, żeśmy się tu akurat spotkali - James serdecznie uściśnął rękę starego człowieka. - Teraz muszę was pożegnać, bo nie mam już ani jednego papierosa, więc pojedę prędko do miasteczka, żeby zdążyć z powrotem na śniadanie.

To powiedziawszy Brent wsiadł do swego samochodu i zapuścił silnik. Jadąc w kierunku najbliższej poczty,

znajdującej się w Chichester, myślał, jak to dobrze, że jego przyjaciel nadinspektor Scotland Yardu Stanley Kevel zakończył już tegoroczny urlop. Dzięki temu James prawdopodobnie jeszcze dziś będzie mógł zapoznać się szczegółowo z życiorysem Andrews'a, o którego przygotowanie właśnie zamierzał poprosić przyjaciela.

Rozdział szósty „JEŚLI MAM PANI POMÓC WYJAŚNIĆ...”

- Jakie plany macie państwo na dzisiejsze przedpołudnie? - spytała Maureen swych gości, gdy wszyscy troje skończyli śniadanie. - Z miejscowych atrakcji mogę zaproponować dość długi, ale bardzo ładny spacer w stronę morza, bądź krótszy po tutejszym parku. Ponadto do dyspozycji są leżaki w ogrodzie i kort tenisowy zaraz za domem.

- To brzmi bardzo zachęcająco. Chciałabym jednak wykorzystać tę porę dnia, kiedy słońce jeszcze tak mocno nie przypieka, na zajęcia nieco mniej próżniacze - powiedziała Anna. - Mam na myśli ten szkic, o którym mówiłam wam wczoraj wieczorem. Chętnie zabrałabym się do niego zaraz, jeśli tylko nie widzicie w tym nic niestosownego.

James rozłożył ręce bezradnym ruchem.

- Skoro Anna zdradza nas, będziemy musieli zadowolić się własnym towarzystwem - zwrócił się do Maureen. - Może na przykład zastanowilibyśmy się wspólnie nad tym tajemniczym listem pana Hodgarchy'ego? Czy miałaby pani na to ochotę właśnie teraz?

- Choćby natychmiast - odparła młoda dziewczyna. - Jestem naprawdę ciekawa, jakie będzie pańskie zdanie na ten temat. Brent podniósł się z krzesła.

- Myślę, że najwygodniej byłoby nam porozmawiać w dawnej bibliotece pani ojczyma - zagadnął.

- Oczywiście - zgodziła się Maureen. - To bardzo dobry pomysł. Chodźmy!

- I ja pójdę razem z wami - powiedziała Anna - bo właśnie w

gabinecie stoi waza, która mnie tak interesuje. Nie bójcie się jednak. Nie będę wam przeszkadzać w rozmowie. Zabiorę to naczynie na górę, gdzie mam wszystkie przybory potrzebne mi do szkicowania.

Wszyscy troje opuścili jadalnię. Gabinet Christophera Hodgarthy'ego, zwany też biblioteką, James Brent obejrzał już dokładnie wczoraj po przyjeździe i dziś z samego rana, gdy przeglądał książki, które wypełniały dolne półki regału stojącego wzdłuż całej ściany prostopadłej w stosunku do drzwi. W pokoju było teraz jasno i grzbiety woluminów robiły wrażenie bardziej kolorowych niż przed kilkoma godzinami.

Ponieważ książki były ułożone ściśle jedna przy drugiej, w oczy rzucał się brak jednego tomu wśród dużego formatu albumów.

Spojrzawszy w to puste miejsce Brent przypomniał sobie, jak stąd właśnie wyjął książkę, którą Maureen oddała Andrewsowi. - Czyżby nocny gość poszukiwał ukradkiem rzeczy będącej jego własnością? A jeżeli tak, to dlaczego? I po co przychodził tu jeszcze raz, tuż przed samym wyjazdem? - Pytania te przemknęły przez myśl Brentowi, lecz gdy zwrócił wzrok na stojące poci oknem biurko, zaczęły zastępować je inne, być może ważniejsze. Z zamyślenia wyrwał Jamesa głos żony.

- No, to zabieram mój skarb i zostawiam ci was samych. Ostrożnie zdjęła z półki drogocenną wazę.

W środku coś zabrzęczało jakimś dziwnym dźwiękiem. James natężył uwagę i po chwili przypomniał sobie. Tak! Wczoraj w nocy, kiedy Andrews zgasił swoją latarkę, słychać było dokładnie to sarno. Inżynier z całą pewnością musiał potrafić tę właśnie wazę. Stała na stoliku tuż przy regałach, a więc w pobliżu miejsca, obok którego nocny gość musiał przechodzić opuszczając pokój. Brent zadowolony, że przypomniał sobie ten szczegół, podszedł do żony, która właśnie wyjęta z wazy jakiś skórzany worek.

- Ten balast nie jest mi potrzebny do szkicowania, więc lepiej będzie, jeśli ci go zostawię - powiedziała Anna.

Młoda gospodyni wyglądała na zdziwioną.

- A to co znowu? Od rana spotykają mnie w tym pokoju same

niespodzianki. To już dzisiaj druga rzecz, której do tej pory nie zauważyłam, a zdawało mi się, że wiem dość dokładnie, co się tu znajduje. Uważnie obejrzała sakiewkę z zewnątrz, a potem rozwiązała skórkową plecionkę, którą torba była u góry związana. Zajrzała do wewnątrz. - Tu są jakieś kule - powiedziała zdumiona i machinalnie podała worek Brentowi.

Ten zaś wysypał na biurko zawartość tajemniczej torby. Po zielonym suknie rozbiegły się na wszystkie strony kule wielkości piłek tenisowych. Było ich sześć. Pięć białych i jedna czarna. Białe ponumerowane były kolejnymi cyframi od jednego do pięciu. Brent podniósł ze stołu kulę białą i czarną. Obejrzał je uważnie. Poza kolorem nie różniły się chyba niczym; wielkość i ciężar miały w przybliżeniu identyczne. Wypuścił kule z rąk i popatrzył na obie kobiety, które były nie mniej zafascynowane tym niespodziewanym odkryciem.

- No, to mamy nową zagadkę - powiedział prawie wesoło. - Przyznam się, że nie mam najmniejszego pojęcia, do czego to mogło służyć pani ojczymowi.

- Może do jakiejś gry hazardowej? - zaczęła zgadywać Maureen. - Ruletka albo coś w tym rodzaju...

- Nie, raczej nie - powiedział z powątpiewaniem Brent. - Wygląda to zupełnie inaczej. Chyba że byłoby to coś zupełnie specjalnego.

- A może te kule mają jakieś znaczenie kabalistyczne? - Anna zaryzykowała odmienne przypuszczenie.

- Czyżbyś wyobrażała sobie pana Hodgarthy'ego siedzącego z czarnym kotem na ramieniu i wróżącego z tych kul oraz fusów po kawie? - zapytał James z łagodną kpina w głosie.

- Nie, skądże - zmieszała się jego żona. - Ale te kolory i dziwaczne cyfry nie wiem dlaczego skojarzyły mi się z jakimiś wróżbami i czarną magią.

- Nie ma się co wysilać, drogie panie - podsumował dyskusję Brent. - Nie wymyślimy tego tak od razu. Jedno jest tylko pewne: to nie średniowieczni Chińczycy wyposażyli tak swoje dzieło... Radziłbym pani schować ten worek do jakiejś szuflady, Miss Denverley. Może kiedyś sarno wyjaśni się, komu i do czego on służył.

Maureen posłusznie zgarnęła kule do sakiewki i związawszy ją wsunęła wszystko do środkowej szuflady w biurku Hodgarthy'ego.

- W takim razie życzę wam miłych dyskusji nad wszystkimi zagadkami razem z tą ostatnią. Ja już się z tego wyłączam. Idę na górę rysować - oznajmiła Anna i wyszła zabierając z sobą cenną wazę.

Maureen wyjęła list swego ojczyrna i usiadła.

James zajął miejsce w wygodnym fotelu naprzeciw niej. Między nimi stał mały, niski stoliczek z laki, na którym dziewczyna położyła podłużną, niebieską kopertę. Była ona zaadresowana zdecydowanym charakterem pisma:

„Dla mojej pasierbicy, Miss Maureen Denverley za pośrednictwem biura prawnego Milford, Brothers & Co”. Niżej ta sama ręka napisała:

„Proszę doręczyć adresatce po uzyskaniu przez nią pełnoletności i wyłącznie w przypadku, gdybym zmarł przed tym faktem.”

Brent otworzył kopertę. Wyjął z niej trzy złożone we czworo arkusiki, wypełnione w całości tym samym kanciąstym, męskim pismem i zaczął czytać półgłosem:

Tirnbergate, 19 września 1958

Droga Moja Córko,

Człowiekowi towarzyszą zmienne nastroje - radość przeplata się z goryczą, a beztraska dnia codziennego z zadumą nad sensem istnienia. Kiedy dorosisz, sama będziesz o tym wiedziała. Dzień dzisiejszy skłania mnie do refleksji i obrachunku z sobą samym. W wyniku tego piszę do Ciebie, jedynej wśród żyjących bliskiej mi osoby. List przeznaczony jest dla Ciebie dorosłej, takiej, jaką będziesz za lat dziesięć. Piszę go na wypadek, gdybym umarł przed uzyskaniem przez Ciebie pełnoletności. Wówczas otrzymasz go od mojego radcy prawnego, gdy, jako dorosła dziewczyna, zechcesz zapewne Wrócić na stałe do kraju. Może wydawać

się dziwne, że będąc w sile wieku i ciesząc się dobrym zdrowiem fizycznym myślę o własnej śmierci jako o zdarzeniu być może niedalekim. Wszyscy jednak jesteśmy śmiertelni i nikt nie może wiedzieć, ile czasu mu jeszcze pozostało. W naszych czasach coraz więcej ludzi odchodzi z tego życia w sposób nagły. Zwłaszcza w moim zawodzie, w którym nigdy nie wiadomo, czy wyścig o wawrzyn zwycięstwa nie będzie kosztował najwyższej ceny. Nazwiska kierowców, z którymi sam startowałem, a którzy zginęli za kierownicą, utworzyłyby dość długą listę. Może dlatego, obcując z tym stałym niebezpieczeństwem, kierowcy są częstokroć ludźmi przesądnymi i bardziej serio niż inni traktują własne nastroje czy przeczucia. Należę do tej kategorii ludzi i nie jestem pozbawiony wad jej właściwych. Dlatego z pewnym niepokojem myślę o moim udziale w zbliżającym się dorocznym wyścigu na torze Livelands. Nigdy jeszcze nie czułem takiej tremy i niepewności. Mimo to nie zrezygnuję ze startu - to oznaczałoby klęskę. A do tej pory nikt jeszcze nie zarzucił mi braku odwagi na torze. Będę więc startował, Córkko, niezależnie od tego, jak wielka jest moja trema i obawy. Ale, na wszelki wypadek, chcę przedtem uporządkować moje sprawy, aby, gdyby mnie szczęście opuściło, nie musiał tego za mnie robić nikt inny. Mój testament, w którym zapisuję Ci cały posiadany majątek, od dawna leży już u notariusza. Mister Milford, którego od lat znam i poważam, z pewnością będzie Ci służył radą i pomocą w całej nieco skomplikowanej procedurze prawnej, towarzyszącej obejmowaniu spadku. Zaś kiedy już oficjalnie staniesz się właścicielką Timbergate, poczciwy Geoffrey Sullivan pomoże Ci wejść w faktyczne posiadanie nieruchomości. Ten stary i wierny sługa naszej rodziny, zamieszkały tu jeszcze za młodych lat mego ojca, zna każdą piędź ziemi i każdą klepkę w Timbergate. Pragnąłbym bardzo, aby dożył Twego przyjazdu - byłby Ci na pewno znaczną pomocą. Poza Williamem Milfordem, o którym już pisałem, Sullivan jest jedynym spośród znanych mi bliżej i mieszkających teraz w Anglii ludzi, co do którego mam

pewność, że Cię nie zawiedzie. Pamiętaj o tym, Maureen, i słowa te potraktuj nie tylko jako rekomendację, ale i jako ostrzeżenie. Świat nie jest taki piękny i dobry, jak to się nam wydaje, kiedy mamy dwadzieścia lat. Nikt nie jest wolny od przywar. Nieraz zdarza się, że motywy naszego postępowania wcale nie są takie, jak to demonstrujemy naszym bliźnim. Im dłużej przyglądam się ludziom, nie wyłączając siebie samego, tym większą słuszość przyznaję Szekspirowi, który tak trafnie, choć bezlitośnie rozszyfrowywał rzeczywiste pobudki ludzkiego działania. Wróciłem właśnie, po latach nieczytania, do jednej z jego królewskich tragedii, która, jak nigdy jeszcze, uderzyła mnie pełnią wciąż zdumiewająco aktualnej wiedzy o postępowaniu człowieka. Ale odszedłem zbyt szybko od tematu, a chciałem Ci tylko powiedzieć, abyś, nie tracąc prawdziwej ufności w generalnie rozumianą ludzkość, była przy tym ostrożna i nie wierzyła zbyt łatwo każdej przedstawianej Ci wizytówce, zanim nie poddasz jej próbie. Inna sprawa, o której chcę Ci jeszcze napisać, wiąże się z powyższymi, zapewne dość chaotycznymi, uwagami o tyle, że kłamstwo jest jedną z powszechniejszych ludzkich przywar. Ludzie mijają się z prawdą z różnych powodów - z nieświadomości, lekkomyślności, głupoty, wreszcie świadomej złej woli i chęci zaszkodzenia innej osobie. I Tobie, Maureen, może się więc zdarzyć, że usłyszysz złe, nieprawdziwe historie o ludziach Ci bliskich, którzy sami nie będą już mogli się bronić. Myślę o sobie i Twojej Matce. Dlatego, bez względu na to, co usłyszysz od ludzi, z całą odpowiedzialnością zapewniam Cię, Maureen, że kochałem Twoją Matkę najgłębszym i zapewne najszlachetniejszym uczuciem w moim życiu. Taka jest prawda i Tobie - Jej Córcie, a mojej pasierbicy, od dawna uważanej przeze mnie za własne dziecko - nie wolno w nią wątpić. To wszystko, co mam Ci do powiedzenia, Córczo, na wypadek, gdybyśmy nie mieli się już zobaczyć. Bądź prawa, dzielna i przezorna. Twój kochający Cię zawsze

Christopher Hodgarthy

Brent odłożył list i popatrzył na Maureen.

- To wszystko brzmi dość zagadkowo - powiedział. - Rzeczywiście, miała się pani nad czym zastanawiać.

- Niestety, choć coraz wyraźniej odczuwam jakąś groźbę bijącą z tego listu, moje rozmyślania nie dały żadnego rezultatu. Dlatego chciałam, żeby pan to obejrzał.

- Podoba mi się pani dociekliwość, Miss Denverley. Czasem za niejasnymi sprawami... - James zawiesił głos i popatrzył na dziewczynę, która zbierała błękitne kartki, rozrzucone na stolyczku. - Jeśli mam pani pomóc wyjaśnić, o czym myślał pani ojczym pisząc ten list, powinienem mieć dostęp do wszelkich możliwych śladów, jakie tu po nim zostały - dodał po chwili pozornie lekkim tonem.

- Wszystko jest do pańskiej dyspozycji - odparła Maureen. - Co chciałby pan najpierw zobaczyć?

- Przede wszystkim egzemplarz „Ryszarda Trzeciego”, o którym już rozmawialiśmy.

Dziewczyna wręczyła Brentowi nieduży tomik, oprawiony w ciemnoniebieskie płótno, a on otworzył książeczkę na odwrocie strony tytułowej, gdzie wśród innych informacji widniało *petitem* napisane zdanie: „Druk ukończono w sierpniu 1958 roku”. Następnie szybko przerzucając kartki odszukał w rozdziale piątym ostatnią kwestię Buckinghama i wzrok jego zatrzymał się na mocniej podkreślonych wersetach:

„...Życzyłem sobie, by właśnie ten dzień
Był dla mnie kresem ziemskiego żywota...
...I oto teraz wszechwidzący Bóg...
...Przeciw mnie zwrócił me obłudne prośby,
Dał mi naprawdę, o com żartem prosił!”

James poczuł, że fakt zakreślenia przez Christophera Hodgartheo tych właśnie fragmentów sztuki oraz taka a nie inna redakcja listu, jaki ów jakże odważny człowiek napisał na krótko przed swym tragicznym, zamykającym życie wypadkiem, musi mieć jakieś wspólne wyjaśnienie. Jedno przemawiało za tym na pewno: nastrój przepowiedni, która się

potem sprawdziła. - Czyżby Christopher Hodgarthy w którymś momencie swojego życia postanowił popełnić samobójstwo, a potem z jakichś względów nie chciał lub nie mógł odstąpić od tego zamiaru? - Ta myśl nasunęła się Brentowi tak nieoczekiwanie, że zrazu wydawała mu się nieprawdopodobna. Jednak nie mógł się od niej uwolnić. - Gdyby to była prawda - rozumował mimo woli - to gdzie szukać śladów motywacji? Czy w biografii Christophera Hodgarthy'ego w ogóle istniał jakiś splot tak drastycznych okoliczności, że mógłby stanowić powód do skracania sobie życia?... Może zacząć od nie wyjaśnionych przyczyn śmierci jego żony? Ale czy to dobry punkt zaczepienia, skoro śledztwo umorzono?... Jest też jasne, że słowa osób bliskich zmarłemu niewiele tu wniosą. Jego pamięć... Więc? Tylko przypadek, właściwa interpretacja drobiazgu może wskazać trop, który... który co? -- Brent zdawał sobie sprawę, że znajduje się w takiej sytuacji, jak dziecko, gdy układa klocki w ciągle inne konfiguracje, bo nie wie jeszcze, jaką budowlę zamierza wznieść. Coraz bardziej potrzebował nowych faktów.

Milczenie trwało już dosyć długo i James postanowił je przerwać. Odkładając na stolik trzymaną przez cały Czas książkę zwrócił się do Maureen:

- Czy mógłbym zapoznać się z zawartością tego biurka? - Wskazał ręką masywny, dębowy mebel pod oknem, a potem dodał: - Oczywiście, o ile nadal znajdują się tam papiery pani ojczyma.

- Na razie wszystko tu jest tak, jak zostawił Chris. Jeszcze nic nie przekładałam. Przejrzałam tylko niektóre dokumenty. Proszę sobie obejrzeć wszystko, co pana interesuje. Wszystko łatwo znaleźć, bo Chris był bardzo porządny. Wszelkie papiery miał posegregowane. Nawet stare kalendarze zbierał. Są tu wszystkie od wojny aż do pięćdziesiątego ósmego roku... Czy chciałby pan zaraz zabrać się do tego biurka?

- Bardzo chętnie, jeśli tylko nie obrazi się pani, że zamiast rozmawiać, chowam nos w papierach - powiedział James uśmiechnąwszy się do dziewczyny.

- Ależ bardzo proszę w ogóle się mną nie kępować - całkiem

poważnie zaprotestowała Maureen. - Przecież zajmuje się pan tą historią na moją prośbę. - Szybko zorientowała się, że niepotrzebnie rozpoczyna kwestię, bo słów, które jej rozmówca dopiero co wypowiedział, nie należy brać serio. - Wobec tego zostawiam pana tutaj, a sama załatwię tymczasem kilka spraw gospodarczych. Gdyby mnie pan potrzebował, będę przypuszczalnie w kuchni.

Zostawszy sam w pokoju, Brent usiadł w fotelu za biurkiem. Przede wszystkim otworzył tę szufladę, która stała się obiektem zainteresowania Andrews'a podczas jego nocnej wizyty. Już pierwszy rzut oka na jej wnętrze pozwalał stwierdzić, że zmarły właściciel Timbergate był rzeczywiście wielkim pedantem. Szufladę wypełniały liczne, starannie poukładane tekturowe teczki, z których każda miała na okładce wyraźny napis informujący o jej zawartości. Tasiemki wszystkich teczek pozawiązywane były na równe kokardki. Ponadto w szufladzie znajdowało się kilkanaście terminarzy równo ułożonych jeden przy drugim i oprawionych w tej samej barwy cielejącą skórę.

Pierwszy, z samego brzegu, miał na okładce wytłoczony napis: 1958 - pochodził więc z ostatniego roku życia Christophera Hodgarthy'ego. Ostatni zaś, trzynasty z kolei, został wydany w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. „Czy Maureen rzeczywiście nic tu nie porządkowała?” - pomyślał z niedowierzaniem Brent. Ład, jaki panował w otwartej szufladzie, przypominał mu trochę pietyzm, z jakim układa się zbiory muzealne. Sam wprawdzie lubił porządek i przykładął dość dużą wagę do stanu, w jakim znajdowały się jego materiały i przybory do pracy, lecz widok, który miał przed sobą, nawet jemu wydawał się nieco sztuczny.

Wreszcie James zdecydował się dotknąć tego sanktuarium i zaczął wyjmować na biurko leżące przed nim papiery. Kolejno odczytał napisy na wszystkich teczkach. W większości dotyczyły one zagadnień ekonomicznych i automobilowych, co nie mogło być zaskoczeniem dla nikogo znającego nawet pobieżnie życiorys Hodgarthy'ego. Dla pewności Brent zapoznał się jednak z zawartością każdego z tych skoroszytów i stwierdził, że ściśle odpowiadała ona napisom na okładkach. Wreszcie trzy

teczki odnosiły się do bardziej osobistych spraw Hodgarthy'ego.

Jedna z nich zatytułowana była „Korespondencja”. Jednakże z otrzymanych listów ojczym Maureen wydzielił te, które dostawał od żony i pasierbicy, gdyż na drugiej widniał napis: „Korespondencja z Catherine i Maureen”. Zaś trzecia, opatrzona tytułem „Dokumenty”, zawierała poza szeregiem aktów i papierów urzędowych, również liczne dyplomy, jakie Hodgarthy otrzymywał z okazji pomyślnych startów w najrozmaitszych wyścigach samochodowych. James zabrał się do przeglądania dokumentów.

Pożółkła już nieco metryka urodzenia stwierdzała, że Christopher Hodgarthy przyszedł na świat w Chichester 24 lutego 1916 roku jako syn Thomasa i Laury z domu Amberville. Świadectwo maturalne, wystawione również w Chichester w 1934 roku, pozwalało domyślać się humanistycznych zainteresowań i zdolności Christophera. Tutaj też znajdowała się legitymacja członkowska klubu automobilistów, wystawiona w 1936 roku, oraz karta wcielenia do formacji specjalnych wojsk brytyjskich z 1940 roku. Ponadto z ozdobnego blankietu z nadrukiem urzędu stanu cywilnego w Londynie można było dowiedzieć się, że ślub Hodgarthy'ego z Catherine z domu Varaughter, primo voto Denverley, odbył się tamże w marcu 1951 roku. Świadectwo zgonu Catherine z 18 stycznia 1954 roku wystawione było w Timbergate przez niejakiego doktora medycyny Jamesa Ferguilsona. Brent odłożył te dokumenty na bok i wtedy zauważył leżący pod nimi list, napisany do Hodgarthy'ego w październiku 1956 roku na firmowym papierze Life and Endowment Assurance Company. Początkowo sądził, że chodzi o ubezpieczenie Hodgarthy'ego i dlatego zagłębił się w lekturze. Jednakże towarzystwo asekuracyjne prosiło adresata, aby zgłosił się w sprawie przejścia sumy polisy Harolda O'Briena, zmarłego w nieszczęśliwym wypadku 20 września 1956 roku. Wysokości przekazu list nie wymieniał. Następnie James odwrócił znów kilka kartek i znalazł odpis testamentu sporządzonego jesienią 1957 roku, na mocy którego jedyną spadkobierczynią

posiadłości Timbergate zostaje Maureen Denverley, po osiągnięciu pełnoletności. Jedna z białych kopert była podpisana: „Składki ubezpieczeniowe”. W środku znajdowało się pięć kwitów i każdy z nich stwierdzał o dokonaniu wpłaty na rzecz Harrison Insurance Company. Pierwszą wpłatę wniesiono w kwietniu 1954 roku, a cztery następne kolejno w rocznych odstępach czasu. Ostatnia wpłynęła 8 kwietnia 1958 roku i była wielokrotnie wyższa niż ta z roku 1954. Brent spojrzął jeszcze raz na sumy i zauważył, że wpłaty miały charakter stale rosnący. „Widocznie w miarę upływu czasu życie stawało się dla Hodgarchy'ego coraz cenniejsze - pomyślał. - Ale co się stało z jego polisą? Jeśli to ubezpieczenie roczne, polisa była ważna w chwili śmierci Hodgarchy'ego. Sądząc po składce, chodzi tu o niebagatelną sumę! Czyżby Maureen zapomniała mi o tym powiedzieć?

Brent poszedł do kuchni z zamiarem odnalezienia młodej gospodyni i zadania jej tego pytania. Jednak nikogo tam nie zastał. Natomiast zza szeroko otwartego okna dobiegł jego uszu trzask piłki uderzanej rakietami tenisowymi.

Wyjrząwszy, zobaczył swoją żonę i Maureen Denverley, które ubrane na biało rozgrywały mecz.

Widocznie ani szkicowanie chińskich ornamentów, ani sprawy gospodarcze w Timbergate nie wymagały poświęcenia im całego przedpołudnia.

Skoro nikogo nie było w domu, moment ten świetnie nadawał się, aby zatelefonować do Stanleya Kevela. Dlatego James odwrócił się od okna i poszedł z powrotem do gabinetu.

- Scotland Yard? - powiedział, gdy w słuchawce odezwał się daleki, kobiecy głos. - Chciałbym mówić z nadinspektorem Kevelem... Zajęty numer? A czy mogłaby pani połączyć mnie z nim, gdy skończy tę rozmowę?... Tak, mój numer: Chichester 46-77... Dziękuję pani.

Telefonistka wyłączyła się i James wolno opuścił słuchawkę na widelki. Podszedł do biurka i zaczął uprzątać papiery, które dopiero co przeglądał. Złożył wszystkie dokumenty i zawiązał tasienki teczek. Wtedy spostrzegł, że pozostało jakieś zdjęcie, którego przedtem jeszcze nie oglądał. Wziął je do ręki. Kilku

mężczyzn w jak dobrze mu znanych „panterkach” na tle jakichś niewyraźnych zabudowań.

Telefon zadzwonił cicho; Brent odłożył zdjęcie na biurko i prędko podniósł słuchawkę.

- Halo. To ty, Stan?

- Tak, to ja. Poczekaj chwilę, wezmę kartkę, na której mam odnotowany ten życiorys - odezwał się rzeczowy głos nadinspektora.

Brent usiadł wygodnie w fotelu i sięgnął po papier i długopis.

- Będę czytał powoli - powiedział znów Kevel - a ty notuj to, co cię z tego interesuje.

- Jestem gotów! Zaczynaj, Stan.

- Andrews, Charles Belvedere. Inżynier lotnik... Nie karany - wyraźny głos komunikował dane personalne. - Urodzony 13 lipca 1911 roku... Samotny... Studia ukończył na wydziale lotniczym London University College w 1937 roku. Zaraz potem podjął pracę w dziale konstrukcji zakładów lotniczych Air Standard. Pracował tam do wybuchu wojny, a następnie wstąpił do R.A.F.-u. Początkowo pracował jako konstruktor, ale na skutek scysji z przełożonym w 1942 roku poprosił o przeniesienie do służby czynnej. Został dowódcą grupy operacyjnej komandosów. Kapitan za zasługi w akcjach bojowych otrzymał wysokie odznaczenie... Po wojnie wrócił do Air Standard i pracował znów jako konstruktor. Początkowo nie awansował, chociaż miał opinię zdolnego. Przyczyną były częste konflikty wynikające z silnych instynktów wodzowskich i nieumiejętności podporządkowania się. W 1956 roku wykupuje sporo akcji Air Standard, źródło tych dochodów nieznane. W lutym 1959 roku uzyskał pakiet kontrolny akcji Air Standard i wkrótce został jednym z jego dyrektorów... W latach 1954-1959 był posiadaczem polisy ubezpieczeniowej wystawionej przez firmę English Life Assurance Company. 11 grudnia 1958 roku otrzymał 200 tysięcy funtów z firmy Harrison Insurance Company tytułem realizacji polisy ubezpieczeniowej Christophera Hodgarchy'ego, zmarłego 21 września 1958

roku w nieszczęśliwym wypadku podczas wyścigu samochodowego.

- Ach, więc to on dostał te pieniądze! - gwizdnął przez zęby Brent.

- To ty już wiesz coś na ten temat, Jim - zainteresował się Kevel.

- Na razie tylko tyle, co mi właśnie powiedziałeś. Ale czytaj dalej - rzucił niecierpliwie Brent.

- Dalej jest już tylko rysopis Andrews'a. Szczupły, drobnokościsty, średniego wzrostu, oczy szare, włosy ciemne, uroda przeciętna. Znak szczególny: lewa dłoń kontuzjowana w czasie wojny. Tyle o nim mamy, Jim - zakończył nadinspektor swą relację.

- Dziękuję ci bardzo, ale to nie wszystko. Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę, Stan. Czy mógłbyś ustalić, co Scotland Yard wie o jakimś Haroldzie O'Brienie? Bliższe szczegóły nie są mi znane, poza tym, że zmarł 20 września 1956 roku i ubezpieczył się na życie w Lite and Endowment Assurance Company na rzecz Christophera Hodgarchy'ego.

- Czy nie za dużo tutaj tych ubezpieczeń? - spytał Kevel.

- I mnie się tak wydaje - mruknął Brent. - Dlatego proszę cię o zgromadzenie na poniedziałek wszelkich milkowych danych o Haroldzie O'Brienie, a również o Christopherze Hodgarchy'm. Wyjedziemy stąd z Anną w poniedziałek około dziewiątej rano, więc powinienem dotrzeć do Yardu mniej więcej o jedenastej. Czy ta godzina ci odpowiada?

- Jak najbardziej - odparł nadinspektor.

- A zatem, czekam cię pojutrze.

- Postaram się być punktualnie. A co u ciebie w ogóle słychać? Tak dawno się nie widzieliśmy...

- Zasadniczo nic ciekawego. Sezon urlopowy. Nie tylko dla policjantów, ale także dla co ambitniejszych przestępców. Zapewne powyjeżdżali na letnie występy do atrakcyjnych kurortów. Nicea, Monte Carlo... sam rozumiesz, Jim...

Jednakże do świadomości Brenta nie dotarło już to co Kevel mówił dalej. Uwagę jego odciągnęła duża włochata mucha,

która bezceremonialnie spacerowała po leżącym na biurku zdjęciu.

James ostrożnie położył na blacie długopis, którym przed chwilą notował podyktowane przez Kevela dane i spróbował zapolować na owada. Wykonał szybki ruch, którego efektem było jednak tylko strącenie na podłogę zdjęcia. Mucha złośliwie zabzyczała nad jego głową, gdy schylił się, by podnieść błyszczący nieco kartonik. Odruchowo spojrzął na sześć postaci z fotografii. Odwrócił zdjęcie i odczytał figurujące tam nazwiska: O'Brien, Candall, Andrews, Hodgarchy, Bromway, Whitehorn.

Jednak nim zdążył sformułować jakąkolwiek myśl, przerwał przyjacielowi w pół słowa:

- Słuchaj no, Stan! Natychmiast jest mi potrzebna jeszcze jedna informacja! Chcę się dowiedzieć, czy dwaj ludzie o nazwiskach Bromway i Candall zginęli w nieszczęśliwych wypadkach... Zaraz, zaraz, w którym to mogło być roku?... Już wiem! W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym albo piątym.

- Nie rozumiem, dlaczego tak krzyczysz - powiedział spokojnie nadinspektor. - Czy coś się stało?

- Nic się nie stało, ale muszę to wiedzieć jak najprędzej. Jeszcze dziś!

- Dziś? W sobotę? To jest, praktycznie rzecz biorąc, niemożliwe. Jest już przecież po dwunastej...

- Bardzo mi na tym zależy! Stań na głowie i wydobądź mi koniecznie tę informację. Chodzi mi tylko o to, czy był taki Bromway i taki Candall, którzy zginęli w jakimkolwiek wypadku w latach 1954-55. Tylko, czy zginęli! Nic więcej. To chyba uprości ci trochę poszukiwania.

- Czego się nie robi dla natrętnych przyjaciół - westchnął Kevel. - Ale te życiorysy, o które prosiłeś, dostaniesz, jak się umówiliśmy, w poniedziałek.

- Oczywiście.

- Podaj mi swój telefon, to zadzwonię wieczorem.

- Dziękuję ci, stary. Mój numer: Chichester 46-77. Będę czekał.

Odłożywszy słuchawkę, James wyszedł do ogrodu, gdzie obie panie powitały go z radością. Resztę dnia spędzili niefrasobliwie i Brent prawie zapomniał o problemach, które nurtowały go przed południem.

Dopiero wieczorny telefon Kevela sprawił, że problemy te powróciły z nieodpartą siłą.

- Mam takiego jednego Malcolma Bromwaya, co się utopił 19 września 1954 roku i dwóch Candalli: Michaela, przejechanego przez pociąg 5 czerwca 1955 roku, oraz Olivera, który zginął 21 września 1955 w wypadku samolotowym... był oblatywaczem...
- powiedział wówczas nadinspektor dodając jeszcze, że to wszystko, co o tych panach wie w tej chwili.

Brent od razu poczuł, że i w tym przypadku instynkt nie zawiódł go. Oczywiście, z trzech mężczyzn interesowali go tylko dwaj. Jednak którzy to byli i dlaczego, tego już Kevelowi nie wyjawiał.

Rozdział siódmy

„CZY BĘDZIE JAKAŚ CIEKAWA SPRAWA, MR BRENT?”

James Brent zaparkował samochód przed dużym budynkiem, dobrze znanym nie tylko mieszkańcom Londynu. Zdecydowanym krokiem ruszył w stronę wejścia i po chwili ogarnął go chłód przestronnego hallu, mrocznego nawet w letnie przedpołudnie. Skręcił w długi korytarz, po którego obu stronach znajdowały się rzędy jednakowych ciemnych drzwi. Otworzywszy któreś z kolei, wszedł do środka.

On też musiał być tu znany: dyżurujący policjant zamiast przybrać oficjalną minę, rozjaśnił się w uśmiechu:

- Dzień dobry panu, Mister Brent. Nadinspektor Kevel oczekuje pana. Dopiero co poszedł do siebie.

- Dzień dobry, sierżancie. - James spojrzął na zegarek. - Jak widzicie, jestem punktualnie o umówionej godzinie.

- Czy może będzie jakaś nowa ciekawa sprawa, Mister Brent? Tak tu teraz nudno. - Piegowaty sierżant westchnął z

rezygnacją, chociaż na jego twarzy malowało się wyraźne zaniepokojenie.

- Z kim tam konferujecie, Hopkins? - Z przyległego gabinetu dał się słyszeć donośny głos nadinspektora i zaraz na progu pokazała się jego szczupła sylwetka.

- Ach, to ty, Jim! Wejdz, proszę.

Stanley Kevel zamknął obite skórą drzwi i wskazał Brentowi wygodny fotel po drugiej stronie biurka.

- Straszny dziś upał. Niestety, ja już wykorzystałem mój tegoroczny urlop i muszę teraz tkwić w tym skwarze. - Nadinspektor smętnie pokiwał głową. - A państwo nie wybieracie się czasem na wakacje? Pogoda jak wymarzona do tego celu.

- Masz rację, Stan. Trzeba by gdzieś wyjechać - przyznał Brent. - Na razie wyprawiliśmy George'a. Natomiast nasze plany wyjazdowe pokrzyżował trochę fakt, że Anna dowiedziała się niedawno o przyjeździe swojej dalekiej krewnej z Australii i chciała jej pomóc w urzędzeniu się na nowym miejscu. To zupełnie młoda dziewczyna, która kilkanaście lat spędziła u swojej ciotki w Sydney, a teraz przyjechała rozpocząć w kraju dorosłe życie. Nazywa się Maureen Denverley i jest pasierbicą nie żyjącego już dziś Christophera Hodgarchy'ego. To właśnie ona zaprosiła nas na weekend do Timbergate, skąd do ciebie telefonowałem.

- Ach, więc to tak! - powiedział przeciągle nadinspektor. - Teraz zaczynam rozumieć twoje zainteresowanie osobą Christophera Hodgarchy'ego. Maureen Denverley dostała spadek po swoim ojczymie, a że jest młoda i niedoświadczona, więc twoja żona poprosiła cię, abyś dyskretnie zorientował się, czy wszystko jest w porządku w pozostawionych przez niego sprawach.

- No, niezupełnie, chociaż nie jesteś daleki od prawdy. Oczywiście, rozmawialiśmy z Anną, że trzeba będzie zapewnić jej kuzynce dyskretną opiekę, żeby nie czuła się osamotniona czy bezradna. Przyjechała tu po latach, a nie ma żadnych bliskich krewnych. Historia tej rodziny była dość burzliwa: tragiczny zgon matki Maureen, lokalne plotki wokół

Hodgarthy'ego po śmierci żony, nagły wyjazd Maureen do Australii, no i nieszczęśliwy wypadek samego Hodgarthy'ego. Sam rozumiesz, Stan, że to wszystko może być poważnym balastem psychicznym dla wchodzącej dopiero w życie dziewczyny. A jaka rzeczywistość kryje się za tym.... - Brent rozłożył bezradnie ręce i spojrzął na inspektora zatroskanym wzrokiem.

- Słuchaj no, Jim! Przystudiowałem dość dokładnie koleje losu tych trzech panów, którzy wzbudzili twoje zainteresowanie do tego stopnia, że poprosiłeś o ich życiorys - zaczął Kevel tonem pozornie łagodnej perswazji. - I jeżeli zechcesz mi teraz wmawiać, że najpierw Christopher Hodgarthy zamordował z zimną krwią swoją konającą na raka żonę, a po paru latach jego z kolei ktoś wysłał na tamten świat, to mogę ci tylko powiedzieć, że jesteś w grubym błędzie.

- Żadnej z tych dwóch rzeczy nie twierdziłem - zaprzeczył gwałtownie Brent. - Ale, swoją drogą, ciekaw jestem, skąd się bierze u ciebie ta pewność. - Po chwili milczenia zapytał: - No, więc dlaczego uważasz, że Hodgarthy nie zamordował swojej żony?

- Dlatego, że środki nasenne, które spowodowały śmierć chorej - tłumaczył wolno Kevel - zostały jej podane przez pielęgniarkę. Niejaką Lindę Turner. Ta kobieta też już dzisiaj nie żyje. Umarła trzy lata temu w Londynie, w szpitalu St. Mary. Przed śmiercią przyznała się, że to ona przyspieszyła zgon Catherine Hodgarthy. Twierdziła, że zrobiła to z litości nie mogąc dłużej patrzeć na cierpienia chorej, która zresztą była już podobno zdecydowana na samobójstwo, tylko nie miała żadnych po temu środków. Oczywiście, siostra Turner z obawy przed odpowiedzialnością nie przyznała się od razu do popełnionego czynu. Wiedziała, że nawet niezależnie od wyroku w procesie karnym, który by jej zaraz wytoczono, władze lekarskie na pewno nie zezwoliłyby na dalsze wykonywanie przez nią zawodu pielęgniarki. A siostra Turner miała w 1954 roku dopiero czterdzieści pięć lat i będąc osobą samotną, musiała na siebie pracować. Chyba dlatego nic nikomu nie powiedziała, chociaż zapewne cierpiała z powodu

podejrzeń, jakie zgromadziły się wokół osoby Bogu ducha winnego Christophera Hodgarthy'ego.

- A może po prostu siostra Turner kochała się w swym pracodawcy, a on...

- To absurd! - Stanicy Kevel przerwał kategorycznie przyjacielowi. - Jak już ci powiedziałem - podjął znowu - Linda Turner miała wtedy czterdzieści pięć lat, a ponadto była zupełnie pozbawiona tego, co się nazywa kobiecą urodą. Nawet bardzo kochając się w Hodgarthym musiałaby wiedzieć, że nie ma absolutnie żadnych szans u przystojnego, o siedem lat młodszego od niej mężczyzny. Zwłaszcza że w domu oprócz niej była prześliczna dwudziestojednoletnia dziewczyna, wychowawczyni małej Maureen Denverley. Na zdrowy rozum ona miałaby na pewno znacznie większe szanse na podbicie Hodgarthy'ego. Jeśliby więc Linda Turner chciała kogoś mordować z powodu owej hipotetycznej miłości, to już powinna raczej zgładzić tę młodą Mary Thompson, a nie wyniszczoną chorobą kobietę, której i tak już nie dane było opuścić łóżka.

- No, tak. To wszystko brzmi przekonująco - przyznał pogodnie Brent. - Widzę, że jesteś dobrze zorientowany w tej historii.

- Muszę być zorientowany, skoro Scotland Yard prowadził wtedy szczegółowe śledztwo. Utknęło ono wprawdzie w martwym punkcie, bo nie było żadnych dowodów jednoznacznie wskazujących, kto z w ogóle wchodzących w grę osób podał zmarłej środki nasenne. Dowodu takiego dostarczyły dopiero zeznania Lindy Turner trzy lata temu. Do akt sprawy włączono wówczas stenogram jej przedśmiertnego zeznania, sporządzony przez lekarza i pielęgniarkę, obecnych tuż przed zgonem. - Kevel na chwilę przerwał, jakby oczekując na dalsze pytania przyjaciela, jednakże ten tkwił w zamyśleniu.

Aby wypełnić ciszę, nadinspektor dorzucił:

- O tym wszystkim było swojego czasu głośno w prasie. Nawet ktoś wyciągnął zeznanie Lindy Turner w dyskusji nad eutanazją. - Ponieważ James w dalszym ciągu nie reagował, Kevel chciał zamknąć rozmowę na ten temat. - Słuchaj, Jim -

powiedział - sam nie prowadziłem tego dochodzenia, ale w sobotę, po naszej rozmowie, zapoznałem się zaraz ze zgromadzonymi u nas materiałami i mogę zapewnić cię...

- Tak, tak - odezwał się wreszcie Brent, zresztą jakby nie słysząc ostatnich słów swego rozmówcy. - Skoro Linda Turner zmarła w 1965 roku, to znaczy, że Hodgarchy do końca życia nie dowiedział się prawdy o śmierci swojej zony.

- To wydaje się oczywiste - kiwnął głową nadinspektor. - Nie sądzę, żeby siostra Turner kiedykolwiek pochwaliła się swym czynem dawnemu pracodawcy. On pierwszy byłby zainteresowany w ujawnieniu prawdy, która zlikwidowałaby obciążające go kiedyś podejrzenia.

- No, jasne! Wobec tego tę sprawę marny całkowicie wyjaśnioną: Christopher Hodgarchy nie tylko nie zabił swej żony, ale nawet w najmniejszym stopniu nie mógł się czuć za jej śmierć odpowiedzialny. Nigdy nie dowiedział się jednak, kto i dlaczego podał jej śmiertelną dawkę leków.

Brent uważając, że podsumował dotychczasową dyskusję, nim wypowiedział następne zdanie, zrobił znaczącą pauzę.

- W takim razie możemy przejść do drugiego poglądu, który przypisałeś mi na początku naszej rozmowy. Dlaczego uważasz, że nikt nie wysłał Hodgarchy'ego na tamten świat?

- Dlatego, że to również zostało sprawdzone przez policję. A także przez towarzystwo asekuracyjne, w którym, jak wiesz, Hodgarchy był ubezpieczony. Jestem przekonany, że detektywi tej firmy wyciągnęliby nawet najdrobniejszy ślad jakiegokolwiek przestępstwa, gdyż Harrison Insurance Company była tu zainteresowana na olbrzymią sumę 200.000 funtów. - Kevel położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Porzuć więc te niewczesne i melodramatyczne myśli, Jim, i jeśli tylko to cię trapi, posłuchaj mojej rady i pojedź lepiej na urlop.

- Ależ ja zadałem ci tylko pytanie, a sam nie twierdziłem, że...

- Tym razem Brent nie zdawał się jednak być całkowicie przekonany argumentacją nadinspektora i powiedział:

- Zresztą to, o czym mówiłeś, to nie są jeszcze dowody ostateczne.... A ponadto, poza ewentualnością morderstwa i

prawdziwego nieszczęśliwego wypadku, pozostaje jeszcze możliwość samobójstwa. Ciekawe, czy ktoś nad tym się zastanawiał? Jak sądzisz, Stan?

- A po co Hodgarthy miałby skracać sobie życie? - wzruszył ramionami Kevel. - Na ogół ludzie robią to tylko z bardzo ważnych względów. Jak już wiesz, żony swojej nie zgładził, więc motyw wyrzutów sumienia nie wchodzi w grę. Innych powodów trudno się doszukiwać w jego całej biografii. Moim zdaniem był to najzwyczajniejszy nieszczęśliwy wypadek, jakich niestety wiele się zdarza na wyścigach samochodowych.

- No, już dobrze, Stan. Zostawmy na razie ten temat. Wszystko powinno się niebawem wyjaśnić. - W głosie Brenta zabrzmiało przekonanie graniczące z pewnością. - Wierzę w to, przy czym moja wiara ma już racjonalne podstawy... - tu urwał i znów pograżył się we własnych myślach.

Nadinspektor wstał i zaczął chodzić po pokoju. Wiedział, że jego przyjaciel powie mu tylko tyle, ile rzeczywiście uzna za stosowne w tej właśnie chwili. Sądził też, że póki James będzie jeszcze operował przypuszczeniami, póty nie zdradzi, w jakim kierunku biegnie jego rozumowanie. „Może potrzeba mu faktów, żeby te przypuszczenia się rozwiały?” - pomyślał nieco zgryźliwie i zaraz zapytał:

- Czy chcesz, żebym ci teraz pokazał te trzy życiorysy, o które mnie prosileś? Mam je przepisane łącznie z danymi o Andrewsie...

- Tak, oczywiście. Między innymi po to do ciebie przyszedłem.

Kevel otworzył szufladę i wyjąwszy z niej trzy jednakowej wielkości kartki gęsto zapisane drobnym maszynowym pismem, podał je Brentowi. Ten zaś zrazu obejrzał je pobieżnie, po czym arkusz poświęcony Andrewsowi wsunął do kieszeni. Natomiast półgłosem zaczął odczytywać informacje dotyczące Harolda O'Briena:

- Urzędnik zatrudniony w sprawozdawczości. Urodzony 18 lutego 1909 roku w Maryville, w północnej Irlandii... Rozwodnik... Nie karany... Szkołę średnią ukończył w

Maryville. Pierwsza praca w Dublinie w charakterze kontysty... Ożenił się w 1935 roku, ale już po dwóch latach żona wniosła sprawę rozwodową. Na rozprawie mówiła, że był nieprawdopodobnie uparty i na tym tle dochodziło do licznych awantur. Świadkowie potwierdzili to i orzeczono rozwód z winy męża... Na rok przed wybuchem wojny przeniósł się pod Londyn. Tu również pracował jako niskopłatny urzędnik. Po wybuchu wojny wstąpił do wojska, do oddziału komandosów. W 1945 roku wrócił do pracy urzędniczej zajmując niskie stanowiska... Był domorosłym wynalazcą-maniakiem i niejednokrotnie próbował sprzedawać swoje pomysły różnym firmom technicznym, nie znalazł jednak uznania w oczach specjalistów. W latach 1955-56 intensywnie pracował nad swoim kolejnym wynalazkiem rzucając pracę w biurze. W tym okresie źródło dochodów nie znane... Zmarł 20 września 1956 roku na skutek porażenia prądem elektrycznym podczas wykonywania prób swego wynalazku... Był ubezpieczony na życie w Life and Endowment Assurance Company i z tytułu jego śmierci sumę ubezpieczenia wynoszącą 100 000 funtów wypłacono Christopherowi Hodgarthy'emu 30 września 1956 roku na podstawie testamentu zmarłego... Rysopis: wzrost niski, włosy jasnorude, oczy szare, szczupła budowa ciała. Cechy szczególne: nerwowy tik w lewym policzku, na całej twarzy liczne piegi.

James zamilkł i jeszcze raz przebiegł oczyma przeczytany tekst.

- To ciekawe - powiedział. - Więc on sam nie dostał... - nie dokończył zaczętego zdania.

Na jego twarzy pojawił się nagle wyraz zrozumienia.

- Ależ on wcale nie musiał dostać... Ktoś inny mógł przecież dwa razy...

- Co dwa razy? O czym ty mówisz, Jim? - nie wytrzymał już nadinspektor.

- Ach, nic, nic. To takie moje małe spekulacje. - Brent machnął ręką prawie lekceważąco. - To bardzo ładny życiorys,

Stan - wrócił do odczytanego tekstu.

- Nie wiem, co ci się tu tak podoba. żałosna, groteskowa postać. Nic więcej. Nie rozumiem nawet, co on mógł mieć wspólnego z Hodgarthym, który był przecież człowiekiem zupełnie innego pokroju.

- Prawda? Fakt, że ci panowie w ogóle się ze sobą kontaktowali, jest niezrozumiały. Oczywiście z pewnego punktu widzenia, bo przecież ta polisa... - Gdy James mówił te słowa, przed jego oczyma pojawiła się na chwilę stara, nieco wyblakła fotografia sześciu mężczyzn w jednakowych, znajomych mundurach.

- Ty już coś wiesz, Jim! - zaczął znowu Kevel.

- Tak, coś wiem... czegoś się domyślam... ale to jeszcze grubo za mało, żeby cokolwiek powiedzieć. Stan, o ile w ogóle mam rację, powinienem w życiorysie Hodgarthy'ego znaleźć potwierdzenie pewnego hipotetycznie założonego faktu. Jeżeli jest tam ta informacja, to ci wszystko powiem.

James sięgnął po ostatnią z trzech kartek i przebiegł ją szybko wzrokiem.

- Nie ma, po prostu nie ma - powiedział rozczarowany. - Tylko te dane o Lindzie Turner, którymi poczęstowałeś mnie na wstępie naszej rozmowy. - Czoło Brenta przecięła głęboka, pionowa bruzda. - Jak to może być, Stan? - podniósł na przyjaciela zatroskany, zdezorientowany wzrok.

- Trudno mi zająć jakiegokolwiek stanowisko w tej sprawie, skoro w ogóle nie komunikujesz mi, o czym myślisz - nadinspektor rozłożył ręce gestem niemocy. - Mogę się tylko domyślać, że znajdujesz się na jakimś efektownym, lecz zupełnie błędnym tropie.

- Nie, to niemożliwe! Zbyt dużo zbieżności! Gdzieś musiałem popełnić błąd. - Z twarzy Brenta nie schodził wyraz zakłopotania. - Muszę jeszcze raz wszystko sprawdzić - powiedział wstając z fotela. - Do widzenia, Stan! O ile dziś uzyskam jakieś rewelacyjne informacje lub wpadnę na genialny pomysł, zatelefonuję do ciebie wieczorem. Do widzenia!

Rozdział ósmy „TA ZBIEŻNOŚĆ NIE MOŻE BYĆ PRZYPADKOWA!”

Donośny Big Ben wydzwaniał właśnie godzinę dwunastą, kiedy James Brent opuszczał gmach Scotland Yardu. Nie miał zbyt wiele czasu, jeśli chciał zebrać wszystkie potrzebne mu dane.

Zatrzymał się na chwilę, aby ustalić najbardziej optymalną „marszrutę”. Tak! Najpierw muzeum, bo stąd najbliższej i w ogóle, logicznie rzecz biorąc, od tego trzeba zacząć. Potem, potem te towarzystwa... Niczego więcej załatwić się nie uda przed umówionym spotkaniem w Carltonie. Nie mógł przecież Annie kazać na siebie czekać. Szybko wsiadł do samochodu i przejechawszy kilkaset metrów wzdłuż brzegu Tamizy, skręcił w prawo, na most Westminsterki. Minąwszy rozległe zabudowania szpitala Świętego Tomasza, skierował się wybiegającą z mostu ulicą w stronę Lambeth Road, przy której, w budynku zajmowanym kiedyś przez szpital Bethlehem, od pół wieku mieściło się muzeum wojny.

Brenta nie interesowały dzisiaj pamiątki z obu wojen światowych zajmujące główne sale Imperial War Museum, więc minąwszy frontowe wejście podążył w kierunku niedużej oficyny, przyklejonej do głównego budynku. Mieściło się tam archiwum, którego zbiory częściowo udostępniono zwiedzającej publiczności.

James wszedł na drugie piętro i zamieniwszy kilka słów z siedzącą za drewnianą balustradą bibliotekarką, otrzymał od niej gruby tom. Na twardej, ciemnej okładce, literami, które kiedyś były złote, wydrukowany był napis: „Rejestr żołnierzy brytyjskich sił zbrojnych odznaczonych w latach 1940-45. Operacje specjalne”. Brent otworzył oszklone drzwi naprzeciw stanowiska bibliotekarki i znalazł się w niedużej, kwadratowej salce. Wzdłuż jej ścian biegły regały pełne najrozmaitszych czasopism, zaś na środku, w trzech rzędach, ustawione były stoliki dla osób korzystających z czytelnicy. James podszedł do jednego z wolnych, znajdującego się najbliższej okna.

Usiadł w prostym fotelu, który okazał się nieoczekiwanie wygodny. Pomyślałszy .przelotnie, że od czasu jego ostatniej wizyty tutaj, wewnątrz to uległo korzystnej modernizacji, zabrał się do lektury otrzymanej przed chwilą księgi. Najpierw zajrzał do indeksu w celu znalezienia nazwiska, które go interesowało. Jest! Strona 1034, szpalta b. Nim jednak zaczął szukać wymienionej strony, przebiegł jeszcze oczyma prawie cały rząd wydrukowanych nazwisk i uśmiechnął się odnalazłszy kilkadziesiąt wierszy niżej swoje własne. Tak, James też miał swoje miejsce w tej księdze i chociaż prawie z nikim na ten temat nie rozmawiał, przyjemnie mu było czasami to sobie przypomnieć.

Powoli otworzył tom na stronie tysiąc trzydziestej czwartej. W połowie wskazanej w indeksie szpalty widniała zwięzła notatka.

„ANDREWS, Charles Belvedere”. Tu następowały literki dobrze Brentowi znanego wysokiego odznaczenia wojskowego. A dalej:

„Kapitan. Dowódca sześćoosobowego oddziału NB-417 w składzie: Bromway Malcolm - starszy sierżant, Candall Oliver - podporucznik, Hodgarchy Christopher - porucznik, O'Brien Harold - sierżant, Whitehorn Cecil - porucznik. Odznaczony w kwietniu 1944 za męstwo i odwagę w operacji «Fryderyk»”.

Brent, wrażając w pamięć interesujące go szczegóły, uśmiechnął się do swoich myśli. Oczywiście warto tu było zajrzeć. Spoważniał jednak spojrzawszy na zegarek. Wskazówki posuwały się nieubłaganie, a w muzeum nie było już nic do roboty.

Wstał i odniósł bibliotekarce wypożyczoną księgę.

- Widzę, że znalazł tu pan coś, co pana ucieszyło - powiedziała życzliwie starsza kobieta z za pulpitu.

Jednak Brent myślał już o czymś innym i pewnie dlatego odpowiedział trochę bez sensu.

- Tak, proszę pani. Zostałem odznaczony w czterdziestym

czwartym.

Bibliotekarka spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale James, który dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co powiedział, szybko uklonił się i wyszedł.

Wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Nloorgate, gdzie mieściła się siedziba Harrison Insurance Company. Za dziesięć pierwsza był już na miejscu. James wielokrotnie zbierał dowody swej popularności, więc nie zdziwił się nawet, kiedy agent na jego widok podniósł ze zdziwienia brwi.

- Czyżby i pan, Mister Brent, obawiał się, że może mu przydarzyć się coś złego? Czy to zwykła przezorność? Do tej pory sądziłem, że wie pan o wszystkich niefortunnościach losu znacznie więcej i wcześniej niż inni. Ale skoro chce się pan u nas ubezpieczyć...

- Niezupełnie, proszę pana. Czasem zdarza mi się właśnie prosić innych o udzielanie informacji. Z tego powodu przychodzę tu dzisiaj, chociaż muszę pana zmartwić, że bynajmniej nie jest to związane ze sprawą własnego ubezpieczenia.

Agent rozłożył ręce ruchem symbolizującym ubolewanie i poprosił klienta, żeby zechciał usiąść.

- Hodgarchy? Christopher? - zapytał, kiedy James wyłuszczył mu już sprawę. - Proszę łaskawie poczekać tu chwilę, a ja tymczasem sprawdzę numer w skorowidzu i zaraz przyniosę właściwe akta.

Po kilkunastu minutach urzędnik wrócił trzymając w ręku cienką, szarobrunatną teczkę.

- Teraz już mogę udzielić panu wszelkich informacji. - Agent pochylił się nad wyjętymi papierami.

- Christopher Hodgarchy ubezpieczył się u nas 4 kwietnia 1954 roku na sumę 25 000 funtów. Składka ubezpieczeniowa wynosiła wtedy 425 funtów rocznie. W następnym roku wpłaciwszy w dniu 3 kwietnia 950 funtów podniósł tym samym sumę swego ubezpieczenia do 50 000 funtów. W roku 1956 składka w wysokości 2 100 funtów została wniesiona dnia 9 kwietnia, a suma ubezpieczenia wzrosła do 100 000

funtów. Wreszcie w roku 1957 wpłaciwszy 7 kwietnia 3 400 funtów otrzymał polisę o wartości 150 000 funtów. W tych latach polisa posiadana przez pana Hodgarthy'ego opiewała na „spadkobiercę testamentowego”, czyli bez podania w naszej firmie konkretnej osoby, której ewentualnie mielibyśmy wypłacić pieniądze. Natomiast w dniu 8 kwietnia 1958 roku Hodgarthy ubezpieczył się już imiennie, na rzecz niejakiego Charlesa Belvedere Andrewsa. Nasz klient wpłacił wówczas 5 000 funtów i otrzymał polisę o wartości 200 000 funtów. Zmarł w dniu 21 września 1958 roku i całą sumę wypłaciliśmy wskazanej w polisie osobie.

Oczywiście, sprawdziliśmy przedtem, że nasz klient poniósł śmierć rzeczywiście w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

- No, wyobrażam sobie - powiedział Brent. - To byłoby już wszystko. Dziękuję panu bardzo. - Skończywszy notować, na widok zaciekawionej miny urzędnika dodał wymijająco: - Szczegóły te mogą mi się przydać w pewnej sprawie związanej między innymi z osobą tego pana...

Agent zorientował się, że Brent nie jest skłonny do udzielania bliższych wyjaśnień, więc rzekł tylko:

- Gdyby w przyszłości pan czy też pańska małżonka zechcieli się jednak ubezpieczyć, Harrison Insurance Company poleca państwu swoje usługi.

- Na pewno będę o tym pamiętał. Do widzenia panu - zakończył rozmowę James i wyszedł starannie zamykając za sobą drzwi.

Stosunkowo blisko jak na londyńskie odległości, bo na Kings Cross Road mieściła się Life and Endowment Assurance Company. Był to następny cel wędrówki.

Jak wynikało z uzyskanych tam przez Brenta danych, dotyczących Harolda O'Briena, tenże ubezpieczył się na życie 7 kwietnia 1954 roku na sumę 25 000 funtów, wpłacając tytułem rocznej składki 257 funtów. W dniu 4 kwietnia 1955 roku O'Brien wniósł na rzecz towarzystwa opłatę 650 funtów, co odpowiadało ubezpieczeniu w wysokości 50 000 funtów. Przed upływem roku, po wpłaceniu 1 500 funtów, wartość polisy

została podniesiona do 100 000 funtów. Ponieważ 20 września 1956 roku O'Brien zmarł na skutek porażenia prądem elektrycznym, na podstawie testamentu zmarłego sumę tę wypłacono Christopherowi Hodgarchy'emu.

English Life Assurance Company, stara firma, w której ubezpieczył się Charles Belvedere Andrews, mieściła się w samym sercu miasta, na Charring Cross Road, kilka domów od Leicester Square. Pełen monumentalnej brzydoty wiktoriański budynek promieniował tradycją, solidnością i poczuciem bezpieczeństwa. Tylko wielki neon na fasadzie, teraz zgaszony, przypominał, że jest już druga połowa dwudziestego wieku. Brent zaparkował samochód nie opodal wejścia i wszedł do biura. Agent, który go tam przyjął, w płynności wymowy i ugrzeczniczeniu przeszedł nawet obu swych elokwentnych kolegów, z którymi James miał już dziś do czynienia. Powiedział, że do jego podstawowych, z całą przyjemnością wypełnianych obowiązków, należy udzielanie szczegółowych informacji, zaś dzięki ostatnio wprowadzonemu, nowoczesnemu systemowi segregowania danych, będzie mógł odpowiedzieć na wszystkie pytania dotyczące konkretnej osoby w czasie nie przekraczającym dziesięciu minut. Dodał przy tym, że oczywiście nie każdej przychodzącej tu osobie udziela się tych informacji, będących w zasadzie tajemnicą firmy. Jednak w przypadku tu obecnego Jamesa Brenta nie ma wątpliwości, co do właściwego wykorzystania otrzymanych danych.

James z rezygnacją wysłuchiwał potocznych zdań licząc na to, że elokwencja urzędnika wyczerpie się kiedyś i wreszcie przejdzie on do meritum. Istotnie, cierpliwość jego została nagrodzona: w pewnej chwili agent zamilkł i znikł w sąsiadujących z biurkiem drzwiach.

Wrócił po niespełna kwadransie przynosząc świeżo wykonaną odbitkę. Pod firmowym nadrukiem towarzystwa widniał zwięzły tekst:

„Tabela przedstawia przebieg ubezpieczenia na życie Charlesa Belvedere Andrewsa od 4 kwietnia 1954 roku do 10

kwietnia 1959 roku. Przed i po wymienionym okresie Charles Belvedere Andrews nie korzystał z ubezpieczenia w naszym towarzystwie."

- Czy to wszystko, co pana interesuje? Może mógłbym udzielić jeszcze jakichś innych informacji? - spytał usłużnie agent, widząc, że jego rozmówca podniósł wzrok znad kartki.

- W zasadzie to wszystko, jeśli chodzi o sprawę konkretną - powiedział niezdecydowanym tonem Brent. - Mógłbym najwyżej zadać panu jeszcze pytanie natury ogólnej.

- Ależ, proszę bardzo - zęby urzędnika błysnęły w uśmiechu pełnym zawodowej uprzejmości. - Z przyjemnością udzielamy wszelkich informacji związanych z ubezpieczeniami.

- Wobec tego, proszę mi łaskawie powiedzieć, dlaczego różni ludzie muszą wpłacać różne stawki asekuracyjne, aby ubezpieczyć swoje życie na te same kwoty? To chyba nie może zależeć od firmy ubezpieczeniowej, gdyż każda na pewno ponosi dokładnie takie samo ryzyko.

- Naturalnie, ma pan rację. Ale wyznaczenie relacji pomiędzy sumą ubezpieczenia a wysokością stawki, jaką klient musi opłacić, to sprawa bardzo skomplikowana, zależna od szeregu najrozmaitszych czynników. W grę wchodzi tu przede wszystkim: wiek ubezpieczonego, jego rzeczywisty stan zdrowia, zawód, rodzaj pracy aktualnie wykonywanej, zajęcia dodatkowe, miejsce zamieszkania, warunki klimatyczne i jeszcze szereg innych cech ustalanych na podstawie bardzo szczegółowej ankiety. Mając te informacje, ze specjalnych tablic określa się maksymalną wysokość ubezpieczenia oraz relację między zadeklarowaną przez klienta sumą polisy a wysokością składki ubezpieczeniowej. Dla poszczególnych osób sumy te wahają się dość znacznie. Jeżeli interesują pana te sprawy, w imieniu naszego towarzystwa chętnie sprężentuję panu tę broszurkę, która udziela dość wyczerpujących odpowiedzi na tego rodzaju pytania.

Demonstrując raz jeszcze swoje nieskazitelne uzębienie, agent wręczył Brentowi niedużą zieloną książeczkę. Ten zaś podziękował urzędnikowi i wyszedł z biura.

Kiedy usiadł za kierownicą samochodu, z przerażeniem stwierdził, że była już za kwadrans trzecia. Za piętnaście minut powinien oczekiwać swej żony w wytwornym hallu hotelu Carlton. Tymczasem przepchanie się przez Piccadilly w stronę Sloane Street o tej porze dnia bynajmniej nie należało do łatwości. Brent powinien ruszyć jak najprędzej. Dlaczego więc zamiast kierownicy trzymał znów w rękach trzy nieduże karteczki będące plonem dzisiejszego przedpołudnia?

W wyobraźni Brenta pojawił się nagle fragment artykułu wydrukowanego przed przeszło dziesięcioma laty. Zmarszczył brwi. - Jakże nazywało się to towarzystwo? Coś związanego z zachodem, ale co? „Powinienem był natychmiast to zanotować, zamiast wiecznie polegać na mojej «niezawodnej» pamięci - zganił się w duchu. - Albo chociaż poprosić dziś rano Kevela o odszukanie jeszcze jednego życiorysu. - Znowu opuścił wzrok na trzy gęsto zapisane kartki. - Nie, ta zbieżność nie może być przypadkowa! Takie rzeczy się nie zdarzają, to pewne... Ale dlaczego ani Hodgarchy, ani Andrews nie dostali.., przecież nikt inny już nie żył...” - Potrząsnął głową jak człowiek, który usiłuje obudzić się z męczącego snu.

Nagle drgnął. Nerwowym ruchem wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki notes i długopis. Wyrwał jedną z pustych kartek i zaczął kreślić na niej jakiś rysunek składający się tylko z kółek i łamanych linii opatrzonych strzałkami. Spojrzał krytycznie na swoje dzieło. Potem namalował pod nim drugi, bardzo podobny rysunek. - Musi być tak albo tak - mruknął do siebie półgłosem. - Ale co z tym nieszczęsnym Whitehornem? Chyba to jedyna logiczna odpowiedź - pomyślał dorysowawszy po jednej grubej linii na każdym z dwóch rysunków. - Ale to oznaczałoby, że... - Uśmiech zrozumienia szybko zgasł jednak na twarzy Jamesa, gdyż w oddali usłyszał nagle bicie zegara. Trzecia!

Gwałtownym ruchem zapalił silnik i czarny wóz pomknął ulicą tak szybko, jak tylko pozwalała na to jej zapchana jezdnia.

Jednak szczęście dopisywało Jamesowi tego dnia, bo kiedy wreszcie dwadzieścia po trzeciej, wpadł do hotelowego hallu, Anna wchodziła właśnie drugimi drzwiami. Zauważywszy męża

z daleka, pomachała do niego ręką.

- Nie jestem dziś zbyt punktualna, ale i o tobie, mój drogi, nie można powiedzieć, żebyś tu przyszedł z wybiciem zegara.

Jak zawsze głos jej zabrzmiał świeżym, czystym tonem i James zamiast odpowiedzieć, zaczął się zastanawiać, ile jeszcze lat nie zmieni on swego timbre'u.

- Czy słyszysz, co powiedziałam, Jim? - Tym razem głos Anny zabrzmiał wyraźnie dydaktycznie.

- Przepraszam cię, moja droga. To wszystko dlatego, że się bardzo śpieszyłem. - Brent dopiero teraz odzyskał równowagę.

- Miałem kilka spraw do załatwienia w zupełnie różnych punktach miasta i stale obawiałem się, czy zdążę tu na trzecią. Jak widzisz, można powiedzieć, że cały dzień śpieszyłem się do ciebie. Rozchmurz więc, proszę, swoje oblicze. Z inną miną jest ci bardziej do twarzy. Zwłaszcza gdy jesteś w tej niebieskiej sukience.

Słyszając to, Anna roześmiała się mimo woli i w dobrych humorach przeszli oboje do sali restauracyjnej.

- Czy powiesz mi, Jim, co się stało, że dzisiejsze przedpołudnie spędziłeś w całości poza domem? Jestem bardzo ciekawa, bo już dość dawno ci się to nie zdarzyło.

James popatrzył na nią z filuternym uśmiechem i zamiast odpowiedzieć, zaczął powoli zapalać papierosa.

- Czyżby zanosił się na jakąś nową aferę kryminalną? To dość prawdopodobne, skoro miałeś dziś zobaczyć się z Kevelem

- zaczęła się domyślać Anna. - Zanim jednak wpadniesz w atmosferkę nowego morderstwa z premedytacją, musisz ci koniecznie coś powiedzieć.

- No, co takiego?

- Nie wiem, czy pamiętasz, że kiedy rano wyjeżdżaliśmy z Timbergate, Maureen wspomniała o zaproszeniu, jakie dostała od inżyniera Andrews, i mówiła, że w związku z nim będzie w tym tygodniu w Londynie? Otóż koło drugiej, kiedy właśnie wróciłam do domu, zatelefonowała do nas i powiedziała, że przyjedzie jutro późnym popołudniem.

- Jutro? Więc to ma być już jutro? - wykrzyknął Brent. - Dla mnie to stanowczo za wcześnie! Mogłaby śmiało przyjechać w

drugiej połowie tygodnia.

Anna spojrziała na męża zdumiona.

- Nie można powiedzieć, żeby twoje odezwanie się świadczyło o wyjątkowej gościnności. Zachowujesz się dzisiaj dość niezwykle. Co ci się stało, Jim?

- Nie przejmuj się tym, Anno - Brent uśmiechnął się przeproszająco. - Wszystko niedługo się wyjaśni. Wiec powiedziałaś, że Maureen przyjeżdża jutro. O której godzinie?

- Około szóstej na dworzec Victoria albo Waterloo. Muszę w domu sprawdzić, gdzie i o której przyjeżdża popołudniowy pośpieszny z Portsmouth.

Anna postanowiła widocznie już o nic nie pytać i tylko uważnie obserwowała męża spod długich rzęs.

- Nie wiesz, czy ona przyjedzie prosto z dworca, czy też zamierza przedtem coś załatwić na mieście? - zadał następne pytanie James.

- Prosiłam, żeby przyjechała prosto do nas, skoro następnego dnia rano ma zamiar pojechać z panem Andrewsem do tej jego nadmorskiej posiadłości koło Cardiff czy Newport. Zwłaszcza że chce wracać stamtąd do Londynu tylko na parę godzin, gdyż następnego dnia rano powinna być u siebie w Timbergate. Może więc postaraj się być wolny na jutrzejszy wieczór.

- Tak. To będzie trochę bardziej skomplikowane, niż myślałem - powiedział wolno Brent. - Ale oczywiście trzeba koniecznie tak zrobić. Wobec tego muszę zaraz za dzwonić do Kevela, żeby się z nim umówić na jutro z samego rana. Trzeba też pomyśleć, jak to wszystko zorganizować... Naturalnie, będę w domu po południu - dodał patrząc na żonę. - Może nawet wyjadę na dworzec po Miss Denverley, jeśli ustalisz czas i miejsce jej przyjazdu.

Anna uśmiechnęła się widząc, że mimo jakiejś wyraźnie absorbującej jej małżonka sprawy, którą najprawdopodobniej słusznie uznała za kryminalną, nie zamierza on jednak zajmować się nią bez przerwy, pozostawiając żonie wyłączną przyjemność zabawiania jutrzejszego gościa.

Mrs. Brent nie domyślała się jednak wcale, że zagadka, którą rozwiązywał teraz James miała tak dużo wspólnego z osobą

Maureen Denverley i jej omawianym właśnie przyjazdem do Londynu.

Rozdział dziewiąty „CZY WIESZ, CO TO JEST GRAF?”

- Nareszcie wszystko zrozumiałem, Stan.

Brent opadł na fotel podsunięty mu przez przyjaciela i popatrzył na niego z wyraźną satysfakcją.

- Wprawdzie nie mam jeszcze pełnego obrazu faktograficznego i w związku z tym będziesz mi zaraz musiał dostarczyć brakujących danych, ale sam mechanizm tej sprawy jest dla mnie teraz zupełnie jasny. Wczoraj miałem rację, mój drogi, chociaż w pewnym momencie naszej rozmowy zacząłem się naraz obawiać, że mi się to wszystko uroiło. Dlatego zaraz po wyjściu od ciebie starannie sprawdziłem posiadane informacje. I właśnie wtedy uzyskałem niezbitą pewność, że każda z nich zbyt idealnie pasuje do wykoncypowanego przeze mnie schematu, by mogło to być dziełem przypadku. Każda... poza jedną jedyną, burzącą całą misterną konstrukcję, którą sobie wyobraziłem. - Nie mogłem się z tym pogodzić. I wtedy nagle zrozumiałem, że jednak całość się zgadza, a ta pozornie odbiegająca od mojego obrazu informacja jest właśnie kardynalnym dowodem na to, jak w istocie rzeczy wszystko się odbyło.

- A ja nie pojąłem ani jednego słowa z tego, co powiedziałaś, Jim.

Pomimo tej wstrząsającej tyrady przyjaciela Stanley Kevel zachował zupełny spokój.

- Jeśli więc chcesz mnie o czymś przekonać, bądź łaskaw zacząć operować konkretnymi. W przeciwnym razie nasza rozmowa będzie pozbawiona sensu.

- Mogę ci uroczyście obiecać, że będzie miała sens i to bardzo głęboki.

Również rezerwa nadinspektora zdawała się nie robić na Brennie żadnego wrażenia.

- Zanim jednak do tego dojdziemy, musisz mi pomóc uzupełnić obraz całości pewnymi brakującymi danymi.

- Jeśli tylko będę w stanie, nie widzę żadnych innych przeszkód. Co ci jest potrzebne? - zapytał nadinspektor.

- Trzy życiorysy. Ale nie wszystkie na raz, tylko po kolei. Czy ten wasz elektroniczny sorter, który wyszukuje karty ewidencyjne, działa dość szybko, żeby taka trzykrotna operacja była możliwa w ciągu naszej rozmowy?

- Sorter pracuje bardzo prędko, ale obsługujący go pracownicy na pewno nie będą zachwyceni takim zleceniem. Czy jesteś przekonany, że to konieczne? - pytająco spojrział na przyjaciela.

- Tak, Stan - skinął głową Brent. - To chyba konieczne, jeśli mam cię skutecznie przekonać o mojej racji.

- No, cóż. W takim razie nie mam innego wyjścia. - Nadinspektor nieznacznie wzruszył ramionami. - Wobec tego przeproszę cię na chwilę i pójdę załatwić to osobiście. Podaj mi pierwsze z tych trzech nazwisk. Dwa następne przetelefonuję potem, w trakcie naszej rozmowy.

- Cecil Whitehorn. W, H, I, T, E, H, O, R. N. - Brent przeliterował wymienione nazwisko, a Kevel, zanotowawszy je, pośpiesznie opuścił pokój.

Po pół godziny wrócił przynosząc już ze sobą potrzebne informacje.

- Trwało to nieco dłużej, niż przypuszczałem, ale trochę czasu zajęło mi wyjaśnienie tej niecodziennej prośby. - Mówiąc to nadinspektor podał przyjacielowi zapisaną kartkę. - No masz to, o co prosiłeś, i przedstaw mi swoją argumentację.

Brent szybko przebiegł wzrokiem dostarczony tekst.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Posłuchaj uważnie tego życiorysu, Stan.

„Cecil Whitehorn. Tłumacz. Kawaler. Urodzony w Ipswich 13 kwietnia 1917 roku w rodzinie przemysłowca. Jedynek. Rodzina zamożna, o arystokratycznych aspiracjach...

Ukończył drogą prywatną szkołę pod Ipswich. Na życzenie ojca studiował prawo w Cambridge. Wyniki mierne. W chwili wybuchu wojny doszedł do trzeciego roku... Przerwał studia i wstąpił do wojsk specjalnych. Ukończył kurs nawigacji lotniczej, a potem kurs spadochronowy. Następnie brał udział w 14 akcjach na terenie Niemiec. Wiosną 1943 roku jego rodzice ponieśli śmierć w wyniku bombardowania, a ich fabryka uległa całkowitemu zniszczeniu...

Zdemobilizowanemu w 1945 roku nie pozostało nic z dawnego rodzinnego majątku... Po wojnie studiów nie podjął. Znając biegle francuski, włoski i hiszpański zaczął pracować jako tłumacz w biurze handlowym Gordon & Jenkins... Prowadził samotniczy tryb życia. Nie kontaktował się z dalszą rodziną ani nikim ze sfery swych rodziców. Stronił również od środowiska, w którym pracował... Kobiety unikał... Jedyne hobby to alpinizm. 4 grudnia 1955 roku otrzymał 50 000 funtów z towarzystwa ubezpieczeniowego Gid England Assurance Incorporation tytułem realizacji polisy ubezpieczeniowej zmarłego w nieszczęśliwym wypadku Oliviera Candalla... Ubezpieczony na życie w New Western Insurance Company od 6 kwietnia 1954 roku aż do chwili śmierci. Zginął w wypadku podczas wycieczki alpinistycznej dnia 28 września 1957 roku. Polisa opiewająca na 100 000 funtów nie została zrealizowana, gdyż zmarły nie zostawił żadnego testamentu, a ubezpieczył się na nieokreślonego spadkobiercę... Rysopis: wzrost wysoki, włosy gładkie, ciemnoblond, oczy niebieskoszare, twarz pociągła, podbródek kwadratowy, brak znaków szczególnych".

To wszystko, Stan. Brent podniósł głowę i spojrzał na nadinspektora.

- Domyślam się, Jim, że zapewne zechcesz teraz, żebym ci dostarczył życiorysu Oliviera Candalla - odpowiedział Kevel na nieme pytanie przyjaciela. - Wprawdzie nadal nie rozumiem, po co był ten Whitehorn. Niezależnie od tego jak zginął, nikogo nie możesz tutaj oskarżyć, że go wyprawił na tamten świat po to, żeby podjąć sumę jego polisy asekuracyjnej. Bo chociaż

Whitehorn, jak przeczytałeś, był ubezpieczony na życie, ale nikt finansowo nie skorzystał na fakcie jego śmierci, skoro polisa nie została w ogóle zrealizowana.

- Pierwszy wniosek jest na pewno słuszny, Stan. Może więc, zanim zaczniemy oceniać, kto i na czym tu skorzystał, dowiemy się najpierw coś więcej o panu Oliverze Candallu.

- No cóż, dzisiaj ty tu rządzisz. - Nadinspektor podniósł słuchawkę jednego z trzech stojących na biurku telefonów i wykręcił jakiś trzycyfrowy numer. - Mam tylko nadzieję, że moja cierpliwość zostanie niebawem nagrodzona.

- To ty, Philip? - zapytał niewidocznego rozmówcę.

-...

- Tak, tu Kevel. Interesuje mnie teraz niejaki Oliver Candall. C, A, N, D, A, L, L. Dziękuję.

Po kilku minutach nie znany Brentowi policjant przyniósł do pokoju białą kopertę. Kiedy wyszedł, Kevel bez słowa podał przyjacielowi wyjętą z niej gęsto zapisaną kartkę.

„*Oliver Candall. Pilot. Kawaler.* - James od razu zaczął czytać na głos.

Urodzony w Londynie 15 sierpnia 1922 roku. Pochodził z rodziny średniozamożnej... Mając 17 lat został sierotą. W rok później, po zrobieniu matury, wstąpił do wojska. Skończył kursy pilotażu i jakiś czas latał na nocnym bombowcu. Następnie służył w formacji spadochronowej. Z wojska wyszedł w roku 1945 w stopniu podporucznika... W oddziale miał opinię zdolnego, w miarę zdyscyplinowanego, wesołego, kobieciarza... Po wojnie zatrudniony w zakładach lotniczych Air Standard jako pilot-oblatywacz. Pracował tam aż do śmierci. W roku 1954 niejaki Malcolm Bromway zapisał mu w testamencie sumę swej polisy asekuracyjnej i z tego tytułu Welsch Life Assurance Company 26 października 1954 wypłaciła mu sumę 25 000 funtów... Ubezpieczony na życie w Old England Assurance Incorporation, od 4 kwietnia 1954 aż do chwili śmierci. Zginął 21 września 1955 roku, w czasie pełnienia obowiązków służbowych. Sumę jego polisy wynoszącą 50 000 funtów towarzystwo ubezpieczeniowe

wypłaciło Cecilowi Whiteheadowi 4 grudnia 1955 roku...
Rysopis: wzrost bardzo wysoki, włosy jasne, oczy niebieskie, uroda wybitna, znaków szczególnych brak".

Kiedy James skończył, Kevel tym razem nie zrobił żadnej uwagi na temat odczytanego tekstu, tylko od razu sięgnął po słuchawkę telefoniczną. Tu jeszcze raz Kevel. Odszukaj teraz życiorys Malcolma Bromwaya, Philip. B, R, o, M, W, A, Y. Tak. Dziękuję ci bardzo. To powinno być już wszystko. Po niespełna kwadransie Brent zaczynał czytać trzeci życiorys.

- „*Malcolm Bromway. Malarz. Kawaler. Urodzony we Wrexham 19 stycznia 1914 roku w wielodzietnej rodzinie robotniczej... Mając lat 13 uciekł z domu. Próbował wielu różnych zajęć: był czyścibutem, pomywaczem okien, sprzedawcą w domu towarowym, konduktorem w metro, komiwojażerem, aktorem komediowym, aż wreszcie został malarzem... W swoim zawodzie reprezentował poziom trochę wyższy niż średni... Tryb życia: nieustabilizowany, częste zmiany miejsca zamieszkania, liczne kontakty z kobietami. Namiętnie uprawiał gry hazardowe... Całą wojnę przesłużył w formacji spadochroniarzy. W roku 1945 wyszedł z wojska i wrócił do przedwojennego trybu życia. Bezpośrednio przed śmiercią zamieszkiwał w Swansea... Zmarł 19 września 1954 roku, utopiwszy się w czasie kąpieli morskiej. Parę miesięcy przedtem, 7 kwietnia 1954 roku ubezpieczył się na życie w Welsch Life Assurance Company na sumę 25 000 funtów. Na podstawie zostawionego przez niego testamentu sumę tę wypłacono 26 października. 1954 roku Oliverowi Candallowi... Rysopis: wzrost wysoki, oczy szare, włosy 'ciemne, proste, znak szczególny: złamany nos.*”

- No i co z tego wszystkiego ma wynikać? - zapytał Kevel, kiedy Brent skończył czytać ostatnie zdanie. - Zupełnie nie widzę łączy, które mogłoby spinać te dwie trójki odczytanych przez nas życiorysów: wczorajszą i dzisiejszą. Co wspólnego mają twoim zdaniem Hodgarthy, Andrews i O'Brien z tymi

trzema osobnikami, których noty życiorysowe wyszukaliśmy teraz w kartotece?

- Bardzo wiele! W czasie wojny cała szóstka, z Andrewsem jako dowódcą, stanowiła jeden oddział wojsk specjalnych. Wszyscy to komandosi. W papierach Hodgarthy'ego znalazłem ich wspólne zdjęcie z tamtych czasów, a jak wiesz, doświadczenia wojenne...

- Ach, tak - powiedział przeciągle Kevel. - To zupełnie zmienia postać rzeczy. Ale do tej pory nie wspomniałeś mi o tym.

- Istotnie - przytaknął Brent. - Byłem jednak przekonany, że całe to powiązanie wyjdzie samo podczas naszej wczorajszej rozmowy. Fakt, że się tak nie stało, zaskoczył mnie do tego stopnia, że na pewien czas straciłem wiarę w moją hipotezę roboczą. Ponieważ jednak odzyskałem ją znowu, więc dlatego wracam do tego tematu.

Brent spojrział na przyjaciela, a potem zapytał:

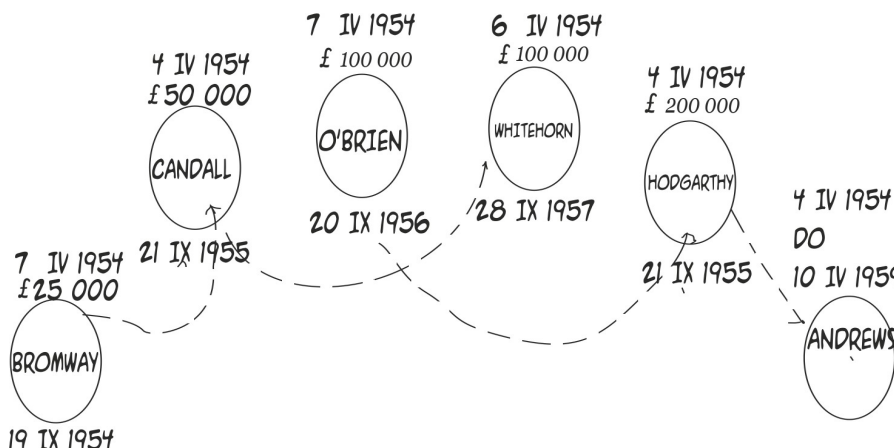
- Czy wiesz, co to jest graf, Stan?

Pytanie było tak nieoczekiwane, że zaskoczony Kevel tylko szerzej otworzył oczy.

- Widzę, że nie wiesz - kontynuował Brent. - A szkoda! W pracy funkcjonariusza policji na kierowniczym stanowisku to może być bardzo przydatne narzędzie. Zaraz cię o tym przekonam.

Otóż grafami nazywamy figury geometryczne składające się z punktów i linii łączących wszystkie lub niektóre z nich. Pierwszy pisał o nich pewien Szwajcar, nazwiskiem Euler. Wiek XVIII. Teoria grafów zajmuje dziś poczesne miejsce w nowoczesnej matematyce i wielu dziedzinach jej zastosowań. Kiedyś jednak stosowano ją przede wszystkim do rozwiązywania skomplikowanych łamigłówek logicznych. Z tego właśnie względu bardzo ci ją polecam, Stan. Mówiąc to, Brent zaczął coś rysować na jednej z czystych kartek leżących na biurku.

Skończywszy, podsunął rysunek nadinspektorowi.



- Grafem - ciągnął dalej - może być na przykład taka właśnie figura geometryczna. Jej kardynalną zaletą jest przejrzystość pozwalająca dostrzec ewentualne powiązania, których nie widać przy innych formach zapisu.

Zwróć uwagę, że kółeczka oznaczają tu poszczególne osoby z naszej szóstki, z których pięć zginęło w nieszczęśliwych wypadkach. Są one uszeregowane w chronologicznym porządku zgonów: Bromway, Candall, O'Brien, Whitehorn, Hodgarchy. Żyjący do dziś Andrews zajmuje pozycję ostatnią. Ponieważ cała szóstka była ubezpieczona na życie, nad poszczególnymi kółeczkami napisałem daty założenia polis asekuracyjnych. Ponadto, pod każdym z pierwszych pięciu kółeczek, podany jest dzień, miesiąc i rok zgonu odpowiedniej osoby. Jak też widzisz, dla wszystkich nieżyjących osób ważność polisy trwała aż do chwili ich śmierci, a w przypadku Andrews: do 9 kwietnia 1959 roku. Pod datami ważności polis wstawiłem sumy, na jakie każda z osób ubezpieczona była bądź w chwili śmierci, bądź w chwili wygaśnięcia ubezpieczenia. - Brent zrobił krótką przerwę w swym wywodzie. - A teraz uważaj, Stan: opatrzone strzałkami linie łamane łączy ze sobą poszczególne kółeczka w ten sposób, że wyraźnie pokazują, kto po kim otrzymał kwoty należne z tytułu polis ubezpieczeniowych. Przyjrzyj się dobrze temu rysunkowi i powiedz mi, co cię w nim uderza.

Kevel przez dłuższą chwilę wpatrywał się w kartkę podsunietą przez przyjaciela. Miał skupiony wyraz twarzy i widać było, że zbiera myśli.

- Ależ to zdumiewająca sprawa - powiedział wreszcie. - Ile tu prawidłowości!

Po pierwsze, z sześciu osób aż pięć zginęło w nieszczęśliwych wypadkach. Po drugie, wypadki te zdarzały się rok rocznie na przestrzeni lat 1954-58 i to zawsze we wrześniu. Po trzecie, wszystkie pięć zgonów nastąpiło w okresie ważności polis asekuracyjnych. Po czwarte, sumy polis asekuracyjnych są tym wyższe, im później nastąpił zgon. Po piąte, daty założenia polis asekuracyjnych różnią się zaledwie o kilka dni. Po szóste, żadna z osób...

- No właśnie. Chyba rzeczywiście pojąłeś najważniejsze sprawy.

Głos Brenta był niemal wesoły.

- Jak sądzisz, czy aż tyle prawidłowości może być dziełem przypadku?

- Nie, to niemożliwe. Zupełnie przypadkowy zbieg aż tylu okoliczności towarzyszących pięciu zgonom jest wykluczony. Ale co to, u licha, może znaczyć? Czyżby ci panowie zabawiali się w jakiś makabryczny klub samobójców i ubezpieczali się nawzajem, żeby mieć za co wyprawiać okazałe stypy?

- Twoja domyślność przynosi ci zaszczyt, Stan - przyznał wielkodusznie przyjaciel. - Tutaj właśnie dochodzimy do sposobu, w jaki ryzykując własną głową, można dojść do bardzo dużego majątku na ubezpieczeniach na życie. Jak się to robi?

Brent sam zadał to pytanie, spodziewając się go z ust nadinspektora. Wstał i przechadzając się po pokoju mówił dalej:

- Otóż, wyobraź sobie grupę kilku osób, z których jednocześnie każda ubezpiecza się na życie w innym towarzystwie asekuracyjnym, na jakąś niską kwotę, nie wymagającą wpłacenia zbyt dużej stawki. Aby klub samobójców, jak go słusznie nazwałeś, zaczął funkcjonować, w pewnym momencie jeden z jego członków musi umrzeć i

przekazać w ważnym testamencie wartość swojej polisy innemu z tego samego grona. Przypuszczam, że osobę, która ma umrzeć, wybiera się drogą losowania. Po pewnym czasie ginie ona śmiercią samobójczą upozorowaną na nieszczęśliwy wypadek. Następnie pieniądze podjęte z tytułu jej ubezpieczenia zostają równo podzielone między pozostałych członków klubu, przy czym określona część zużyta jest na opłacenie wyższych składek, pozwalających na podwyższenie polis. Postępowanie to powtarza się corocznie i w ten sposób sumy ubezpieczeniowe stale rosną, a liczba osób partycypujących w klubie z roku na rok zmniejsza się o jedną. Wreszcie zostaje tylko ta osoba, która zachowując życie wygrywa zarazem największą ilość pieniędzy. Do swojej dyspozycji otrzymuje ona najwyższą sumę ubezpieczenia ostatniego mającego umrzeć członka. W naszym przypadku tym szczęśliwcem okazał się Charles Belvedere Andrews.

- To zupełnie niesłychane! Ty chyba rzeczywiście masz rację, Jim.

Kevel jeszcze raz spojrzął uważnie na rysunek.

- Ale, poczekaj chwilę... Przecież polisy Whitehorna nikt nie zrealizował. Dlaczego?

Nadinspektor sięgnął po kartkę z życiorysem alpinisty i wpatrywał się w nią w milczeniu. Potem rzekł:

- Z tym klubem ogólnie wszystko się zgadza, ale przypadek Whitehorna do niego wyraźnie nie pasuje. Na razie widzę tylko jedno wytłumaczenie tego faktu: Whitehorn naprawdę zginął w nieszczęśliwym wypadku i dlatego nie zostawił odpowiedniego testamentu.

- Tak sądzisz? - zapytał z powątpiewaniem Brent.

- Oczywiście, że tak. Przecież inaczej byłyby to śmierć bezsensowna z punktu widzenia finansowych interesów członków klubu. A jak sam powiedziałaś, były one głównym motorem powstania tego szacownego stowarzyszenia.

- Może masz rację, Stan. W każdym razie trzeba uwzględnić również taką możliwość - przyznał z niezdecydowaną miną Brent.

- Jestem przekonany, że właśnie tak było! - nadinspektor w

podnieceni poderwał się ze swojego fotela.

- W sumie jest to niesłychana historia! Pracuję już przeszło dwadzieścia lat w swoim zawodzie i z niczym podobnym się jeszcze nie zetknąłem. O ile dobrze pamiętam, w literaturze fachowej też nigdzie nie opisano analogicznego zdarzenia. Czego też ludzie nie wymyślą...

- Tak! A pan inżynier Andrews będzie miał zapewne dość głupią minę, kiedy odwiedziś go i poprosisz o kilka wyjaśnień w związku z tą aferą.

Stanley Kevel gwałtownie odwrócił się w stronę Brenta.

- No, wyobrażam sobie! Przecież udział w takiej imprezie jest bardzo poważnym przestępstwem, nie mówiąc już o odpowiedzialności cywilnej wobec oszukanych towarzystw asekuracyjnych. Będzie to duża sprawa karna! - Mister Andrews na pewno dobrze wie, co mu może grozić w przypadku ujawnienia klubu samobójców. Myślę, że właśnie z obawy przed wykryciem jego udziału w tym całym przedsięwzięciu zainteresował się biurkiem Christophera Hodgarchy'ego do tego stopnia, że szukał w nim czegoś ukradkiem, celowo zostając na noc w Timbergate. Było to w ubiegły piątek.

- Ach, więc to tak? Nareszcie zrozumiałem, dlaczego z samego rana w sobotę telefonowałeś do mnie prosząc o życiorys tego pana. Naturalnie przyłapałeś go na gorącym uczynku, co?

- Zgadza się - odparł spokojnie James.

- A czy on cię widział?

- Skądże znowu! Czy uważasz, że dopuściłbym do czegoś podobnego? - Brent wręcz się oburzył. - Nasz lotniczy potentat nie śni nawet, że niejaki James Brent, skromny autor powieści kryminalnych, wie cokolwiek o pochodzeniu jego majątku.

Natomiast wydaje mi się, że o jakąś wiedzę w tej sprawie może on posądząć Miss Maureen Denverley. Dziewczyna ma przecież dostęp do papierów swego ojczyma, w których można znaleźć: nikły trop prowadzący do... Czekaaj, niech sobie przypomnę... Trzyńście? Nie, powinno być czternaście! A przecież ona mówiła, że są wszystkie...

- Kto mówił? Miss Denverley?

- Tak, tak... Więc albo omyliła się, albo... Albo rewizja u pana Andrews może rzucić nowe światło na tę aferę. Oczywiście, o ile nasz inżynier z przezorności nie zniszczył już obciążających go materiałów.

- O jakich materiałach mówisz, Jim?

- Och, to jest na razie w sferze czystych domysłów. Nie zwracaj na to uwagi, Stan. Wracając do Maureen Denverley, obawiam się, że jeśli Andrews podczas wizyty w Timbergate ugruntował swoje przekonanie o istnieniu tam tropu prowadzącego do klubu samobójców, to...

Brent zawiesił na chwilę głos i wykonał nieokreślony ruch ręką.

- Nie sądzisz chyba, Jim... - zaczął Kevel.

Brent nie dał mu jednak skończyć.

- Nic jeszcze nie sędzę, Stan - powiedział z naciskiem. - Jednak ogromnie mi się nie podoba, że Mister Andrews mimo nawału zajęć zdobył się na wizytę w Timbergate, a obecnie serdecznie zaprasza Miss Denverley do swojej rezydencji w Seaside Garden, w południowej Walii. Maureen telefonowała wczoraj do Anny i powiedziała jej, że dziś o szóstej przyjeżdża do Londynu w związku z zaproszeniem Andrews. Pan inżynier wyraził życzenie, żeby jutro rano pojechali na cały dzień do jego rezydencji.

- Jutro? - zdziwił się Kevel. - Przecież jutro jest dopiero środa. Początkowo zrozumiałem, że chodzi o odwiedziny w czasie weekendu.

- Właśnie - skinął głową Brent. - Ten pośpiech tym bardziej mnie niepokoi. Dlatego wolałbym pod jakimś pretekstem spowodować przełożenie tej wycieczki o co najmniej dwadzieścia cztery godziny i wykorzystać ten czas na zorientowanie się w sytuacji. Zakładając, że to mi się uda, chciałbym jednak, aby w czwartek był ktoś z twoich ludzi w Seaside Garden. Ostrożność nigdy nie zawadzi. Ja też przypuszczalnie tam będę. Chociaż Mister Andrews wcale mnie nie zapraszał.

Brent roześmiał się ironicznie i po chwili dodał:

- Czy po prostu nie mógłbyś mi wypożyczyć na czwartek sierżanta Robbesa?

- Z tym nie będzie żadnego kłopotu. Mamy teraz trochę martwy sezon i ludzie z nudów ziewają po kątach. Robbes na pewno będzie zadowolony, że trafiła mu się jakaś bardziej niecodzienna robota.

- To świetnie. - Brent wstał z fotela zbierając się do wyjścia. - Czy będziesz jutro w Londynie, Stan?

- Oczywiście! Po twoich rewelacjach będę miał sporo zajęcia na miejscu. Muszę przecież sprawdzić wszystkie dane w towarzystwach ubezpieczeniowych, abyśmy mogli jak najprędzej złożyć wizytę twemu protegowanemu.

- Racja! Zupełnie zapomniałem. - James uderzył się dłonią w czoło.

Stał przez chwilę w skupieniu, po czym wyjął z kieszeni trzy nieduże kartki.

- Tutaj masz zgromadzone przeze mnie informacje o polisach asekuracyjnych Andrews, Hodgarthy'ego i O'Briena. Zostali ci więc jeszcze tylko trzej panowie.

- Widzę, że faktycznie nie próżnowałeś ostatnio - Kevel rzucił okiem na wyciągi z towarzystw ubezpieczeniowych. - Oszczędziłeś mi sporo roboty i wobec tego zdążę ze wszystkim śpiewająco.

- No, teraz już pójdę, Stan. Do szóstej muszę wymyślić niewinny sposób, za pomocą którego będzie można przełożyć wycieczkę Miss Denverley i Mr Andrews. Do widzenia!

James uściśnął dłoń przyjaciela i opuścił gabinet.

Idąc przez długie korytarze budynku zastanawiał się nad stojącym przed nim zadaniem wyszukania sensownego pretekstu, aby Maureen została na jutro w Londynie. Zadanie to nie było najzręczniejsze, lecz Brent liczył na swoją pomysłowość, która zazwyczaj nie zawodziła go w decydujących momentach. I istotnie, kiedy po paru godzinach oczekiwał przyjeżdżającej z Timbergate dziewczyny, miał już opracowany plan.

Na dworcu, jak przez okrągły rok, było tłoczno i gwarno. Brent wolnym krokiem przechadzał się po peronie. Do

przyjazdu pociągu brakowało jeszcze dwóch minut. Zapalił papierosa i rozejrzał się wokół, chcąc sprawdzić, czy jest jedyną osobą oczekującą na Maureen. Nie dostrzegł jednak żadnej znajomej twarzy.

Tymczasem pociąg wjechał na docelowy tor i jego liczne drzwi otwarły się szeroko, wylewając na peron nową falę podróżnych. Brent niebawem dostrzegł rozpuszczone włosy Maureen.

- Dobry wieczór, Miss Denverley! - powiedział zatrzymując się przed przybyłą. - Czy podróż była znośna?

Dziewczyna drgnęła i spojrzała na niego trochę zaskoczona. Jednak po ułamku sekundy twarz jej rozjaśniła się w miłym uśmiechu.

- Dobry wieczór, Mister Brent. Pan na mnie czekał? Wcale się tego nie spodziewałam. Zrobił mi pan przyjemną niespodziankę.

- Byłem właśnie w tej okolicy, a moja żona mówiła mi rano, którym przyjedzie pani pociągiem. Zatrzymanie się tutaj po drodze do domu nie sprawiło mi żadnego dodatkowego kłopotu.

Idąc koło siebie opuścili zabudowania stacyjne i skierowali się w stronę dworcowego parkingu. James uiściwszy opłatę postojową, otworzył drzwiczki samochodu zapraszając Maureen do środka. Kiedy ruszyli, jakby mimochodem rzucił pytanie:

- Jak słyszałem od Anny, wybiera się pani z inżynierem Andrewsem obejrzeć Kanał Bristolski?

- Tak - dziewczyna wyraźnie się ożywiła. - Pan Andrews był tak uprzejmy, że zaprosił mnie do siebie, do Seaside Garden. Wczoraj zatelefonował do mnie i spytał, czy nie moglibyśmy się tam wybrać w środę, to znaczy jutro. Oczywiście zgodziłam się z radością.

- Hm - mruknął Brent z nieco zakłopotaną miną. - Widocznie niezbyt dobrze zrozumiałem słowa mojej żony. Sądziłem bowiem, że wycieczka z panem inżynierem ma odbyć się we czwartek, a cały jutrzejszy dzień spędzi pani z nami w Londynie. I właśnie z myślą o tym kupiłem na jutro dla nas

trojga biletu do Globe'u na „Mackbetha”. Myślałem, że pani, jako zaprzysiężonej miłośniczce Shakespeare'a zrobię tym sporą przyjemność.

Na twarzy Maureen pojawił się wyraz niezdecydowania.

- Och, jak mi przykro, Mister Brent. Naprawdę z wielką radością poszłabym z państwem na tę sztukę, ale na jutro jestem już umówiona... Jaka szkoda! - dodała z wyraźnym żalem.

- O tyle szkoda, że obsada Globe'u gra jutro tę sztukę po raz ostatni przed paromiesięcznym tournée po krajach obu Ameryk. A Jessica Olson jako Lady Mackbeth jest zupełnie fenomenalna!

Brent zawiesił na chwilę głos przyglądając się siedzącej obok dziewczynie.

- A może jednak przełożyłaby pani ten wyjazd na czwartek? Jestem przekonany, że pan inżynier nie weźmie pani tego za złe, jeśli ładnie go pani poprosi.

- Sądzi pan, że w ogóle wypada mu coś takiego zaproponować? Maureen zwróciła się do Jamesa z wyraźną nadzieją w głosie.

- Oczywiście! Nie ma w tym nic niestosownego. Najgorsze, co może panią spotkać, to to, że Mister Andrews wyrazi stanowcze życzenie, żeby wycieczka odbyła się zgodnie z umową, a więc jutro. Myślę jednak, że nie ominie pani ani przedstawienie, ani wyjazd nad morze. Brent zatrzymał samochód przed domem i dodał: - Może pani zaraz sprawdzić, czy dobrze doradziłem. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby pani od razu zatelefonowała do pana Andrews. Nawet lepiej, jeśli z taką propozycją zwróci się pani do niego możliwie prędko.

Maureen, posłuchawszy tej rady, zaraz po przywitaniu się z Anną podeszła do telefonu. Tymczasem James wywołał swą małżonkę do drugiego pokoju i pokazał jej trzy bilety na jutrzejsze przedstawienie.

Zanim Anna zdążyła się czegoś więcej dowiedzieć o zmianie terminu wyjazdu Maureen, ta ostatnia właśnie skończyła rozmowę telefoniczną i weszła do pokoju.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Pan inżynier wcale

się nie obraził i życzył mi dobrej zabawy.

- Cieszę się bardzo - odparł James. - A jutro przed wyjściem do teatru pokażę pani stare programy Globe'u i recenzje o grze aktorów sprzed stu i więcej lat, właśnie z Mackbetha i innych Szekspirowskich dramatów.

Jednak tej obietnicy James Brent nie dotrzymał. Następnego ranka wyszedł z domu bardzo wcześnie, na cały dzień pozbawiając swego towarzystwa obie panie. Zjawił się dopiero, gdy Anna i Maureen, już ubrane do wyjścia, siedziały w salonie przy popołudniowej herbacie.

- Najmocniej przepraszam, ale zatrzymały mnie na mieście ważne sprawy - powiedział od progu. na widok niezbyt promiennej miny swej małżonki. - Czy znajdzie się jeszcze filiżanka herbaty dla skruszonego grzesznika, Anno?

- Nie jest to zupełnie pewne, ale zapytam Maggie -- Anna podniosła się z fotela i wyszła wydać dyspozycje.

- Przede wszystkim przepraszam panią, Maureen, za niedotrzymanie słowa w sprawie obiecanych programów. Niestety, teraz jest już na to za późno, ale nadrobimy to przy najbliższej okazji... Jak spędziłyście, panie, dzisiejszy dzień?

- Jeśli sądzisz, że cały czas płakałyśmy z powodu twej nieobecności, to jesteś w błędzie - stwierdziła Anna wchodząca właśnie do pokoju. - Ja pracowałam trochę nad moim kilimem, a Maureen po lunchu poszła zwiedzać muzea i znowu zobaczyć się z tym swoim wielbicielem z linii lotniczych.

- Ależ, Anno! - jęknęła błagalnie Maureen.

- Co, Anno? - zapytała niewinnie pani Brent.

- Uważam tylko, że starsi panowie okazują ci, moja droga, wyjątkowe względy. Mister Andrews, Mister Dawson... Stanowczo musisz poznać jakichś młodych ludzi, bo inaczej ani się obejrzyysz, jak zostaniesz żoną sześćdziesięciolatka. Zaczyna się od prezentów, a potem...

- Och, Anno! Czy naprawdę z powodu głupiego albumu od pana Dawsona można snuć aż tak daleko idące przypuszczenia?

Dziewczyna była wyraźnie zmieszana i Jamesowi zrobiło się jej trochę żal.

- Niechże pani tego nie bierze za dobrą monetę, Maureen. Anna lubi sobie czasem tak pożartować... Mogę panią najsolennie zapewnić, że o ile tylko to nie jest album z pornograficznymi zdjęciami, wszystko jest w jak największym porządku.

Brent miał tak komicznie poważną minę, że dziewczyna roześmiała się. Wstała i podeszła do stolika, na którym leżała sporych rozmiarów książka w lakierowanej, kolorowej okładce. Wzięła ją do ręki i podała Jamesowi.

- Niech pan sam zobaczy, jakie to ładne wydawnictwo.

- „Australia w fotografii” - odczytał James tytuł wydrukowany na okładce na tle szerokiej panoramy Sydney.

Przekartkował pobieżnie książkę. Tekst urozmaicały liczne, świetnie uchwycone i wykonane zdjęcia.

- Ciekawe ujęcia - zauważył. - Musiał to robić ktoś, kto wie, do czego służy aparat fotograficzny.

- To są właśnie fotografie pana Dawsona - powiedziała Maureen. - On jest jednym z lepszych fotografików w Sydney. Byłam kiedyś z wujem na jego wystawie. Szalenie mi się podobała.

- No proszę. Czy ten zachwyty nie jest niebezpieczny? - wtrąciła znów Mrs. Brent.

- Anno, uważaj, bo jeszcze wywołasz fontannę łez i żarty skończą się smutno. - Brent pogroził żonie palcem i upił łyk herbaty, którą przed chwilą postawiła przed nim Maggie.

- Mnie również bardzo podobają się te zdjęcia... No i jaka dydaktyczna dedykacja - dodał otworzywszy album na pierwszej stronie.

„Milej towarzysze podróży, pannie Maureen Denverley, z życzeniami, aby po powrocie do rodzinnego kraju nie zapomniała tak szybko piękna ziemi, na której wyrosła. Lawrence R. Dawson.”

Hm, bardzo ładnie. I całkiem nie bez sensu - rzucił spoglądając z ukosa na Maureen.

- Ale że panu Dawsonowi chciało się to wszystko kaligrafować pismem technicznym... Ja nie miałbym cierpliwości, nawet gdybym to potrafił.

- Widocznie musi mieć bardzo niewyraźny charakter pisma - zauważyła Mrs. Brent. - A że chciał, aby Maureen na pewno odczytała ten tekst, więc zdobył się na dodatkowy wysilek... Pamiętaj zatem, droga kuzyneczko, abyś nie zapomniała ani Australii, ani... hm, Australijczyków.

- No, drogie panie - przerwał Brent - na nas już najwyższy czas, jeśli nie mamy się spóźnić do teatru. I tak może nam to grozić, jeśli natkniemy się na jakiś większy zator.

Mieli jednak odrobinę szczęścia. Weszli na salę w momencie, gdy rozległ się trzeci dzwonek i światła na widowni przygasaly. Usiedli w swoich fotelach, kiedy kurtyna szła już w górę. Po chwili na scenę weszły trzy czarownice. Zaczynała się sztuka.

Rozdział dziesiąty SEASIDE GARDEN NAD KANAŁEM BRISTOLSKIM

James Brent zapuścił silnik i po chwili czarny Morris mknął po wilgotnym dziś asfalcie ulicy. W porównaniu z poprzednim samochodem, ten nie był może tak szybki, lecz miał kilka istotnych zalet, do których jego właściciel zdążył się już przyzwyczać. Najważniejszą z nich, którą zdecydowanie górował nad swym poprzednikiem, było to, że od początku pozyskał sympatię Anny.

Mężczyzna za kierownicą westchnął cicho przypomniawszy sobie uwagi swej żony na temat pechowego Jaguara. Kupił go oszołomiony sukcesem w ankiecie prasowej na najpopularniejszego autora powieści sensacyjno-kryminalnych.

Państwo Brent odbyli nim jedną jedyną podróż. Było to rok temu. Jak częstokroć, wybrali się na wakacje na południe Francji. Anna, która nowy samochód uznała od razu za zbyt pretensjonalny, kategorycznie odmówiła współudziału w roll kierowcy. Wyżywała się natomiast w wynajdowaniu możliwie barwnych, lecz niezupełnie pochlebnych określeń nowego wehikułu. Któregoś dnia Brent, nieco zniecierpliwiony docinkami żony, nie jechał tak uważnie jak zwykle i nie

zauważył w porę ogromnego Leylanda, który bezceremonialnie zajechał mu drogę, wyskakując zza ostrego zakrętu w pobliżu Nicei.

Szczęśliwie nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń, ale po tej kraksie Jaguar nie nadawał się do dalszej eksploatacji. Za premię wypłaconą przez towarzystwo ubezpieczeniowe James kupił spokojnego czarnego Morrisa, przezornie upewniwszy się, że jego małżonka będzie z tego wyboru zadowolona.

Brent odpędził niemile wspomnienie i zaczął myśleć o celu swojej podróży. Wiedział już bardzo dobrze, jaką prawdę ma odkryć. Dokładnie zdawał sobie sprawę z mechanizmu następujących po sobie kolejno wydarzeń. Jeśli czegoś jeszcze nie znał w tym dramacie, to tylko niektórych drobnych szczegółów technicznych. Najbliższe wypadki musiały jednak potoczyć się ściśle tak, jak przewidywał. Dlaczego więc denerwował się mimo wszystko?

Przed jego oczami stanęła jasna dziewczęca twarz, z której niewinnie patrzyły wielkie, czarne oczy.

- Nie roztkliwiaj się, chłopie - mruknął do siebie. Korzystając z mniejszego teraz ruchu na drodze, wyciągnął papierosa z leżącej obok niego paczki Playersów. Zapalił, z przyjemnością wciągając w płuca gorzkawy dym.

Przedmieścia Londynu zostały już dawno w tyle i droga mijala małe, tonące w kwiatach miasteczka oddzielone od siebie jasnymi plamami pól i ciemniejszymi - łąk i zagajników. Po prawej stronie mignęła wieża ratusza, z której rozlegało się dzwonienie zegara. Szósta.

Brent nacisnął pedał i samochód przyspieszył. Po chwili domy miasteczka znów uciekły i szosa łagodnie skręciła na zachód. Biegła teraz szpalerem starych drzew, z każdym yardem zbliżając się ku morzu, które było widoczne już od pewnego czasu po lewej stronie. „Za czterdzieści minut powinienem być w Rotterbury” - pomyślał James, przypominając sobie niektóre szczegóły swojej wczorajszej eskapady tą samą trasą. Bowiem to dla wycieczki krajoznawczej w te okolice zrezygnował on tak nagle ze spędzenia prawie całego wczorajszego dnia w towarzystwie

swej żony i przybyłej z Timbergate panny Denverley.

Ani Anna, ani Maureen nie dowiedziały się jednak, gdzie się podziewał. Obie byłyby zapewne zdziwione wiadomością, że był w Rottenbury i Seaside Garden. Brent wrócił myślą do wczorajszej podróży... Rottenbury... Miasteczko było takie, jak przypuszczał: nieduże, trochę wyludnione, rozciągnięte wzdłuż wybrzeża na dość długim odcinku. Nieodzwonny rynek mieścił w sobie stary gotycki kościółek, nieco przysadzistą bryłę ratusza i czystą gospodę, której dobrodusznie wyglądający właściciel, z braku klientów siedział właśnie w drzwiach swego królestwa z fajką w zębach.

Umieszczony na wylocie rynku złoty drogowskaz informował, że Seaside Garden leży w odległości trzech mil w oznaczonym kierunku. Droga wiodła szerokim wygodnym gościńcem, omijając łagodnym łukiem leżący tuż za miasteczkiem nadmorski zagajnik. Lasek ten kończył się wąską, prowadzącą do morza ścieżką, za którą zaczynała się już posiadłość Charlesa B. Andrews. Cały jej teren ogrodzony był wysokim parkanem, spiętym zwróconą ku gościńcowi bramą wjazdową z kutego żelaza. Przez jej kraty można było dostrzec żwirowaną aleję prowadzącą ku majaczącemu w oddali domowi. Druga, mniejsza furtka, umiejscowiona na przyległym boku ogrodu, wychodziła na idącą w stronę morza ścieżkę. Zaciekawiony, gdzie ona prowadzi, James zszedł aż do urwistego brzegu. ścieżka nie kończyła się jednak. Schodziła stromo w dół, potem wznosiła się nieco i jako półka skalna biegła dalej wzdłuż brzegu, kilka jardów nad poziomem morza. Widząc, że kieruje się w stronę Rotterbury, Brent podążył nią, mając po prawej stronie morze, a po lewej wznoszącą się prawie pionowo ścianę białych skał.

Po dwudziestu minutach marszu ścieżka opadła nagle. zbliżając się na półtora jarda do powierzchni wody, z której wylaniały się kamienie o obłych kształtach. Na jednym z nich, tuż przy samym brzegu, zobaczył James starego człowieka o pomarszczonej, spalonej na brąz twarzy i białych jak mleko włosach. Stary tkwił nieporuszony, trzymając w ręce wędkę.

- Biorą tutaj? Tak blisko brzegu? - zagadnął James.

Człowiek drgnął i popatrzył na przybysza.

- A co mają nie brać? o, proszę, ile złowiłem od rana - wskazał wolną ręką na stojące obok niego wiaderko, w którym leżało już kilka sporych płastug. - A pan to chyba nietutejszy. Nigdy pana nie widziałem, a mieszkam tu prawie pięćdziesiąt lat - dodał przyglądając się Brentowi.

- Tak. Jestem tu tylko przejazdem, więc korzystam z okazji i zwiedzam okolicę - odparł James. - Dokąd ta ścieżka prowadzi?

- Do Rotterbury, do stacji.

- A daleko stąd jeszcze?

- E, nie. Bliziutko. Jak na pana młode nogi, to pewnie z dziesięć minut, nie więcej. A pan może do Londynu?

- Do Londynu. Czy pociągi stąd często chodzą? - Przed wojną to żadnego nie było, ale teraz są, a jakże. Nawet cztery! Jeden rano; jeden w południe, jeden o piątej i ostatni wieczorem. - Mam tu jeszcze coś do załatwienia i będę musiał zostać do wieczora. Czy nie wie pan, o której jest ten ostatni?

- Za dwadzieścia jedenasta. Wiem dokładnie, bo moja najmłodsza córka zawsze nim wraca do siebie, jak przychodzi czasem do pomocy w kuchni, w Seaside Garden. Jak przyjedzie więcej gości do pana Andrews na jakiś bal czy przyjęcie, to im tam miejscowej służby nie starcza i wtedy kobiety z Rotterbury też mają zajęcie. Córka chodziła tam jeszcze jak była panną i mieszkała z nami w Rotterbury. I tak się, proszę pana, przyzwyczaiła, że jak pan Andrews zaprasza gości, chce jej się jeszcze teraz jechać dwadzieścia mil z Garham, gdzie mieszka ze swoim mężem.

- To pewno córka chodzi na stację tą ścieżką, którą ja teraz szedłem. Widziałem, że zaczyna się ona właśnie koło Seaside Garden i jest chyba dużo krótsza niż gościniec, który idzie górą?

- Krótsza to jest, pewnie nawet o połowę. Ale jak jest wieczorny przypływ, to nie można tędy przejść. Morze zalewa.

- No, a jakbym się jednak uparł, żeby wracać wieczorem tą ścieżką?

- Nie chciałbym być w pana skórze. Woda podnosi się prędko i zmywa do morza, co tylko napotka.

- To dlaczego tu nie ma żadnych tablic ostrzegawczych?

- A po co? Po ciemku żadnych tablic nie widać, a w dzień morze niegroźne. Ten ranny przyływ jest dużo mniejszy... Zresztą miejscowi ludzie dobrze o tym wszystkim wiedzą, a turyści pewnie wolą inne miejsca, bo jakoś tu nie przyjeżdżają. Pan jest pierwszym obcym, którego tu widzę w tym roku.

- No, a goście pana Andrews? Sam pan mówił, że często są tu przyjęcia.

- Tym to już na pewno nic nie grozi. Pan Andrews jest bardzo troskliwym gospodarzem i stara się, żeby jego gościom była jak najlepiej. Córka nieraz mi o tym opowiadała. Zresztą cała posiadłość jest ogrodzona właśnie dla bezpieczeństwa.

- Rozumiem. A, o której zaczynają się te przyływy?

- To się zmienia. Zależnie od pory roku i fazy księżyca. Mogę panu najwyżej powiedzieć, jak jest teraz.

- No, więc o której jest ten wieczorny przyływ? .

- O wpół do dziesiątej. Potem w nocy zaczyna się odpływ i nad ranem morze znowu wygląda spokojnie.

- A ten dzienny?

- Ten to jest dużo mniejszy. Zaczyna się tuż po dziesiątej i trwa do w pół do drugiej.

- To może właśnie przez te przyływy i odpływy macie tutaj tyle ryb - powiedział James zobaczywszy nową płastugę usiłującą się zerwać z wędki rybaka.

- Pewnie tak będzie - mruknął stary pochylając się nad swoją kolejną zdobyczą.

- No, to ja już pójdę. Życzę dalszych pomyślnych łowów - Brent pożegnał rybaka i ruszył w stronę stacji.

Ścieżka pięła się teraz stale pod górę. Rzeczywiście, po dziesięciu minutach idący zobaczył nieduży budynek z ciemnoczerwonej cegły, na którego frontowej ścianie wymalowany był wyraźny czarny napis: ROTTERBURY.

Stacyjka była niewielka. Naprzeciwko kasy biletowej wisiała tablica informująca o przyjazdach i odjazdach pociągów. W rubryce odjazdów James odszukał pozycję: Londyn. Istotnie, pociągi odjeżdżały stąd cztery razy na dobę: o 6.27, 12.12, 17.07 i 22.40.

James Brent wiedział już wszystko, co mu było potrzebne. Mógł spokojnie wrócić do Londynu i pogрузić się w kontemplacji aktorskiego kunsztu Jessiki Olson, występującej w roli Lady Mackbeth. To wszystko było wczoraj. Teraz jednak Brent nie miał czasu na wspomnianie artystycznych przeżyć ubiegłego wieczoru, które zawdzięczał świetnej obsadzie aktorskiej. Oto zbliżał się do Rotterbury.

Po chwili zza zakrętu wyłonił się czerwony budynek stacyjny. Brent zjechał na pobocze drogi. Tak, tu mógł się najlepiej zatrzymać. Sprawdziwszy dokładnie zawartość swoich kieszeni, do jednej z nich wsunął nową paczkę Playersów. Potem spojrzął na zegarek - za pięć siódma.

Zatrzasnął za sobą drzwiczki samochodu i skierował się w stronę nadmorskiej ścieżki, prowadzącej do Seaside Garden.

Rozdział jedenasty W PORZE WIECZORNEGO PRZYPIYU

Było dwadzieścia pięć po siódmej, gdy Brent pokonawszy ostatnie strome podejście zatrzymał się przed żelaznymi sztachetami Seaside Garden.

Rozejrzał się uważnie, ale nie dostrzegł nic szczególnego. Otoczona ciemniejszymi drzewami szara plama budynku roztapiała się powoli w zapadającym zmierzchu. James przytknął do ust zwinięte w trąbkę dłonie i rozległ się dźwięk do złudzenia przypominający głos puszczyka. Zaraz zahukał drugi puszczyk i Brent podążył w kierunku, z którego usłyszał odzew.

Tuż przy sztachetach, po drugiej stronie ogrodzenia, stał niewysoki, zarośnięty, trochę niechlujnie ubrany mężczyzna. Wprawne oko Brenta od razu jednak rozpoznało w nim sierżanta Robbesa, jednego z najlepszych wywiadowców Kryminalnego Wydziału Śledczego Scotland Yardu, którego Kevel „wypożyczył” Jamesowi na dzisiejszy dzień.

- Dobry wieczór, sierżancie. Nie nudziło się wam tu od rana?

- Dobry wieczór, Mister Brent. Staralem się wypełnić sobie

czas podglądaniem mieszkańców tego domu. Ustaliłem, że ze służby są tu teraz tylko trzy osoby: stary odźwierny, kucharka i jedna pokojówka z którą udało mi się zaprzyjaźnić, powiedziała, że w początkach lata jej pracodawca nie bywa tu prawie nigdy. Jego telefon uprzedzający o dzisiejszym przyjeździe był dla tych trojga dużym zaskoczeniem.

- O której przyjechał Andrews?

- Za dziesięć dwunasta. Razem z młodą dziewczyną o rysopisie odpowiadającym Miss Denverley.

- Przybyli oczywiście samochodem - raczej skonstatował, niż zapytał James. - Czy był z nimi szofer?

- Nie, pan Andrews prowadził sam. Osobiście też odprowadził swój wóz do garażu.

- A co się działo dalej?

- Tuż po dwunastej podano im lunch, po którym wyszli do ogrodu. Chodzili tak dość długo. Potem Andrews podprowadził dziewczynę do bramy wjazdowej i coś mówił pokazując ręką na gościniec. Cały czas jej zresztą coś tłumaczył, za to Miss Denverley odzywała się rzadko. Następnie zawrócili i poszli w stronę morza. Słyszałem skrzypnięcie furtki i potem nie widziałem ich stąd dość długo. Sądzę, że musieli wtedy zejść na dół oglądać morze z bliska. Wróciwszy, weszli od razu do domu.

- Czy udało się wam, sierżancie, zauważyć, co tam robili?

- Z tym to już jest gorzej, bo okna w wielu pokojach były pozamykane. Widziałem tylko, że pan Andrews oprowadzał swego gościa po domu. Później Miss Denverley czytała w pokoju bibliotecznym, zaś Andrews znikł w swojej sypialni, gdzie prawdopodobnie uciął sobie popołudniową drzemkę. Teraz jedzą właśnie kolację, do której usiedli na dziesięć minut przed pana przyjazdem. Nic szczególnego nie zauważyłem.

- Jeśli to wszystko, co macie mi do powiedzenia, sierżancie, to wracajmy teraz na nasze stanowiska. W miarę możliwości, starajcie się jak najuważniej obserwować tych dwoje po kolacji. Zdaje się, że gabinet Andrews'a to ten narożny pokój na parterze, prawda? Jak widzę, stoi przed nim duży świerk. Jeżeli więc Andrews ze swym gościem ulokują się właśnie tam po

kolacji, co wydaje mi się dość prawdopodobne, będziecie mieli ułatwione zadanie obserwacyjne. W pewnej chwili jedno z nich może wyjść z domu. Jeśli skieruje się w stronę morza, dajcie mi sygnał pojedynczy, jeśli zaś w stronę gościńca - podwójny. Wy sami nie przerywajcie tymczasem obserwacji osoby pozostałej w pokoju aż do chwili, kiedy ja dam wam sygnał. Wtedy będziecie mogli iść już spokojnie na zasłużony odpoczynek. Czy wszystko jest jasne?

- Oczywiście - skinął głową Robbes.

- W takim razie, do usłyszenia, sierżancie.

- Do usłyszenia, Mister Brent.

Tymczasem zmrok pogłębił się znacznie i w kilku oknach niewidocznego już teraz domu zapłonęły światła. Nikły blask przesączał się przez korony drzew potęgując wrażenie ciemności otaczającej rozmówców. Fosforyzowane wskazówki zegarka Brenta wskazywały za kwadrans ósmą. James odwrócił się i ruszył w stronę gościńca. Jak dotąd, wszystko przebiegało zgodnie z jego oczekiwaniami.

Odczuwał narastające z każdą chwilą podniecenie. Jeszcze dwie godziny i sprawa się wyjaśni. Musi się wyjaśnić - był tego pewien.

Pogrążony w swych myślach nie zauważył nawet, jak szybko minęła godzina marszu, i wyszedł na rynek Rottenbury. Po dziesięciu minutach siedział już za kierownicą swego Morrisa. Droga powrotna do Seaside Garden wraz ze znalezieniem miejsca na zaparkowanie samochodu na skraju zagajnika zajęła mu następny kwadrans i o dziesiątej dziesiąć James schodził znów stromą ścieżką ku morzu szumiącemu teraz jakby nieco silniej niż w dzień. Przeszedł jeszcze kilkanaście kroków po twardej nawierzchni i zatrzymał się. Małe wgłębienie w skale na idealnej wprost wysokości zdawało się zapraszać do spoczynku jak fotel klubowy. Usiadł. Wszystko już było przemyślane, obliczone i sprawdzone.

Teraz należało tylko czekać, aż aktorzy dramatu, którego treść i znaczenie James Brent już odgadł, dograją do końca swoje dzisiejsze role. Do końca? No, niezupełnie. Po to tu właśnie był, żeby zmienić nieco finał rozgrywającej się odsłony.

Ponury finał, którego treścią miała być czyjaś śmierć.

Na razie jednak nikt oprócz Brenta nie wiedział, co się stanie, nim minie godzina. Ofiara nie zdawała sobie sprawy z tego, że miała umrzeć jeszcze tego wieczoru, zaś mordercy na pewno nie przyszło do głowy, że ktoś mógł zawczasu przewidzieć i pokrzyżować jego plany.

Zapałka spadła świetlistym łukiem ku morzu i zgasła, zanim dotknęła jego niespokojnej, wzbierającej coraz wyższymi falami powierzchni. Głęboko zaciągnąwszy się nie wiadomo już którym papierosem, James spojrział znów na tarczę swego zegarka. Dziewięta trzydzieści. Zaczynał się przypływ. W wyobraźni mężczyzny pokazała się na chwilę twarz spotkanego wczoraj starego rybaka, by ustąpić zaraz innej, należącej do osoby, której tu oczekiwał. Teraz była to już tylko sprawa minut. Prawdopodobnie niewielu.

Odrzucił dopalającego się papierosa i wstał ze swego kamiennego fotela. Lekko oparty o skalistą ścianę i zwrócony twarzą ku opadającemu zboczcu wpatrywał się w biegnącą po nim z góry ścieżkę. Nagle dobiegł go nieco stłumiony przez wciąż wzmagający się szum morza, lecz mimo to wyraźny głos puszczyka. Nocny ptak odezwał się raz i zamilkł. James mocniej przywarł do skały, nie spuszczać wzroku ze ścieżki. Po chwili usłyszał czyjeś lekkie, szybkie kroki i na zboczcu zamajaczyła jasna sylwetka młodej kobiety.

Maureen Denverley prawie biegła. Gdy dzieliło ich już tylko kilka jardów, Brent oderwał się od skały i zastąpił jej drogę. Dziewczyna krzyknęła i zatrzymała się gwałtownie. Cofnęła się o krok i wtedy w stojącym naprzeciw niej mężczyźnie rozpoznała Brenta. W blasku księżyca James wyraźnie zobaczył jej najpierw przerażone, a teraz rozszerzone zdumieniem oczy.

- Ależ mnie pan przestraszył - powiedziała drżącym nieco głosem. - Nie spodziewałam się tu spotkać nikogo.

Brent zaśmiał się cicho.

- No, na pewno nie spodziewała się pani ani tego, ani też wielu innych rzeczy, które trzeba będzie jeszcze wyjaśnić. Oczywiście teraz nie czas ani miejsce na takie rozmowy. Narazie wystarczy pani mocnych wrażeń, które sądząc po

śladach wzburzenia, widocznych na pani twarzy, nie ograniczają się tylko do naszego nagłego spotkania. Kilkadziesiąt jardów stąd stoi mój samochód, którym wrócimy zaraz do Londynu. Proszę dać mi teraz rękę i iść za mną - powiedział James i pociągnął Maureen za sobą, nim zdołała powiedzieć choć słowo.

Po paru minutach byli już w samochodzie.

Szybko, ale uważnie przyjrzał się James siedzącej obok niego dziewczynie.

- Nie wygląda pani jeszcze najlepiej. W bagażniku mam świetne lekarstwo, które na pewno pani pomoże.

Obszedł samochód i otworzył klapę bagażnika. Zanim jednak zajrzał do środka, popatrzył jeszcze raz w kierunku Seaside Garden. Oczywiście, Robbes mógł już zwinąć swój punkt obserwacyjny.

Znów rozległ się głos puszczyka. Szybki odzew potwierdził przyjęcie sygnału. James schylił się i ze stojącego po lewej stronie pudełka wyciągnął niedużą, płaską butelkę. Zamknął bagażnik i wrócił na swoje miejsce. Teraz otworzył schowek po lewej stronie kierowcy, wyjął zeń małą, prostą szklaneczkę i nalał do niej z butelki trochę złotawego płynu.

- Proszę to wypić duszkiem - powiedział podając Maureen szklaneczkę.

Dziewczyna zakrztusiła się nieco, ale posłusznie wypila całą zawartość.

- To koniak! - stwierdziła ze zdumieniem.

- Zgadza się. Zaraz poczuje pani jego dobroczynne działanie. Teraz już możemy jechać.

Brent włożył kluczyk do stacyjki i zapuścił silnik. Ruszyli. Od czasu do czasu James odrywał wzrok od smugi wpadającego pod koła asfaltu i spoglądał na twarz swej towarzyszki. Policzki dziewczyny zabarwiły się wreszcie lekkim rumieńcem, a oczy straciły specyficzny wyraz będący mieszaniną przestachu, nieufności i nerwowego napięcia.

- Widzę, że czuje się pani już lepiej, prawda?

- Och, tak. Znacznie lepiej. Dziękuję panu bardzo. Czy... - zawahała się chwilę. - Czy mógłby mi pan powiedzieć, skąd się

pan wziął na tej ścieżce?

- Oczywiście, że mógłbym i na pewno odpowiem pani na to pytanie. Proszę mi jednak wybaczyć, że z pewnych względów wstrzymam się na razie z odpowiedzią i sam zapytam, co pani tam dzisiaj robiła? Z Londynu wyjechała pani przecież razem z panem Andrewsem, którego gościem w Seaside Garden była pani przez cały dzisiejszy dzień. Dlaczego więc w nie znanej sobie dobrze miejscowości znalazła się pani zupełnie sama nad morzem o tak późnej godzinie? Gdzie chciała pani iść, kiedy się spotkaliśmy?

Maureen przygryzła lekko dolną wargę i na jej twarzy pojawił się znów wyraz napięcia.

- Szłam na stację - powiedziała z ociąganiem - bo chciałam zdążyć na ostatni pociąg do Londynu, który odchodzi z Rotterbury o dwudziestą drugą czterdzieści.

- A czym państwo przyjechali rano z Londynu? Koleją?

- Nie, skądże. Samochodem pana Andrews.

- Dlaczego więc nie wracaliście razem w ten sam sposób? Czyżby Mister Andrews zamierzał zostać dłużej w swej posiadłości?

- Niezupełnie - pokręciła głową Maureen. - Mimochodem wspomniał, że wróci do Londynu jutro po południu. Miał zamiar uporządkować jakieś zostawione tu materiały do pracy i uważał, że musi mu to zająć kilka godzin.

- To wyjaśnia, dlaczego miała pani wracać do Londynu pociągiem - zgodził się Brent. - Nie rozumiem tylko, dlaczego pan Andrews nie odwiózł pani na stację samochodem. To przecież spory kawałek drogi od Seaside Garden, a pani nie zna dobrze okolicy.

- No tak, ale wiedziałam, jak można stamtąd się dostać na stację. Drogę przez gościniec przejechaliśmy przecież razem samochodem, a ponadto pan Andrews powiedział mi, że pieszo idzie się nią godzinę. Ścieżkę, na której spotkaliśmy się, widziałam również w ciągu dnia. Pan Andrews trochę pokazywał mi okolicę i naturalnie przy tej okazji schodziliśmy na dół, oglądać morze z bliska. Właśnie wtedy zobaczyłam tę ścieżkę i zapytałam, dokąd ona prowadzi. Mister Andrews

powiedział, że też do Rotterbury, tak jak gościniec, tylko że jest od niego o połowę krótsza, bo nie okrąża tego zagajnika, który ciągnie się od miasteczka aż do Seaside Garden.

- Widzę, że istotnie zupełnie nieźle orientuje się pani w otoczeniu Seaside Garden - przyznał Brent. - Jednak to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego inżynier Andrews pozwolił pani iść samej, po ciemku, taki kawał drogi. Albo jest on człowiekiem skrajnie nieuprzejmym, czego nie zauważyłem w czasie naszego spotkania u pani, albo też musiała zaistnieć jakaś szczególna przyczyna takiego zachowania z jego strony.

Maureen zawahała się przez moment, po czym zaczęła niepewnie:

- Pan Andrews mówi mi... Wyszłam sama, bo... - Znów przerwała i po chwili powiedziała już bardziej zdecydowanie. - Bardzo pana przepraszam, ale ja naprawdę nie chciałabym o tym mówić. Z nikim.

Brent zatrzymał wóz gwałtownie i popatrzył na dziewczynę.

- To jest bardzo poważna sprawa, Miss Denverley - powiedział z naciskiem. - Obawiam się, że jednak będzie pani musiała o niej mówić. A jeśli tak, to chyba już lepiej ze mną niż z policją, nieprawdaż?

Maureen drgnęła i spojrzała na niego uważniej.

Otworzyła usta, chcąc widocznie coś powiedzieć, ale James ciągnął dalej, jakby nie dostrzegł jej poruszenia.

- Widzę, że trudno jest pani zacząć i wiem nawet, z jakiego powodu. Dlatego wyręcę panią i sam to powiem. Otóż, niedługo przed pani wyjściem z Seaside Garden, doszło do bardzo nieprzyjemnej rozmowy, prawie sprzeczki, pomiędzy panią a panem Andrewsem. W czasie jej trwania postanowiła pani wracać natychmiast do Londynu. Powiedziała pani inżynierowi Andrewsowi, że nie chce go więcej widzieć czy coś w tym rodzaju. W konsekwencji, musiała pani dostać się na stację pieszo, zamiast samochodem swego gospodarza, z którym rozstała się pani tak gwałtownie. Przyczyną tej sceny była sprawa bardzo dla pani przykra i osobista. Właśnie dlatego nie chciała mi pani powiedzieć o tym incydencie. Prawda, że się nie myłę?

Na twarzy Maureen malowało się teraz zmieszane z podziwem bezgraniczne zdumienie.

- Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak pan powiedział - szepnęła. - Ale skąd pan o tym wie? Przecież pana tam nie było!

Brent uśmiechnął się.

- Moje dziecko, ja wiem zazwyczaj dużo więcej niż to, co mogę zobaczyć na własne oczy. W tej historii również, więc nie warto przede mną niczego ukrywać. Na przykład, domyślam się też, jaka była przyczyna pani sprzeczki z Andrewsem. Chodziło o okoliczności śmierci pani matki, tak?

Oczy dziewczyny zaszklily się podejrzenie. Skinęła głową, a James mówił dalej:

- Pan inżynier Andrews powiedział pani coś, co stawia pani ojczyma w bardzo niekorzystnym czy wręcz podejrzanym świetle. Pani zaś, chcąc zachować nie tylko jak najlepszą pamięć matki, lecz także i Christophera Hodgarthy'ego, nie chciała uznać tego za prawdę. Oburzyło panią na pewno, że człowiek, który był przecież przyjacielem pani ojczyma., mówi o nim takie rzeczy i to właśnie do pani. Stała więc pani w obronie ojczyma i powiedziała Andrewsowi, że jest niegodziwy. On nie pozostał pani dłużny i wynikła awantura, która skończyła się nagłym opuszczeniem przez panią Seaside Garden. Czy to się zgadza?

Maureen nadal patrzyła na Brenta jak urzeczona.

- Chyba musi pan być jasnowidzem, skoro wszystko wie pan tak dokładnie. James uśmiechnął się znów.

- Nie, nie jestem. Po prostu myślę może trochę więcej niż inni i ze wszystkiego, co się dzieje, staram się wyciągnąć wnioski. Jak pani widzi, daje to czasem niezłe rezultaty. Oczywiście nie mogę znać wszystkich szczegółów i dlatego byłbym pani wdzięczny, gdyby zechciała mi pani jak najdokładniej opowiedzieć o swojej wizycie w Seaside Garden zaczynając od wyjazdu z Londynu dziś rano, a kończąc na chwili naszego spotkania. Najgorsze mamy już za sobą, a reszta nie powinna chyba pani sprawić trudności.

- Niewiele mam też do dodania - stwierdziła panna Denverley.

- Z Londynu wyjechaliśmy dwadzieścia po dziewiątej, zaraz po spotkaniu w umówionym miejscu. Po drodze nie zatrzymywaliśmy się nigdzie i do Seaside Garden przyjechaliśmy przed samą dwunastą. Aha, jeszcze w samochodzie Mister Andrews pytał mnie, jakie mam plany na przyszłość, więc powiedziałam mu, że na jesieni chcę zacząć studiować historię sztuki i trochę rozmawialiśmy na ten temat.. potem chyba o jakichś nieważnych drobiazgach, bo już nawet nie pamiętam o czym. Po przyjeździe doprowadziłam się trochę do porządku i zaraz był lunch, po którym pan Andrews pokazał mi swój ogród. Bardzo piękny i starannie utrzymany... Chyba właśnie tam pan inżynier opowiadał o zabawach, które urządza czasami w Seaside Garden. Mówił, że we wrześniu musi zrobić tam wielki bal i chce, abym i ja na nim była... W ogóle, był dla mnie szalenie miły... Później zeszliśmy obejrzeć z bliska morze, które widać już z ogrodu. Właśnie wtedy pytałam o tę ścieżkę, ale o tym już panu mówiłam... Następnie wróciliśmy do domu i wtedy zobaczyłam, ile tam jest cudownych rzeczy! Już w czasie lunchu zwróciłam uwagę na meble w stołowym. Mogę się założyć, że to Chippendale i to jedne z ciekawszych... Jednak dopiero wtedy, po powrocie z ogrodu, obejrzeliśmy kolejno wszystkie pokoje... Każdy jest urządzony w innym stylu... Na koniec pan Andrews zaprowadził mnie do swego gabinetu, który jest jak żywcem przeniesiony z epoki Henryka ósmego. Są tam cudowne, renesansowe meble z orzecha włoskiego i znakomicie do nich dopasowany kominek. Na tym kominku jest jedyny relikwyt trochę późniejszych czasów - siedemnastowieczny zegar, typu latarnia, w bardzo pięknej, srebrnej, prostokątnej obudowie. Istne cudo! Od razu przypomniał mi się dość podobny zegar, pochodzący na pewno z tego samego okresu, który widziałam niedawno w Muzeum Wiktorii i Alberta... Dostrzegając moje zainteresowanie, Mister Andrews opowiedział mi dokładnie o jego konserwacji. To bardzo skomplikowane i chyba nie umiałabym tego teraz powtórzyć, ale rezultaty!... Pan Andrews powiedział mi, że w punktualności może on konkurować z Schaffhausenem, którego nosi na ręce! No, ale zagadałabym pana na śmierć

opowiadaniem o wnętrzu tego domu, a to na pewno aż tak pana nie interesuje - zreflektowała się przyszła studentka historii sztuki.

- Och, jestem przyzwyczajony. Moja żona ma taką samą jak pani słabość do pięknych staroci... Wróćmy jednak do zasadniczego wątku pani opowiadania. Jeśli dobrze zrozumiałem, gabinet był ostatnim ze zwiedzanych przez państwa pokoi. Co się działo dalej?

- Pan Andrews zapytał mnie potem, czy nie jestem trochę zmęczona - podjęła wątek Maureen. - Powiedziałam, że nie. On zaś na to, że mi zazdrości i że niestety dawno minęły czasy, kiedy miał też dwadzieścia lat. Dlatego musi się teraz położyć, a ja, jeśli nie chcę odpoczywać, mogę wykorzystać najbliższe półtorej godziny na oglądanie jego biblioteki. Tam również znalazłam masę cudowności i nawet nie wiem, kiedy nadeszła pora kolacji. Do stołu usiedliśmy kwadrans po siódmej. W stołowym paliły się świece w pięknych, srebrnych lichtarzach i w ogóle było bardzo nastrojowo... Następnie przeszliśmy do gabinetu na koniak i kawę, którą Mister Andrews osobiście nam zaparzył. Przy kawie rozmawialiśmy...

- Chwileczkę - Brent przerwał dziewczynie ruchem ręki. - Czy gdy po kolacji posłżicie państwo do gabinetu, to drzwi z hallu były zamknięte na klucz?

- Nie, skądże - zdziwiła się Maureen. - Dlaczego miałyby być zamknięte?

James zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

- Tak - powiedział wreszcie. - Przy odpowiednio wytresowanej służbie to byłoby zupełnie zbyteczne... Zatem w gabinecie zaczęli państwo rozmowę. O czym?

- Najpierw o sportach wodnych uprawianych w Anglii i w Australii, a potem miała miejsce ta sprzeczka, o której powiedział panu chyba Duch Święty. Do tej chwili nie rozumiem, jak się to mogło stać. Mister Andrews cały dzień był dla mnie taki miły i nigdy nie przypuszczałabym przedtem, że może on...

- A od czego się to wszystko zaczęło? - spytał James.

- Pan Andrews powiedział, że od rana zastanawiał się, czy

przeczytać mi pewien list, który dostał kiedyś od mojego ojczyma. Stwierdził, że zrobiłam na nim dobre wrażenie i że ocenia mnie jako rozsądną, opanowaną dziewczynę. Sam, gdyby był na moim miejscu, chciałby zawsze znać prawdę o swoich rodzicach, bez względu na to, jaka by ona nie była. Dlatego postanowił zapoznać mnie z treścią tego listu, której do tej pory nie zna nikt oprócz niego i nie żyjącego już autora listu. W liście tym mój ojczym... - głos Maureen załamał się niebezpiecznie, ale po chwili dziewczyna opanowała się i ciągnęła dalej - pisze o strasznych cierpieniach, które musi znosić moja chora na raka żołądka matka. Informuje, że lekarze dają jej jeszcze dwa, trzy miesiące życia, które stało się już tylko pasmem nieprzerwanego bólu. Chris jest tym zupełnie załamany i zastanawia się, czy nie byłoby bardziej humanitarnie pozwolić chorej umrzeć jak najprędzej, zamiast kazać jej tak cierpieć, aż do naturalnego końca choroby... List ten datowany jest 13 stycznia 1954 roku, a moja matka zmarła 18 stycznia. Może pan słyszał od Anny, że przyczyną śmierci było spożycie przez matkę sporej dawki środków nasennych. Prowadzone przez policję śledztwo zostało, jak wiem, umorzone z braku jednoznacznych dowodów winy którejkolwiek z osób mających możliwość popełnienia tego czynu. Oczywiście, na szczęście dla mojego ojczyma, policja nie miała okazji zapoznać się z treścią tego listu do pana Andrews.

Dziewczyna umilkła na chwilę, po czym wciągnęła głęboko powietrze i bardzo prędko, jakby bojąc się, czy starczy jej odwagi, powiedziała:

- Najgorsze nastąpiło, jak skończyłam to czytać. Wtedy pan Andrews powiedział, że wszyscy ludzie mają skłonność do uszlachetniających racjonalizacji rzeczywistych pobudek swego postępowania i dodał, jakby mimochodem, że Miss Thompson, moja ówczesna guwernantka, była tak piękną dziewczyną, że doprawdy trudno byłoby się dziwić Christopherowi, gdyby nie pozostał obojętny na jej wdzięki! To przecież okropność! Jak on mógł coś takiego powiedzieć? Przyjaciół Chrisa?! Od razu przypomniał mi się końcowy ustęp listu Chrisa, który już umiem prawie na pamięć! Oczywiście powiedziałam panu

Andrewsowi, co myślę o takim postępowaniu, no i wtedy reszta odbyła się już dokładnie tak, jak pan powiedział.

- No, tak. Ta rzeczywiście paskudna historia. Jest mi niezmiernie przykro, że zmusiłem panią do opowiadania mi tego, Miss Denverley. Proszę mi jednak wierzyć, że była to absolutna konieczność. Nic więcej nie mogę pani w tej chwili powiedzieć ponad to, że na pewno nie będzie pani żałowała swojej dzisiejszej szczerości. Jeszcze tylko jedno małe pytanie i skończy się ta przykra indagacja. Dlaczego wychodząc z Seaside Garden, wybrała pani drogę nad morzem? Po ciemku chyba dużo łatwiej idzie się gościńcem, zwłaszcza gdy już raz widziało się tę trasę.

- Poszłam nad morzem, bo wiedziałam, że to dużo krótsza droga niż gościńcem, którym trzeba iść całą godzinę. Idąc tamtędy, na pewno spóźniłabym się na pociąg, który miał odejść za dwadzieścia jedenasta.

- O której więc wyszła pani z gabinetu?

- Zegar na kominku wskazywał za pięć dziesiątą. Do odjazdu pociągu miałam więc zaledwie trzy kwadranse.

- A pani sama nie nosi zegarka, Miss Denverley?

- Oczywiście, że noszę. - Dziewczyna odruchowo spojrzała na przegub ręki, na którym tkwił mały, prostokątny zegarek. - Do tej pory zawsze chodził bardzo dobrze. Dopiero dziś spóźnił się nagle o cały kwadrans. Zauważyłam to od razu, gdy weszliśmy po kolacji do gabinetu. Gdyby pan Andrews nie mówił przedtem tyle o dokładności swego starego chronometru, pomyślałabym raczej, że to mój chodzi dobrze, ale w tej sytuacji nie miałam wątpliwości, który z nich zawiódł. Prędko przestawiłam wskazówki mego zegarka na właściwą godzinę, a potem, już wychodząc, dla pewności spojrzałam na kominek.

- Rozumiem. A która teraz u pani godzina?

- Jedenasta siedemnaście.

- Tak? A na moim, dziś rano nastawianym i na pewno dobrze chodzącym zegarku, jest właśnie trzy po jedenastej - niemal wesoło powiedział Brent. - Myślę więc, że albo omyliła się pani patrząc na tarczę zegara w Seaside Garden, naturalnie w założeniu, że rzeczywiście chodzi on tak świetnie, jak twierdzi

jego właściciel, albo zegarek pani zachowuje się dziś bardzo nerwowo.

- Nie mogłam przecież aż tak się pomylić. To niemożliwe... Widocznie to ten zegarek - dodała niepewnie. - Jutro zaniosę go do przeglądu.

- Bardzo słusznie - pochwalił James. - Mogę nawet panią w tym wyręczyć i oddać go do mojego zegarmistrza, który jest znakomitym specjalistą. Na razie Anna będzie pani mogła pożyczyć swoją małą Doxę, której ostatnio nie nosi, żeby nie była pani pozbawiona zegarka, dopóki ten nie zostanie sprawdzony i wyregulowany. A teraz, skoro o czasie już mowa, trzeba prędko jechać, bo przed nami jeszcze prawie półtorej godziny drogi, a pora już zrobiła się późna.

Kiedy po bardzo szybkiej jeździe Brent otwierał drzwi swego mieszkania, Anna wyszła im naprzeciw mówiąc:

- Nareszcie jesteś, Jim! Widzę, że przywiozłeś również Maureen. To bardzo ładnie, ale gdzie podziewaliście się do tak późnej godziny? Jest dwadzieścia pięć minut po północy! Zaczynałam się już niepokoić...

- Na szczęście, obawy okazały się płonne, gdyż, jak widzisz, oboje jesteśmy zdrowi i cali - przerwał żonie James. - Tyle że bardzo zmęczeni. Anno, zajmij się, proszę, panną Denverley, której, jak widzę, oczy się same zamykają. Ja tymczasem załatwię jeszcze jeden pilny telefon. Dobranoc, Miss Denverley - uśmiechnął się do swej towarzyszki podróży.

- Niech się pani już niczym nie martwi i spokojnie idzie spać, a jutro...

Jutro wiele spraw będzie wyglądać inaczej.

Rozdział dwunasty

„PRZEPRASZAM, ZE TELEFONUJĘ W ŚRODKU NOCY...”

Cicho zamknął za sobą drzwi gabinetu i podszedł do telefonu. Ręka automatycznie wykręciła numer i po chwili w słuchawce odezwał się znajomy, spokojny głos:

- Halo. Kto mówi?

- To ja, Stan. Przepraszam, że telefonuję w środku nocy, ale przed chwilą wróciłem z Seaside Garden.

- Cieszę się, że dzwonisz, Jim. I oszczędź sobie wyrzutów sumienia z powodu godziny, bo jeszcze nie spałem. Dopiero co rozmawiałem z Robbesem i teraz czekałem na twój telefon.

- To nie wiem, kiedy ty sypiasz, skoro punktualnie o ósmej rano siadasz już przy swoim biurku w Yardzie.

- Dawno przyzwyczaiałem się do tego, że długość mojego snu zależy od stanu spraw służbowych. Ale mówmy o Maureen Denverley i twojej dzisiejszej wyprawie. Wszystko w porządku?

- W porządku - odparł z satysfakcją Brent. - Maureen Denverley jest u nas w domu, zamiast stanowić pokarm dla rybek w Kanale Bristolskim, jak by sobie tego pobożnie życzył nasz czcigodny przyjaciel pan inżynier Andrews.

Przeciągły gwizd, jaki rozległ się w słuchawce, był świadectwem wrażenia, jakie słowa Jamesa wywarły na Kevelu.

- Pokarm dla rybek, mówisz? Więc sprawy zaszły aż tak daleko?

- Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Przedwczoraj mówiłem ci, że mam złe przeczucia. Jak zwykle, nie zawiodły mnie one ani na jotę. Jaka szkoda, że Scotland Yard nie ma etatu dla wróżki. Nie sądzisz, że świetnie nadawałbym się do tej roli?

- Chyba nie zaprzeczysz, Jim, że niejednokrotnie proponowaliśmy ci współpracę na bardziej określonych zasadach? Niestety zawsze odmawiałeś.

Brent uśmiechnął się wykrywszy w tonie rozmówcy delikatną nutę urazy.

- Nie przejmuj się, stary, moimi uwagami. Przecież dobrze wiesz, że to żarty.

- Dobrze. Nie mówmy już o tym. Ale co z Miss Denverley? - podjął Kevel. - Twierdzisz, że Andrews chciał ją utopić?

- O, nie! On był bardziej przebiegły. Chciał, aby Maureen utopiła się sama. Nieszczęśliwy wypadek, rozumiesz? Ona nawet nie wie, co jej groziło, Stan! Dlatego zeznania samej Maureen jeszcze nie wystarczą, aby udowodnić Andrewsowi usiłowanie morderstwa. Będziemy z nim mieli lepszą

przeprawę... Ale czekaj, przecież mamy jeszcze Robbesa. Stan, czy Robbes widział, jak Andrews manipulował przy zegarze, zaraz potem, jak Maureen Denverley wybiegła z gabinetu?

- Niestety muszę cię zmartwić. Robbes niczego nie widział ani nie słyszał. Po rozmowie z tobą wrócił do obserwacji Andrews'a i Miss Denverley jedzących kolację w stołowym. Nic ciekawego tam się nie wydarzyło. Wkrótce gospodarz ze swoim gościem wrócili do gabinetu. Robbes przeniósł się pod jego okna, ale niewiele skorzystał. Zaraz po wejściu do pokoju Andrews zamknął okna i opuścił solidnie wyglądające żaluzje zewnętrzne, które stłumiły nawet wszelki dźwięk. Od tej chwili Robbes obserwował drzwi wejściowe i gdy tylko zauważył wybiegającą z nich Maureen Denverley, dał ci umówiony sygnał. Nic więcej nie mógł zrobić.

- Tak, ale to rzeczywiście niedobrze - zasepił się Brent. - Bardzo liczyłem na Robbesa. Gdyby widział, jak było z tym zegarem, mielibyśmy choć punkt zaczepienia do ataku. Andrews jest kuty na cztery nogi i niełatwo będzie dobrać mu się do skóry.

- Ale powiedzże mi wreszcie coś konkretniejszego - poprosił nadinspektor. - Jeszcze wczoraj byłeś taki tajemniczy... Chyba teraz możesz już zaspokoić moją ciekawość?

- Mogę - odparł wspaniałomyślnie James. - Niewątpliwie Andrews jest człowiekiem pomysłowym. Maureen Denverley zaprosił do Seaside Garden wyłącznie po to, aby tam spowodować jej śmierć pozorując to na nieszczęśliwy wypadek. Bardzo korzystna topografia pobliskiego terenu podsunęła Andrewsowi plan działania. Aby wszystko odbyło się po jego myśli, Maureen Denverley musiała jednak opuścić Seaside Garden dokładnie o dwudziestej pierwszej czterdzieści i pójść ścieżką nad morzem w kierunku stacji w Rotterbury. Tam czekała na nią łapka.

- Jaka pułapka, Jim? - wykrzyknął w podnieceniu Kevel.

- Nie tak prędko - powstrzymał go Brent. - Jeszcze do tego dojdziemy. Najpierw posłuchaj, jak nasz miły inżynier wysterował wyjście Maureen, bo to jest ze wszystkiego najciekawsze.

- Czuję, że to ma jakiś związek z zegarem, o który tak się dopytywałeś - rzekł domyślnie nadinspektor.

- Istotnie. Tuż przed kolacją Andrews posuwa o kwadrans naprzód wskazówki znajdującego się w gabinecie starego zegara, o którym wcześniej mówił do swojej ofiary, że chodzi wyjątkowo punktualnie. Dzięki temu dziewczyna bardziej ufa wiekowemu chronometrowi niż własnemu zegarkowi, który ma na ręku. Teraz Andrews musi się jeszcze postarać, aby Miss Denverley wyszła z domu dokładnie o dziewiątej czterdzieści i nie dziwiła się, że nie zostanie odwieziona na stację samochodem. Gospodarzowi trudno jest jednak wyprosić gościa tak po prostu, więc Mister Andrews we właściwym czasie urządza bardzo kunsztowną scenę z listem.

- Niezły aktor byłby z tego inżyniera - powiedział Kevel, gdy przyjaciel opowiedział mu wszystko o scysji zaistniałej pomiędzy Maureen a właścicielem Seaside Garden.

- Tak, to było mistrzowskie pociągnięcie! - stwierdził obiektywnie James. - Gdyby Maureen rzeczywiście umarła, nikt nie zdołałby Andrewsowi udowodnić faktycznego przebiegu wypadków... Zatem Miss Denverley opuszcza gabinet o dziewiątej czterdzieści, ale myśli, że jest już za pięć dziesiątą, bo taką godzinę wskazuje zegar na kominku. Na tej podstawie dziewczyna ocenia, że nie zdąży na stację przez gościniec, bo na to potrzeba całej godziny. A ostatni pociąg do Londynu odchodzi z Rottenbury za dwadzieścia jedenasta. Dlatego Maureen wybiera krótszą, nadmorską ścieżkę. Jest dziewiąta czterdzieści dwie lub trzy, gdy dochodzi do ścieżki. Przyплыw zaczął się dopiero trzynaście minut temu i początkowy punkt ścieżki, znacznie obniżony w stosunku do całej drogi, jest jeszcze dość wysoko nad poziomem morza, aby dziewczyna nie zauważyła pułapki. Zresztą jest jeszcze zdenerwowana niedawną awanturą i nie zwraca większej uwagi na otoczenie. Biegnie prędko w kierunku Rotterbury, chcąc tylko zdążyć na pociąg i jak najszybciej opuścić to miejsce.

- I w tym momencie spotkaliście się, prawda? - domyślił się Kevel.

- Istotnie - przyznał James. - Ponieważ wczoraj zwiedziłem

dokładnie otoczenie Seaside Garden, więc zauważyłem, jakie kryje możliwości. A ponieważ podejrzewałem, w jakim celu Andrews zaprosił Maureen, więc domyśliłem się też, jak go zechce zrealizować. Dlatego czekałem na Maureen na początku tej ścieżki i zawróciłem ją z drogi w chwili, gdy wchodziła do przygotowanej pułapki.

- No tak - wtrącił nadinspektor. - Gdyby cię tam nie było, Miss Denverley na pewno poszłaby dalej tą dróżką.

- To oczywiste. I doszłaby do miejsca, odległego od Seaside Garden o dwadzieścia minut drogi, które jest jeszcze niżej położone niż początkowy punkt ścieżki. W trzydzieści dwie, trzy minuty od rozpoczęcia przyływu jest ono zalane wodą na odcinku kilku, a może nawet kilkunastu jardów. Miss Denverley nie mogłaby pokonać tego odcinka, gdyż teren nagle obniża się chyba o dwa jardy. Również nie mogłaby go wyminąć, skoro z jednej strony było wzburzone morze, a z drugiej prawie pionowa ściana skał. Jedynym pozornie rozsądnym wyjściem byłoby zawrócić do Seaside Garden. Dziewczyna zrobiłaby tak z pewnością i po następnych dwudziestu minutach, czyli już po czterdziestu od chwili wejścia na ścieżkę, wróciłaby do jej początkowego punktu. Ale ów punkt również leży znacznie niżej niż reszta ścieżki i około dziesiątej dwadzieścia, prawie godzinę od rozpoczęcia przyływu, jest też głęboko pod wodą. I tak ofiara znalazłaby się w pułapce bez wyjścia.

- Czy fala przyływu zalewa najwyższy punkt ścieżki? - spytał Kevel.

- O to właśnie chodzi. W tych dniach maksymalna wysokość przyływu przekracza ten punkt o piętnaście stóp. Dostawszy się raz w tę pułapkę, ofiara Andrews musiałaby się utopić. Mogłaby przedtem krzyczeć, ale nikt nie usłyszałby przecież wołania w dole, tłumionego przez bardzo silny szum morza. Nawet dobre umiejętności pływackie niewiele by tu pomogły.

- Rzeczywiście Andrews okazał się przeciwnikiem z wyobraźnią - stwierdził nadinspektor. - Na szczęście dla Maureen Denverley, trafiła kosa na kamień. Tutaj miałeś pole do popisu, Jim... Ale nie zrozumiałem, po co było to

przedstawienie z zegarem. Czy Andrews nie mógł wyrzucić swojego gościa naprawdę za pięć dziesiątą?

Zapomniawszy, że to rozmowa telefoniczna, Brent pokręcił głową przecząco.

- Nie zapominaj, Stan, że Andrewsowi chodziło jeszcze o alibi. Gdyby Maureen wyszła później niż na godzinę przed odjazdem pociągu, on sam automatycznie znalazłby się w sytuacji podejrzaney. Dziewczyna nie mogłaby wtedy wracać gościńcem, a o niebezpieczeństwach grożących o tej porze nad morzem, na pewno dobrze wiedzieli wszyscy mieszkańcy Seaside Garden. Kombinacja z zegarem miała na celu uwolnienie się od tego rodzaju podejrzeń. Zobaczysz, że służba Andrews'a na pewno potwierdzi, że Maureen Denverley opuściła Seaside Garden o takiej godzinie, że mogła zdążyć na pociąg bezpieczną drogą.

- Tak. To tworzy logiczną całość - zgodził się głos w słuchawce. - Ale teraz przypomniało mi się to, co powiedziałeś na początku naszej rozmowy. Faktycznie historią z Maureen Denverley trudno będzie zaatakować Andrews'a. Dobrze, że mamy przeciw niemu jeszcze inne zarzuty, bo w przeciwnym razie zręczny adwokat rozniósłby w proch i pył tak nieudokumentowane oskarżenie. Jednak w aspekcie klubu samobójców sytuacja naszego bohatera staje się dużo trudniejsza.

- Czy chciałbyś właśnie jutro zdjąć go z piedestału?

- Oczywiście, że tak! - wykrzyknął Kevel. - Póki nie wie, co stało się naprawdę z Miss Denverley. Liczę, że mi pomożesz w tej sprawie, Jim?

- Z prawdziwą przyjemnością. Widok bransoletek na rękach Andrews'a bardzo by mi odpowiadał.

- To pięknie. Najlepiej, abyśmy tam pojechali jak najwcześniej.

Rano muszę być na chwilę w biurze, ale o ósmej trzydzieści mógłbym już po ciebie podjechać. Czy to ci odpowiada?

- Jak najbardziej. W zasadzie nie lubię wstawać przed ósmą, ale o ósmej trzydzieści mogę być gotów nie narażając na szwank swoich przyzwyczajęń. Zatem, do jutra, Stan.

- Tak. Do zobaczenia, Jim. Śnij spokojnie o sidłach, w które złapiemy jutro twojego ptaszka.

Rozdział trzynasty „ANDREWSA?! ALEZ TO NIEMOŻLIWE!”

Czarny policyjny samochód z piskiem opon zatrzymał się kilka jardów przed bramą wjazdową.

- Bardzo dobrze - powiedział nadinspektor. - Nie trzeba płoszyć naszego ptaszka. Wy, Conolly, zostaniecie w wozie, a Robbes pójdzie minutę za nami i zatrzyma się koło domu... Nie wdawajcie się tylko w żadne dyskusje ze służbą - dodał zwracając się do policjanta w cywilu, który w niczym nie przypominał oberwańca, jakiego Brent spotkał tu wczorajszego wieczoru.

- Tak jest, szefie - odparł służbiście sierżant Robbes.

Kevel i Brent wysiedli i skierowali się w stronę domu.

Było słoneczne przedpołudnie i ogród tonął w ciszy. Jednak w miarę, jak zbliżali się do starego, szarego domu, dostrzegali oznaki jakiegoś niezwykłego poruszenia.

- A co to znowu? - zaniepokoił się nadinspektor zobaczywszy na ganku umundurowaną postać miejscowego policjanta.

- Nadinspektor Kevel ze Scotland Yardu - mignął funkcjonariuszowi służbową legitymacją.

- Co się tu dzieje, konstablu?

- Melduje się posterunkowy Daniels, panie nadinspektorze. - Policjant wyprężył się w postawie zasadniczej. Dziś w nocy zamordowano właściciela Seaside Garden, niejakiego Charlesa Belvedere Andrewsa.

- Andrewsa?! Ależ to niemożliwe! - wykrzyknął Brent.

- Niestety, to pewne, proszę pana - odparł policjant. - Inspektor Craft z okręgu Cardiff prowadzi wstępne śledztwo. Kazał mi tu stać i nikogo nie wpuszczać.

- Mam nadzieję, że nas ten zakaz nie dotyczy - mruknął Kevel. - A gdzie jest inspektor Craft?

- W gabinecie zmarłego..., tam, gdzie znaleziono zwłoki.

- Chodźmy z nim porozmawiać, Jim.

Policjant skwapliwie odsunął się przepuszczając obu

mężczyzn. Z jego pełnej respektu postawy można było się domyślać, że nieczęsto miał okazję oglądać przedstawicieli stołecznej policji.

Przyjaciele weszli do przestronnego, urządzonego niemal jak salon, hallu. Jedna z kilku par drzwi była otwarta na oścież.

- To chyba właśnie tam - zauważył Brent.

Na dźwięk jego głosu z pokoju wyszedł rosły, pokaźnej tuszy mężczyzna o czerwonej, nalanej twarzy, do której dziwnie nie pasowały łagodne, błękitne oczy. Ubrany był w mundur oficera policji i przybyli bez trudu domyślili się, że jest on okręgowym inspektorem.

- Och, ależ to sam pan nadinspektor Kevel!

Craft zdziwił się poznając szefa londyńskiej policji kryminalnej.

- A więc Scotland Yard już zdążył się dowiedzieć o tym morderstwie!

- Niezupełnie - sprostował Stanley Kevel. - Przyjechaliśmy do pana Andrews w całkiem innej sprawie. O morderstwie usłyszeliśmy właśnie przed chwilą.

- Czy Scotland Yard zamierza przejąć od nas śledztwo? - zaniepokoił się Walijczyk.

- To jeszcze nie jest postanowione, ale z pewnością będziemy co najmniej współpracować w tej sprawie. Inżynier Andrews był bardzo znaną w Londynie osobistością i sam pan rozumie, że to od nas będzie się wymagać jak najszybszych informacji... Ale jestem przekonany, że współpraca pana, inspektorze, będzie mile widziana. Zapewne zdążył pan już ustalić podstawowe fakty... - Kevel zachęcająco popatrzył na barczystego mężczyznę.

- Wiem zaledwie kilka rzeczy. Zwłoki odkryła pokojówka, kiedy o siódmej trzydzieści rano zauważyła smugę światła elektrycznego wybiegającą spod drzwi. Weszła i zastała swego pracodawcę leżącego na dywanie w kałuży już zakrzepłej krwi. Morderstwa dokonano ostrym nożem, używanym przez Andrews do rozcinania papieru. Przypuszczam, że musiało się to stać dobre kilka, a może i kilkanaście godzin temu, bo ciało jest już zupełnie zimne. Policję wezwał Anthony Neil, pełniący

tu funkcje stróża i odźwiernego.

- Czy przesłuchiwał pan służbę? - spytał James.

- Tylko z grubsza. Nie było wiele czasu. Sam jestem tu zaledwie od pół godziny, Mister Brent.

- Więc i mnie pan zna, inspektorze? - James uśmiechnął się lekko.

- W tym chyba nie ma nic dziwnego - odparł Craft. - Jest pan tak znaną w kraju postacią... Przypuszczam, że będzie pan współpracować z Yardem w tej sprawie?

- Zapewne, zapewne tak... Chociaż, zupełnie nie wiem dlaczego... - wzruszył lekko ramionami i popatrzył na Kevela zatroskanym wzrokiem. - Aby się czegokolwiek dowiedzieć, trzeba przede wszystkim obejrzeć miejsce akcji.

Chodźmy!

Nadinspektor zdecydowanym krokiem wszedł do gabinetu, a za nim dwaj pozostali mężczyźni.

Znaleźli się w wielkim, widnym pokoju, urządzonej ze smakiem i głęboką znajomością epoki Renesansu. W rogu, tuż przy oknie, stał szesnastowieczny stół z włoskiego orzecha, pełniący rolę biurka. Zabytkowy fotel, wykrecony w stronę wnętrza, opierał się o ścianę okienną, jakby odsunięty przez kogoś zbyt gwałtownym ruchem. Nie opodał, na dywanie pokrywającym większą część podłogi, leżały zwłoki mężczyzny, którego James poznał podczas wizyty u Maureen Denverley. Szkliste, nieruchome spojrzenie nie mówiło już nic. Pośrodku wielkiej, brunatnoczerwonej plamy na piersi sterczała ozdobna rękojeść noża. Ostrze sztyletu, wbitego ukosem od lewej, w całości utkwilo w ranie. Na dywanie, wokół zmarłego, pełno było zakrzepniętej krwi.

- Paskudny widok - skrzywił się Kevel. - Ostrze musiało przebić tętnicę... Inspektorze, czy wezwał pań lekarza?

- Tak. Zarówno jego, jak i ekipę techniczną. Powinni tu być lada chwila.

- Mam do pana prośbę, Craft - powiedział Kevel. - Gdy tylko będą wyniki badań, proszę natychmiast przesłać mi cały komplet do Londynu.

- Ma się rozumieć, panie nadinspektorze - odparł Craft. -

Nasi chłopcy są sprawni. Jutro rano znajdzie pan, na swoim biurku wszystkie informacje... Mam nadzieję, że do tego czasu lekarz też upora się z sekcją.

Brent rozejrzał się po pokoju.

Idealna czystość i ład kontrastowały z makabrycznym widokiem na dywanie. Podłoga i sprzęty lśniły jak lustro. Na stylowym, angielskim kominku dostojnie i bez pośpiechu tykał stary zegar. James odruchowo spojrzął na przegub ręki. Oba chronometry wskazywały jedenastą czterdzieści siedem. Na tej samej ścianie co kominek, trochę bliżej okna, stała nieduża biblioteczka.

Profesjonalnym zwyczajem James podszedł do niej i zaczął się przyglądać rzędowi równo ustawionych książek. Na najwyższej półce jeden nieco wystający grzbiet psuł symetrię całego układu. Brent spojrzął na tytuł na okładce i cicho gwizdnął. Przez wyjętą z kieszeni chusteczkę ostrożnie ujął znany mu już album fotografiki alpejskiej. Otworzył książkę. Jednak tym razem nie było poprzedzającej stronę tytułową kartki, na której poprzednio znajdowała się dedykacja autora. Ktoś wydarł ją z albumu przy samym grzbiecie. Brakowało też wyciętego z gazety artykułu.

- No, no, a to ciekawe - mruknął do siebie James. - Stan, mamy tu małą zagadkę - zwrócił się do przyjaciela. - Ktoś wydarł kartę z dedykacją z tego albumu. Pytanie pierwsze brzmi: „Kto?“, a drugie: „W jakim celu?“

- Kartę z dedykacją? - Nadinspektor zaintrygowany podszedł do Brenta. - Widzę, że wydarto pierwszą stronę, bo są ślady. Ale skąd wiesz, że była tu jakakolwiek dedykacja?

James pokrótce przedstawił przebieg niedawnego poranka w Timbergate, gdy pierwszy raz trzymał oglądaną przez nich książkę.

- Nic mi o tym nie mówiłeś - zauważył Kevel. - Ale twoje opowiadanie wszystko tłumaczy. Kartkę z dedykacją wyrwał oczywiście Andrews. Ze względów, które niedawno sam mi wyłuszczyłeś, nie chciał demonstrować swej znajomości z Whitehornem. Dlatego wydostawszy książkę od Miss Denverley zniszczył zaraz pierwszą stronę, no i ten artykuł o

wypadku alpinisty.

- Hm, to nie jest wykluczone... Chociaż... - Brent urwał i machnął ręką. - Myślę, że zważywszy zaistniałe okoliczności, warto z tej książki zrobić prezent tutejszemu daktyloskopowi.

- Nie wiem po co, przecież sprawa jest oczywista. Ale jeśli sobie życzysz... - Nadinspektor wzruszył ramionami i popatrzył na Jamesa wzrokiem wyraźnie mówiącym, że tylko przez grzeczność nie sprzeciwi się jego propozycji.

Odszedł kilka kroków od biblioteczki i nagle z niesmakiem popatrzył na czubek jednego ze swych czarnych, zawsze nieskazitelnie lśniących półbutów.

- To chyba tynk? - Podsunął Brentowi nosek prawego buta, na którym osiadła odrobina białego proszku. - Ale skąd tutaj, w takiej czystości?...

Powiódł wzrokiem po podłodze.

Ze dwa jardy od biblioteki, prawie w samym rogu pokoju, leżał na posadzce nieduży, lekko pokruszony kawałek tynku, otoczony obwódką białego pyłu. Z lewej strony widać na niej było wyraźny ślad okrągłego noska.

- No tak. To stąd - powiedział Kevel.

Uważnie przyjrzał się ścianie nad okruczem. W pewnym miejscu, na wysokości około dwóch stóp poniżej linii sufitu, brakowało kawałka tynku. W środku był nieduży, w głąb prowadzący otwór.

- Ależ to ślad po kuli! - wykrzyknął Brent. - Trzeba by wyjąć ostrożnie tę zabawkę.

- Co trzeba wyjąć? - zapytał inspektor Craft, który w asyście kilku ludzi wszedł właśnie do pokoju. Jeden z nich obwieszony był różnego rodzaju aparatami fotograficznymi i pomocniczymi przyrządami. Dwaj następni okazali się być specjalistami od daktyloskopii. Pochód zamykał lekarz policyjny, niosący pękata czarną walizeczkę.

- Zdaje się, że znaleźliśmy kulę w ścianie - poinformował kolegę nadinspektor.

- W ścianie? Dobrze, że nie w brzuchu - stwierdził sentencjonalnie doktor. - Chociaż dla tego tu nieszczęśnika to chyba wszystko jedno - dodał wskazując na zwłoki rozciągnięte

na dywanie. - Czy można przystąpić do badania, panie inspektorze? - spytał Craфта.

- Jeszcze chwilę. Przede wszystkim zdjęcia. Niech pan zaczyna, Płowman.

Zapaliła się lampa błyskowa. Raz, drugi, trzeci... Charles Belverlere Andrews po raz ostatni stał się celem obiektywów. Potem biurko, rozłożone na nim przedmioty i papiery... dywan... ściana z odpryśniętym tynkiem... Płowman pracował szybko. Znał się na swojej robocie.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - Ja już swoje zrobiłem. Zdjęcia będą za trzy godziny.

Kevel pokiwał głową z zadowoleniem.

- Kolej na panów - zwrócił się do daktyloskopów. - No, i na pana, doktorze... Kiedy sekcja?

- Chyba zdążymy dziś po południu - powiedział lekarz. - Przyczyna śmierci na pierwszy rzut oka wydaje się oczywista. Jeśli tylko nie będzie żadnych niespodzianek, wyniki powinniśmy mieć najdalej jutro rano.

- Bardzo proszę o przesłanie mi ich do Yardu. To dla nas bardzo ważna sprawa. - Kevel zaakcentował ostatnie słowa.

- Ja się tym zajmę, panie nadinspektorze - obiecał skwapliwie Craфт. Otrzyma pan wszystkie materiały bez żadnego opóźnienia.

Lekarz pochylił się nad zwłokami. Nadinspektor odwrócił się od niego i podszedł do biurka.

Na niedużej, srebrnej tacy stały dwie filiżanki po czarnej kawie i dwa kryształowe kieliszki, w których były jeszcze resztki alkoholu. Obok leżała zapisana kartka listowego papieru. W rogu widniała data: Timbergate, 13 stycznia, 1954. Tekst listu zaczynał się od słów:

Mój drogi Charles... A zatem Maureen Denverley nie kłamała. A raczej, nie kłamała w tej sprawie - poprawił się w myśli Kevel.

- Ten list, filiżanki, kieliszki i tacę polecam szczególnej uwadze panów - zwrócił się do mężczyzny w średnim wieku, obsypującego właśnie kłamkę okienną tłustym, czarnym proszkiem. - Aha, jeszcze tę książkę - dodał przypomniawszy

sobie o prośbie przyjaciela.

Tymczasem doktor Regan zakończył wstępne badanie.

- No i co? - zainteresował się Craft.

Lekarz chrząknął i powiódł wzrokiem po obecnych.

- Rozumieją panowie, że powiem na razie niewiele. Prawdę wyjawি dopiero sekcja... Tak, przedtem nigdy nie wiadomo, czy... Ale według mojej wstępnej hipotezy, śmierć denata nastąpiła na skutek zadania mu ciosu ostrym narzędziem. Prawdopodobnie tym, które nadal tkwi w ranie. Osoba, która zadała cios, stała naprzeciw swej ofiary, właściwie trochę od niej na lewo. Widać to po ułożeniu rękojeści sztyletu.

- Czy, zdaniem pana, mogła to zrobić kobieta? - zapytał Kevel.

- Hm, cios musiał być dość silny. Ale jeśli sztylet był ostry... Tak, myślę, że mogła to zrobić kobieta, o ile tylko dość młoda i wysportowana.

- Sądząc z pańskich słów, doktorze, wyklucza pan samobójstwo - zauważył Craft. - Dlaczego?

- Ależ, proszę tylko spojrzeć na układ rękojeści - Regan prawie się uśmiechnął. - Pod takim kątem nikt nie mógłby sobie wbić sztyletu, nawet gdyby był leworęczny... Tak, samobójstwo uważam za wykluczone.

James z niepokojem patrzył na dziwny wyraz, jaki pojawiał się na twarzy przyjaciela w miarę słów lekarza.

- Kiedy, orientacyjnie, nastąpił zgon? - zapytał odpędzając niemiłe myśli.

- Och, to tylko orientacyjnie. Dokładniej poinformuję panów po zbadaniu treści żołądka - zastrzegł się lekarz. - Sądząc z ciepłoty zwłok i plam opadowych, śmierć nastąpiła pomiędzy godziną ósmą wieczorem a północą.

- Kiedy? - wykrzyknął Kevel. - Czy jest pan tego pewien, doktorze?

- Już powiedziałem, że pewien będę dopiero po przeprowadzeniu sekcji.

- Przepraszam pana, ale to jest szczególnie ważne dla śledztwa - nieco zreflektował się Kevel. - Dlatego chciałbym znać pana pogląd na tę sprawę możliwie szybko. Czy mógłbym

zatelefonować do pana wieczorem?

- Proszę bardzo. Mój numer: Cardiff 13-1-26. Nie wiem, czy o dziesiątej wieczorem będę w stanie dostarczyć panu pełnych informacji, ale dokładniejszy czas zgonu powinienem już znać z pewnością.

- To świetnie. - Nadinspektor zapisał numer i wsunął notes do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Panowie skończą z tymi odciskami, pan doktor zabierze ciało, a my przejdziemy może do jakiegoś innego pokoju i przesłuchamy domowników.

Craft i Brent skinęli potakująco głowami i trójka mężczyzn opuściła gabinet.

- Chyba najpierw poprosimy Mary Barnes, tę pokojówkę, która znalazła zwłoki - zaproponował Kevel, gdy ulokowali się już w pobliskiej jadalni.

- Pójdę po nią - powiedział Craft i po chwili wrócił z młodą, dwudziestoletnią może, drobną szatynką, ubraną w przepisowy strój pokojówki.

- Jak się panienka nazywa? - zapytał nadinspektor, gdy dziewczyna usiadła naprzeciw nich, na brzeżku krzesła.

- Mary Barnes, proszę pana - powiedziała nieśmiałym, trochę drżącym głosem.

- Niechże się tak panienka nie boi - odezwał się Craft. - Policja nie robi krzywdy niewinnym.

- Ja wiem, proszę pana. Ja tylko tak... - spojrzała na nich bezradnie. - Bo nasz pan jeszcze wczoraj był jak zawsze, a tu rano widzę światło z gabinetu, wchodzę i ... O Boże! - Wzdrygnęła się i zakryła twarz rękami.

- No, no, niechże się panienka uspokoi - powiedział pojednawczo Kevel. - Dawno panienka tu pracuje?

- Rok i sześć miesięcy, proszę pana.

- A to była dobra praca?

- Bardzo dobra, proszę pana. - Mary Barnes kiwnęła głową z przekonaniem. - Do mnie należało tylko sprzątanie, no i pomoc przy zmywaniu. Czasem, jak nie było innych pokojówek, a pan Andrews przyjechał niespodziewanie, jak wczoraj, to podawałam do stołu. Ale zawsze za to dodatkowo dostawałam,

a też i wtedy, gdy było więcej gości.

- A kiedy pan Andrews bywał tu zazwyczaj? - spytał milcząco dotąd Brent.

- Na wiosnę i na jesieni spędzał tu prawie każdy weekend. W tym czasie zdarzyło się, że i kilka dni posiedział bez przerwy. Miewał dość często różnych gości.

- A zimą, latem?

- Prawie nigdy. Jak tu pracuję, zdarzyło się to tylko dwa razy. Kiedyś zimą, zaraz potem, jak się tu zgodziłam do pracy, no i wczoraj.

- A jak to było wczoraj? Czy pan Andrews przyjechał niespodziewanie?

- Nie, zatelefonował przedwczoraj rano. Było dużo pracy, żeby zdążyć wszystko przygotować tak, jak pan lubił.

- Czy pan Andrews mówił, z kim przyjedzie? - indagował dalej James.

- Nie. Powiedział tylko, że z jedną młodą damą... I rzeczywiście przywiózł ją.

- No, to może nam panienska opowie, jak spędziła wczorajszy dzień - włączył się znów Kevel.

- Wstałam raniutko, bo, jak mówiłam, było dużo roboty. Najpierw posprzątałam dokładnie wszystkie pokoje, a potem, pewnie już przed jedenastą, poszłam pomóc trochę pani Buckle, to jest naszej kucharce. Na samym końcu nakryłam w stołowym do lunchu. Właśnie kończyłam, kiedy nadjechał pan Andrews.

- O której to było?

- Niedługo przed południem. O dwunastej podałam im już lunch.

- Czy pan Andrews nie wydawał się panience zaniepokojony? Jakiś może inny niż zawsze? - spytał Craft.

- Nie, nie - pokręciła głową dziewczyna. - Był dokładnie taki sam, jak za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżał. „Czy wszystko gotowe, Mary?” - zapytał, kiedy wyszłam im na spotkanie. Ja powiedziałam, że tak, i zaraz pan Andrews kazał podać lunch.

- I co było dalej? - spytał nadinspektor.

- Po lunchu zebrałam brudne naczynia, posprzątałam w

stołowym, a potem poszłam do kuchni pozmywać. Tymczasem pan Andrews oprowadzał tę młodą panią po domu i ogrodzie. Przy zmywaniu pani Buckle przypomniała mi, że nie ma świec, więc zaraz potem poszłam po nie do Rotterbury. Pan Andrews lubił jeść kolację przy świecach, więc bardzo by się gniewał, gdybym o tym zapomniała.

- O której panienka wyszła do miasteczka?

- Pewnie o drugiej, a może trochę później. Pan Pritchard, u którego zawsze kupuję, właśnie wrócił do sklepu po lunchu.

- Nie spotkała panienka nikogo po drodze?

- A tak, spotkałam. Zaraz koło Seaside Garden. On tu już był rano... Taki wesoły chłopak. Mówił, że jest malarzem, i pytał, czy się u nas nie znajdzie jakaś robota, coś do odświeżenia, odmalowania, rozumieją panowie... Ale ten malarz dowcipy opowiadał! - Na wspomnienie tego faktu w oczach Mary Barnes zabłysły iskiereki wesołości.

Przez chwilę wydawała się zupełnie niepodobna do nieśmiałej, wystraszonej pokojówki, jaką poznali przed kilkunastoma minutami. Jednak dziewczyna szybko powściągnęła tę niewczesną wesołość i opisała przesłuchującym sylwetkę domniemanego malarza, dokładnie odpowiadającą rysopisowi sierżanta Robbesa.

- Rozumiem - skinął głową Kevel, nie podejmując dyskusji na temat malarza.

- A czy do Seaside Garden wróciła panienka zaraz po załatwieniu sprawunku w mydlarni?

Dziewczyna zawahała się chwilę, a ciemny rumieniec wystąpił na jej czoło i policzki.

- Może panienka poszła na randkę? Ludzka rzecz, nie ma się co wstydzic - zachęcił ją do mówienia Kevel.

- Nie, niezupełnie... Miałam przecież zaraz wracać do domu. - Mary Barnes podniosła oczy na rozmówcę. - To było tak. Wychodziłam właśnie ze sklepu pana Pritcharda, kiedy patrzę, a tu stoi przed wystawą Tom. To jest, Tom Page, z którym ostatnio się spotykam. On jest mechanikiem w warsztacie samochodowym pana Gibsona... Więc Tom mówi do mnie, żebym z nim poszła na spacer, a ja na to, że teraz nie mogę i

żebyśmy się spotkali w sobotę, jak będę miała wychodne. Ale Tom mówi, że tylko na chwilę, że musi się mnie koniecznie w jednej sprawie poradzić, więc poszłam z nim kawałek. No, może byliśmy razem pół godziny, może troszkę więcej.

- A co chciał od panienki ten Tom? - zainteresował się nadinspektor.

- Nic takiego ważnego - machnęła ręką dziewczyna - Właśnie dostał wypłatę i chciał sobie kupić nową kurtkę. Prosił, żebym z nim poszła do sklepu obejrzeć, bo nie wiedział, czy mi się spodoba. W sprawie ubrania on się bardzo liczy z moim zdaniem... No więc poszliśmy tam i powiedziałam, że kurtka jest dobra. Jak już wyszliśmy ze sklepu, Tom kupił w kiosku lody, które zjedliśmy po drodze. Potem prędko wróciłam do Seaside Garden, ale i tak pani Buckle podejrzliwie na mnie patrzyła.

- Którędy panienka wracała do domu?

- Też ścieżką nad morzem. Jak przyszłam, było dziesięć, może piętnaście po czwartej.

- Nikogo panienka nie spotkała po drodze? Nic szczególnego nie zwróciło pani uwagi? - wypytywał ją Kevel.

- Nie, nic dziwnego nie zauważyłam. Wszystko było jak zawsze. Na dróżce, tuż przy Rotterbury, spotkałam tylko starego Tippsa. Ale on tu często łowi ryby. Jego córka, Lucy, czasem przychodzi do nas pomóc w kuchni, jak są goście... A tego malarza to już nie było, jak wracałam.

- Co panienka robiła po powrocie do domu?

- Nakryłam do kolacji, ustawiłam świece w lichtarzach, zmieniłam kwiaty w wazonach, a potem poszłam pomóc pani Buckle w kuchni. Tam byłam już do kolacji.

- A gdzie byli pan Andrews i Miss Denverley, jak panienka wróciła z miasteczka?

- Pan Andrews poszedł do swojej sypialni i zapowiedział pani Buckle, żeby mu nie przeszkadzać. Zawsze po czwartej kładł się na godzinę albo i dłużej. Potem jeszcze pracował w gabinecie i wyszedł stamtąd dopiero na kolację.

- No, a panna Denverley?

- Czytała coś w pokoju bibliotecznym. Widziałam ją tam koło

piątej, jak poszłam zmienić kwiaty w wazonie.

- O której była kolacja?

- Punktualnie kwadrans po siódmej. Tak jak pan Andrews kazał.

- Czy pracodawca wydawał panience jeszcze jakieś polecenia?

- Tak - Mary wyraźnie ożywiła się. - Kazał mi przygotować ekspres z kawą i przynieść do stołowego razem z dwoma filiżankami. Powiedział że zaparzy kawę u siebie w gabinecie, już po kolacji.

- Czy panienka uważała tę prośbę za dziwną? - zapytał Kevel przyglądając się uważnie twarzy dziewczyny.

- Tak. Trochę mnie to zdziwiło - potwierdziła pokojówka. - Zawsze to ja parzyłam kawę w kuchni i przynosiłam ją gotową w filiżankach do gabinetu... Ale ten ekspres jest na prąd, więc pan Andrews bez kłopotu mógł zaparzyć u siebie, w gabinecie... Jak już przyniosłam na tacy ekspres i filiżanki, pan Andrews powiedział, że na razie nie będę mu potrzebna i że mogę iść do siebie.

- Na biurku w gabinecie znaleźliśmy też kieliszki. Czy to panienka je przyniosła?

- Nie. Pan Andrews trzymał kieliszki i alkohol u siebie w barku... W biblioteczce, pod półkami; jest taka szafka - dodała tonem wyjaśnienia.

- Czy panna Denverley miała tu nocować? - Nadinspektor nagle zmienił temat.

- Nie, pan Andrews mówił, że odwiezie ją na ten wieczorny pociąg do Londynu. Odchodzi z Rotterbury za dwadzieścia jedenasta.

- I co? Odwiózł ją?

- Nie wiem. Nie słyszałam, jak wychodzili... Ale chyba nie, bo samochód był cały czas w garażu. Pan Neil nam to dzisiaj powiedział.

- A sam pan Andrews miał jeszcze długo zostać w Seaside Garden?

- Mówił, że wyjedzie dziś po lunchu.

- Aha. Zatem posprzątawszy po wczorajszej kolacji, poszła panienka do siebie, to znaczy do drugiego skrzydła budynku?

Dziewczyna skinęła głową.

- A co tam panienka robiła?

- Zanim wszystko po kolacji posprzątałam i sama zjadłam, zrobiło się już w pół do dziesiątej. Chciało mi się spać, bo rano wstałam bardzo wcześnie. Ale myślałam, że będę jeszcze potrzebna panu Andrewsowi, więc zaczęłam robić na drutach, żeby nie zasnąć. Ale jak do dziesiątej dzwонka nie było, to już umyłam się i poszłam spać.

- Która to była godzina?

- Piętnaście po dziesiątej.

- A czy panienka ma tu osobny pokój?

- Nie, mieszkam razem z panią Buckle.

- Czy w nocy nic was nie obudziło?

- Mnie nie. Spałam twardo aż do rana.

- O której panienka dziś wstała? Proszę nam opowiedzieć wszystko, po kolei, aż do swojego odkrycia w gabinecie.

- No więc, wstałam o szóstej trzydzięści. Prędko ubrałam się, zjadłam śniadanie z panią Buckle i obie zabrałyśmy się do roboty. Ona szykowała śniadanie dla pana Andrews, a ja zaczęłam sprzątać pokoje na piętrze. W pewnej chwili zauważyłam, że nie przyniosłam odkurzacza. Zeszłam więc na dół tymi schodami, które wychodzą do hallu koło gabinetu. Wtedy zauważyłam na podłodze odbłask światła spod tamtych drzwi. Pomyślałam, że widocznie pan Andrews zapomniał je wczoraj zgasić. Nacisnęłam kławkę i stanęłam na progu... - Twarz Mary Barnes pobladła.

Po kilkunastu sekundach dziewczyna opanowała się. Głęboko zaczerpnęła powietrza i podjęła swą opowieść:

- Zobaczyłam go od razu. Leżał na dywanie koło biurka, a wokół niego było pełno krwi... W piersi miał ten sztylet, który zawsze leżał na biurku... Mój Boże, przecież sama codziennie go wycierałam... Od razu wiedziałam, że nie żyje, bo nie poruszał się i miał szeroko otwarte oczy... Zdaje się, że okropnie wtedy krzyknęłam i wybiegłam z pokoju.

- Czy zamknęła panienka za sobą drzwi? - spytał szybko Brent.

- Drzwi? - zdziwiła się Mary Barnes. - Nie, chyba nie... Już

sobie przypominam, na pewno nie zamknęłam. Okropnie się przestraszyłam i zaraz stamtąd uciekłam.

- No i co było dalej?

- Pani Buckle usłyszała mnie widocznie, bo spotkałam ją w hallu. Nadbiegł też pan Neil... Pokazałam im pana Andrews'a i wtedy pan Neil zaraz zadzwonił na policję. Pewnie kwadrans później przyjechał z miasteczka pan Daniels, nasz posterunkowy, no, a potem, po kolei, panowie.

- Czy panienka ruszała coś w pokoju po odkryciu zwłok?

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

- W takim razie ja nie mam więcej pytań. A panowie? - Kevel odwrócił się do swych towarzyszy.

Inspektor Craft zaprzeczył, lecz Brent lekko skinął głową.

- Jeszcze jedno małe pytanko, panno Barnes - powiedział patrząc przyjaźnie na pokojówkę. - Jak nam panienka powiedziała, wczoraj rano, przed przyjazdem pana Andrews'a, sprzątnęła panienka wszystkie pokoje. Czy gabinet również?

- Ma się rozumieć, proszę pana - Mary Barnes była prawie ubawiona. - Przede wszystkim w gabinecie musiało być czysto. Pan Andrews bardzo lubił porządek.

- Tak też myślałem - pokiwał głową Brent. - Wobec tego proszę nam powiedzieć, jak panienka tam sprzątała. Tylko dokładnie.

- To bardzo proste - ucieszyła się pokojówka. - Zawsze sprzątam tak samo... Najpierw zamiotłam podłogę i zebrałam śmieci. Potem odkurzaczem oczyściłam dywan. Następnie wytarłam z kurzu wszystkie meble, lampy, ramy okienne, parapety i drzwi. Wyrównałam wszystko na biurku, kominku i półkach z książkami, żeby było porządnie, tak jak pan lubił. Później suknamy wytarłam podłogę do połysku. Na samym końcu, ściereczką umoczoną w specjalnym płynie, wyczyściłam do blasku wszystkie zamki i klamki przy drzwiach i oknach.

- A o której godzinie to było?

- Zaraz po dziesiątej. Sprzątałam gabinet na samym końcu, żeby się nic nie zdążyło zakurzyć do przyjazdu pana Andrews'a.

- A potem, w ciągu dnia, nic panienka nie poprawiała w gabinecie? Nie wycierała?

- Nie. A po co? Przecież łam było czysto.

- I dzisiaj też nie?

- Oczywiście, że nie! Dopóki on tam leży...

- Rozumiem. Bardzo ładnie nam panienka wszystko opowiedziała. Teraz i ja nie mam żadnych pytań.

- Wobec tego jest panienka wolna - powiedział Kevel. - Teraz proszę do nas poprosić panią Buckle.

Kiedy Rosalia Buckle weszła do pokoju ostrym, trochę żołnierskim krokiem, James od razu zrozumiał, dlaczego mała Mary Barnes czuła przed nią tak trwożliwy respekt.

Pani Buckle była kobietą czterdziestokilkuletnią. - „Jej koścista, żyłasta i kanciasta postać bardziej pasowałaby do plutonu piechoty niż do kuchni w zamożnym domu - pomyślał Brent przyglądając się nowemu świadkowi. - Niezłą szkołę musi tu dawać tej małej... Ciekawe, co nowego powie. Takie jędzowate stare panny z reguły wszystko zauważają.”

Jednakże zeznania kucharki nie przyniosły żadnych rewelacji. W zasadzie potwierdziły tylko informacje, których dostarczyła Mary Barnes. Z wyjątkiem domniemanego malarza, pani Buckle nikogo nie widziała. Nie słyszała żadnych podejrzanych odgłosów. Położyła się spać o tej samej porze co pokojówka, zaś wstała niewiele od niej wcześniej... Oczywiście, miała swoją teorię na temat popełnionego morderstwa. Niestety, zupełnie nie nadawała się ona na hipotezę roboczą... Pani Buckle była zdania, że mordercą Andrews'a był ów malarz, który kręcił się koło domu i gdyby nie niepotrzebne informacje, jakich spontanicznie udzieliła mu Mary Barnes, być może nie doszłoby do nieszczęścia.

- Coś okropnego, proszę panów, jakie głupie są teraz dziewczyny - mówiła szybkim, oschłym głosem. - Byle kto wyciągnie z nich wszystko, co tylko zechce. Ta idiotka, Mary, nie miała nic lepszego do roboty, jak wypaplać, że pan Andrews właśnie przyjeżdża... A przecież wszyscy wiedzą, jaki to bogaty człowiek... Ten... malarz - zaakcentowała ostatni wyraz na znak absolutnej niewiary w domniemany fach sierżanta Robbesa - usłyszał to i zwyczajnie chciał naszego pana okraść. Napadł na niego w nocy, no i wszystko się tak tragicznie skończyło...

Zawsze mówię, że najwięcej złego dzieje się przez głupotę dziewczyn. Jak ja byłam młoda, to nie dawałam się nabierać na takie kawały. - Pani Buckle mimo woli przybrała buńczuczną postawę i James ze współczuciem pomyślał o tych młodzieńcach sprzed lat, którzy przez lekkomyślność zaczęli Rosalię Buckle.

Jako ostatni zeznawał sześćdziesięcioletni Anthony Neil, będący odźwiernym, ogrodnikiem i stróżem w Seaside Garden.

- Jak pan tu długo pracuje, panie Neil? - zapytał go nadinspektor.

- Dwadzieścia trzy lata. Przyszedłem tu w czterdziestym piątym, zaraz jak skończyła się wojna.

- To pan Andrews tak dawno miał tę posiadłość? - zdziwił się Kevel.

- Nie, nie - uśmiechnął się Neil. - Pan Andrews kupił ją dopiero w pięćdziesiątym dziewiątym. Poprzedni właściciele, państwo Trenton, wyjeżdżali właśnie do Kanady i sprzedali mu Seaside Garden. Ja tu zostałem, bo przyzwyczailem się do tego miejsca, a zresztą pan Andrews nie miał innego kandydata na moją posadę.

- A jak długo pracują tu kucharka i pokojówka? - pytał dalej nadinspektor.

- Pani Buckle od pięciu lat, a ta młoda, Mary, ledwo półtora roku.

- Czy pan Andrews trzymał tu w domu broń? - zapytał nagle Brent.

- A tak. Miał Colta, kaliber osiem. - Stary stróż ze zdziwieniem popatrzył na pytającego. Musiał wiedzieć, że jego pan nie zginął od kuli.

Znów nastąpiły stereotypowe pytania o wczorajszy dzień i dzisiejszy ranek. Anthony Neil również nie spotkał nikogo podejrzanego ani nie natrafił na żaden niespotykany szczegół.

Oczywiście z wyjątkiem nieszczęsnego malarza, który i jego zaintrygował.

- Czy słyszał pan o tym, że pan Andrews miał odwiedzić swego gościa na wieczorny pociąg do Londynu? - zadał Kevel kolejne pytanie.

- Tak, słyszałem.

- A czy pan Andrews zrobił to? - padło szybko następne.

- Nie, nawet nie wyprowadził z garażu samochodu.

- No i to pana nie zdziwiło? - rzucił Brent.

- Nie, proszę pana - odparł spokojnie stary. - Często już tak bywało, że jakiś gość najpierw miał wyjeżdżać, a potem namyślił się zostać na noc. Myślałem, że i tym razem się tak stało.

- A pan gdzie nocował?

- Jak zwykle, w mojej budce. To taki drewniany domek niedaleko bramy wjazdowej. W lecie zawsze tam śpię. Wtedy jestem spokojny, że nikt się w nocy nie wśliznie. Mam bardzo czujny sen... A furtkę prowadzącą nad morze zawsze zamykam o jedenastej. Zresztą jak jest przyływ, jak wczoraj, to i tak nikt tamtędy nie wejdzie.

- A wczoraj też pan zamknął tę furtkę?

- Tak. O jedenastej. Potem obszedłem cały ogród, ale wszystko było w porządku. W domu było cicho. Kobiety pewnie już spały, tylko w gabinecie paliło się światło. Ale pan Andrews często długo pracował... Potem poszedłem do mojej budki i wkrótce położyłem się spać.

- A rano?

- Rano też nic podejrzanego nie zauważyłem. Furtkę od strony morza otworzyłem o szóstej. Jestem pewien, że nikt nie majstrował przy zamku. Poznałbym, gdyby tak było.

- No, a co się tu mogło stać? Jak pan myśli, panie Neil?

- Nie wiem, zupełnie nie wiem, proszę pana - stróż wyglądał wręcz na załamanego. - A przecież powinienem chociaż wiedzieć... Przecież pan Andrews płacił mi za to, żebym strzegł jego domu. A jednak nie ustrzegłem...

Brentowi zrobiło się żal siedzącego naprzeciw nich człowieka. Widać było, że Neil był przywiązany do swego pracodawcy, a jego śmierć wyraźnie traktował jako wynik niedopełnienia własnych w stosunku do zmarłego zobowiązań.

James otworzył usta, żeby powiedzieć coś pocieszającego, ale w tym momencie drzwi jadalni otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wtargnęła kucharka. Za rękaw ciągnęła mężczyznę w

szarym garniturze. Rozpoznawszy w młodym człowieku sierżanta Robbesa, Brent zastygł w zdumieniu, z otwartymi ustami.

Sierżant był czerwony jak piwonia. Mówił coś do kobiety, która najwyraźniej nie zamierzała go nawet słuchać.

- Przed policją się będziesz tłumaczył, chłystku! - wykrzyknęła i zatrzymała się przed nadinspektorem, który był równie zaskoczony, jak pozostali mężczyźni.

- Co to ma znaczyć? - powiedział Kevel patrząc surowo na swego podwładnego.

Jednakże zanim ten zdążył się odezwać, Rosalia Buckle ująwszy się pod boki rozpoczęła tyradę.

- Jak ja bym była policjantem Jej Królewskiej Mości, to przede wszystkim rozejrzałabym się po okolicy, zamiast, za przeproszeniem, marnować czas na pogaduszki ze służbą - powiedziała na wstępie mierząc obecnych pogardliwym spojrzeniem.

Brent zerknął z ukosa na przyjaciela i zauważył, że twarz i kark nadinspektora wyraźnie poczerwieniały.

Tymczasem wojownicza kobieta mówi dalej:

- Właśnie wysłałam przed chwilą do ogrodu po kapustę, bo morderstwo morderstwem, a lunch trzeba ugotować. Wychodzę więc i kogo widzę?... - Zrobiła dramatyczną pauzę, po czym oskarżycielskim ruchem skierowała wskazujący palec w stronę skonfudowanego sierżanta: - Widzę tego tu młodzieńca, który najwyraźniej w świecie myszkuje po ogrodzie. To jest właśnie ten... malarz, który się tu wczoraj kręcił. Ale, żeby go panowie wczoraj widzieli... jak on był ubrany?! Zarośnięty, zaniedbany, pożał się Boże! A dzisiaj? Prawdziwy gentleman! Pewno już sobie zdążył kupić przyzwoite ubranie za ukradzione od pana Andrews'a pieniądze i myślał, że w zamieszaniu będzie jeszcze można coś stąd ściągnąć... Ale ja go od razu poznałam! Po cichutku zakradłam i... łaps go za rękaw! No i przyprowadziłam go do panów, choć się okropnie wyrywał... A jestem tylko skromną kucharką i mnie za łapanie bandytów nie płacą.

Rosalia Buckle odsapnęła i triumfalnym spojrzeniem

ogarnęła wpatrzonych w nią mężczyzn.

Brent z trudem tłumił łaskoczący go śmiech. Ciekaw był, jak jego przyjaciel wybrnie z tej głupiej sytuacji.

- Hm, widzi pani, pani Buckle, to niezupełnie jest tak, jak pani sobie wyobraża zaczął Kevel z trudem dobierając słowa. - Ma pani rację, że ten młody człowiek nie jest malarzem. Ale zapewniam panią, że również nie jest on bandytą... To jest sierżant Robbes, który wczoraj był tutaj właśnie z tytułu swoich służbowych obowiązków... Mieliśmy... hm, pewne podstawy przypuszczać, że wczoraj w Seaside Garden może się stać coś złego... Dlatego sierżant Robbes był tu na służbie... Rozumie pani teraz, że to nie on jest mordercą inżyniera Andrews.

Krewka niewiasta przez chwilę wyglądała na zaskoczoną.

- Więc to policjant - powiedziała zawiedzionym głosem.

Nieoczekiwane zidentyfikowanie domniemanego malarza zrobiło jej wyraźną przykrość. Ale niebawem odzyskała kontenans.

- Więc policja wiedziała, że panu Andrewsowi może się stać coś złego, i nawet postawiła tu swojego człowieka, żeby go pilnował... No i na co się to przydało? Naszego pana i tak zamordowano. W dodatku pod samym nosem tego... sierżanta!

Upewniwszy się, że ostatnia złośliwość osiągnęła zamierzony skutek, Rosalia Buckle z godnością opuściła pokój.

Rozdział czternasty TROP PROWADZI DO TIMBERGATE

Przesłuchania skończyły się wreszcie. Karetka zabrała już zwłoki do Cardiff, zaś inspektor Craft pilnował prac swej ekipy w budynku. Przyjaciele wyszli z domu i wolnym krokiem przechadzali się po rozległym ogrodzie.

Za ogrodzeniem kilku żądnych wrażeń gapiów usiłowało dowiedzieć się jakichś szczegółów od broniącego im wstępu policjanta. Nieoczekiwane morderstwo stało się olbrzymią sensacją w tej cichej i odludnej okolicy.

- Co o tym wszystkim sądzisz, Jim? - zapytał wreszcie Kevel.

- Co sądzę? - Brent uśmiechnął się gorzko. - Nic nie sądzę, absolutnie nic... Do wczoraj, co mówię, do naszego przyjazdu tutaj, myślałem, że wiem wszystko. Miałem nawet potwierdzenie słuszności mojego rozumowania. Przecież spotkałem Maureen dokładnie tam, gdzie przewidywałem, a jej relacja potwierdzała w całości moją hipotezę. A teraz?... Teraz już nie wiem nic. Nic z tego nie rozumiem, Stan! Według mojej teorii Andrews nie mógł umrzeć. Kto mógłby go zabić?! Przecież on sam był moim jedynym kandydatem na zabójcę. Zabójcą Maureen Denverley, oczywiście... Przypuszczenie, że zabił się sam z powodu nagłych wyrzutów sumienia, byłoby absurdalne, nawet gdyby lekarz nie wykluczył samobójstwa. A zeznania służby też się całkowicie zgadzają, więc nie sądzę, żeby to któreś z nich...

- No właśnie. A przecież Andrews nie żyje... To jest fakt bezsporny, który musimy przyjąć jako punkt wyjścia, choćby ci się on nie wiem jak nie podobał, - Kevel popatrzył na przyjaciela niewesołym wzrokiem.

- Obawiam się, Jim, że w przebiegu wczorajszego wieczoru, który mi telefonicznie przedstawiłeś, tkwi jakiś bardzo poważny błąd. Bo jeśli Andrews istotnie zginął pomiędzy ósmą wieczorem a północą, zaś nikt z domowników nie widział absolutnie nikogo poza naszym pechowym Robbesem, to praktycznie rzecz biorąc, istnieje tylko jedna osoba, którą można podejrzewać o zamordowanie właściciela Seaside Garden.

- Stan! Czyżbyś myślał, że to Maureen Denverley? - wykrzyknął Brent.

- Tak! Niestety, tak, Jim. Wiem, że to dla ciebie przykre, ale ja jestem tylko policjantem i muszę być absolutnie obiektywny... Czy nadal chcesz brać udział w tym śledztwie?

- Oczywiście, że chcę. - Brent nie zastanawiał się ani chwili. - Zbyt głęboko wszedłem już w tę sprawę i mnie też zależy na ustaleniu prawdy. Całej prawdy i tylko prawdy, Stan. A ponadto, jakoś nie mogę uwierzyć w winę Maureen Denverley. Wcale mi nie chodzi o względy rodzinne, ale po prostu ta zbrodnia mi do niej nie pasuje.

- A co ty właściwie wiesz o Maureen Denverley? Przecież poznałeś ją przed dwoma tygodniami. Co o niej możesz wiedzieć, skoro widzieliście się zaledwie kilka razy? Bo fakt, że jest miłą, dobrze ułożoną panienką, niczego jeszcze nie oznacza... Sam to wiesz najlepiej.

- Tak. Wiem o tym bardzo dobrze. I wcale nie na tym osobistym wrażeniu opiera się moje przekonanie... Widzisz, wydaje mi się, że śmierć Andrews musi się jakoś wiązać z ponurą aferą ubezpieczeniową, którą dopiero co odkryliśmy. Co tu może mieć do roboty Maureen Denverley?

- Bardzo wiele! Afera ubezpieczeniowa wyglądała prawdopodobnie tak, jak mi mówiłeś. Po to, żeby się ona nie wydała, Andrews mógł istotnie pragnąć śmierci Maureen Denverley. Zgadza się z tobą, że zapewne ukartował to w sposób tak dokładnie przez ciebie przewidziany. Wiele ustalonych przez nas faktów na to wskazuje. Jednakże... - nadinspektor zawiesił głos i popatrzył na Jamesa z ironicznym grymasem. - Jednakże Andrews pewnej rzeczy nie przewidział. Nie przewidzieliśmy jej również my obaj.

- Czego nie przewidzieliśmy?

- Temperamentu panny Denverley, mój drogi. Tak okropnie musiała się zdenerwować usłyszanymi oszczerstwami na temat swego ojczyma, tak obrzydliwym i niebezpiecznym człowiekiem wydal się jej Andrews, że straciła głowę.

Porwała z biurka nóż do papieru i zanim się opamiętała, Andrews już nie żył.

- Ale czy twoim zdaniem silny jeszcze mężczyzna, w dodatku były komandos, dałby się tak łatwo zadźgać dziewczynie? - W głosie Brenta zabrzmiała nuta sceptycyzmu.

- Ależ on się tego wcale nie spodziewał, Jim! Nie przyszło mu to do głowy ani przez chwilę! Patrzył na Maureen Denverley jako na swoją ofiarę. Jej śmierć miała być już przecież kwestią minut. Tymczasem nagle ofiara stała się mordercą, a morderca ofiarą... Gdyby nie twoja interwencja, i ona nie uszłaby z życiem wczorajszego wieczoru. Mielibyśmy wtedy dwóch morderców będących wzajemnie swoimi ofiarami. Zupełnie na miarę antycznej tragedii... No cóż, myślę, że jeśli Maureen

Denverley zasiądzie na ławie oskarżonych, na co, niestety, się zanosí, to sąd nie będzie dla niej zbyt surowy.

Nadinspektor zamilkł i przez chwilę panowała cisza.

Brent szedł obok niego ze spuszczoną głową. Wydawał się jakby nieobecny. Słońce zakryło się ciężkimi, deszczowymi chmurami i od morza powiał zimny, ostry wiatr.

- Zdaje się, że będzie lalo - przerwał milczenie Brent. - A co z tą kulą w ścianie? Jak ona gra w twojej teorii, Stan?

- Tego nie wiem - powiedział szczerze Kevel. - Ta kula trochę mi przeszkadza... Przypuszczam, że musiała być wystrzelona z rewolweru Andrews'a. Craft znalazł go przed chwilą. Rzeczywiście, Andrews miał Colta. Leżał w środkowej szufladzie biurka wraz z nałożonym tłumikiem. Nie bardzo sobie wyobrażam, żeby mógł strzelać do panny Denverley, skoro obmyślił dla niej zupełnie inny rodzaj śmierci... Ona też chyba nie strzelała... A może Andrews po południu czyścił broń, tak na wszelki wypadek, przed interesującym wieczorem? Tak, to bardzo prawdopodobne - dodał po chwili namysłu. - Strzał musiał wypalić podczas czyszczenia rewolweru. Przypomnij sobie, na jakiej wysokości był ślad po tej kuli. Osoba, do której strzelano, musiałaby być olbrzymem.

- Może - powiedział Brent drewnianym głosem. - Co zamierzasz dalej robić, Stan?

- Oczywiście, przesłuchać Maureen Denverley... Ona jest u was, prawda?

- Tak. Jest jeszcze u nas. Ale wiesz, wołałbym, abyś ją przesłuchiwał w Timbergate.

- Chodzi ci o to, żeby nie robił tego w waszym domu? Oczywiście. To byłaby bardzo niezręczna sytuacja.

- Ależ nie! Wcale mi nie o to chodzi. Nie umiem ci teraz powiedzieć dlaczego, ale wydaje mi się, że trop prowadzi do Timbergate. Jeśli pozwolisz, chciałbym jeszcze raz zajrzeć do spuścizny po Christopherze Hodgarthy'm.

- Proszę bardzo. Mnie to nie robi żadnej różnicy. I tak to nie zmieni prawdy, Jim.

Pominąwszy milczeniem ostatnią uwagę nadinspektora, Brent zawrócił do domu i skierował się w stronę telefonu.

- Czy to ty, Anno? - spytał uzyskawszy połączenie.

- Tak, Jim - odpowiedział daleki głos żony. - Dlaczego cię jeszcze nie ma? Znow musimy na ciebie czekać.

- Widzisz, Anno, zaszły zupełnie nieprzewidziane wypadki - powiedział możliwie łagodnym głosem. - Inżynier Andrews, u którego była wczoraj Maureen, nie żyje. Został zamordowany tej nocy... Maureen jest ostatnią osobą, która go widziała przy życiu. Śledztwo prowadzi Stan i oczywiście musi przesłuchać Miss Denverley... Bardzo proszę, abyście zaraz obie wsiadły do samochodu i pojechały do Timbergate. My też tam będziemy niebawem.

- Jim, czy Maureen jest... Czy Kevel... - Głos Anny znow się urwał.

- Nie wiem, Anno. Na razie o nic nie pytaj.

Przyjechali późnym popołudniem. Obie panie, mocno zdenerwowane, czekały już na nich w salonie. Kevel nieco zmieszany popatrzył na żonę przyjaciela. Jej obecność była mu wyraźnie nie na rękę. Mrs. Brent wyczuła to od razu i szybko wstała ze swojego fotela.

- Zdaje się, że macie ochotę porozmawiać wyłącznie z Maureen - powiedziała. - Wobec tego pójdę się trochę przejść po ogrodzie.

Pośpiesznie wyszła z pokoju odprowadzona niespokojnym spojrzeniem kuzynki.

- Proszę się nie denerwować, Maureen - zaczął uspokajająco Brent. - Na pewno pamięta pani naszą wczorajszą rozmowę? Wtedy sądziłem, że wystarczy, jeśli mnie opowie pani o swych niedawnych przejściach... Jednakże inżynier Andrews nie żyje i w tej sytuacji tu obecny nadinspektor Kevel też musi z panią porozmawiać. Jest pani bardzo ważnym świadkiem w tym śledztwie.

- Tak, oczywiście. Świetnie to rozumiem - głos Maureen był opanowany, ale mocno naciągnięta na policzkach skóra i nerwowe drżenie rąk zdradzały wewnętrzne napięcie.

- Od jak dawna znała pani inżyniera Andrewsa? - zaczęła ją przesłuchiwać Kevel.

- Od dziecka. Przyjeżdżał tu czasem, kiedy jeszcze

mieszkałam z rodzicami w Timbergate.

Sterowana pytaniami Kevela zaczęła Maureen opowiadać swą historię. Śmierć matki, wyjazd do Australii, wiadomość o wypadku ojczyrna, po latach - zawiadomienie o spadku, list od Andrews, wreszcie powrót do Anglii i związane z tym niepokoje...

- Może się już pani nie martwić tamtą sprawą - powiedział Kevel. - Ojczyrn nie miał nic wspólnego ze śmiercią pani matki. To pielęgniarka, Linda Turnen, skróciła jej cierpienia. Z kolei, przed swoją śmiercią, opowiedziała o tym lekarzowi. Mamy jej zeznanie.

- Och, byłam pewna! Byłam pewna, że to nie Chris! - Widać było, że dziewczynie spadł z serca wielki ciężar. - Ale w takim razie, czemu pan Andrews wczoraj... - Zamilkła nagle.

- Inżynier Andrews nie musiał o tym wiedzieć. Linda Turner umarła dopiero przed trzema laty. Ja sam znalazłem tę informację w naszym archiwum kilka dni temu.

- Rozumiem - twarz Maureen Denverley znów się zasepiła. - Ale i tak tu nie tłumaczy, dlaczego on... dlaczego pan Andrews mówił wczoraj do mnie takie okropne rzeczy.

- No właśnie! Pomówmy teraz o wczorajszym dniu. Proszę mi opowiedzieć wszystko od momentu, kiedy spotkała się pani z inżynierem Andrewsem.

Znów przysłuchiwał się Brent znanej mu już opowieści. Maureen Denverley miała dobrą pamięć. Wszystkie szczegóły przedstawiła dokładnie tak samo, jak wczoraj.

- Czy uważa się pani za osobę opanowaną? - zapytał nadinspektor, gdy dziewczyna skończyła opowiadać.

- Opanowaną? - zdziwiła się. - Nic rozumiem pana.

- No, tak. Chciałbym wiedzieć, czy łatwo się pani denerwuje? Może trudno się pani uspokoić, gdy wpadnie pani w złość?

- Wydaje mi się, że moje reakcje są zupełnie normalne - odpowiedziała nieco sztywno. - Nie myśli pan chyba, że wczoraj wieczorem, pod wpływem zdenerwowania... - Jej głos załamał się niebezpiecznie.

Urwała i z wyraźnym przestraczem spojrzała na Kevela, a potem na Brenta.

James uśmiechnął się lekko, jakby chciał jej dodać otuchy.

- Na razie nic nie myślę - wyjaśnił nadinspektor urzędowym tonem. - Ale niechże pani zrozumie, że prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa. A pani jest ostatnią znaną nam osobą, która rozmawiała z zamordowanym. Muszę brać pod uwagę wszystkie możliwości.

Kevel położył nacisk na słowo „wszystkie” i James zorientował się z jego tonu, że zacznie się teraz najbardziej nieprzyjemna część przesłuchania.

W tej chwili nie mógł w niczym pomóc Maureen, przynajmniej nie mógł tego zrobić tkwiąc nadal beczynnie w tym pokoju.

- Zostawiam panią na pastwę stróży porządku publicznego, Maureen. Niech się pani tylko nie przyznaje do morderstwa z premedytacją - powiedział ze sztuczną wesołością. - Tymczasem ja odetchnę trochę świeżym powietrzem.

Wyszedł przed dom.

Niebo poczerwieniało od zachodzącego słońca.

Drzewa rzucały śmieszne, długie cienie. Ruszył przed siebie wąską alejką, ale zobaczywszy w oddali znajomą suknię swej żony, zmienił gwałtownie kierunek. Nie czuł się teraz na siłach uspokajać Annę. Przeszedł kilkanaście kroków pogrążony w niewesołych rozmyśleniach. Przy grządce z porzeczkami zobaczył nagle znajomego ogrodnika. - Trzeba mu powiedzieć o Lindzie Turner - pomyślał i przyśpieszył kroku.

Sullivan wyraźnie ucieszył się usłyszaną nowiną. Brent powiedział mu również o śmierci Andrews, ale ta nie zrobiła na starym spodziewanego wrażenia. Nigdy nie lubił Andrews, ale nie potrafił go teraz szczerze żałować.

- Już tam o nieboszczykach źle mówić nie przystoi, ale nasz pan, o, to był człowiek jak kryształ. A pan inżynier Andrews... Nic mi złego nie zrobił, ale nie miałem do niego specjalnego nabożeństwa. Jak na mój gust, to za bardzo wszystkich z góry traktował. Ale był przyjacielem pana Hodgarthy'ego... Niech i jemu ziemia lekką będzie.

Powoli ruszył Brent w stronę domu. Pomyślał znów o Maureen Denverley. Przypomniał sobie jej postać na ścieżce,

kolo Seaside Garden... Jej przestrach i zdenerwowanie, gdy nagle wyłonił się przed nią z ciemności... i później, już w samochodzie. Czyżby to wszystko miało inną przyczynę, niż mu powiedziała... niż jej sam, swoją sugestią, podsunął?... Ta myśl nie dawała mu spokoju już od pewnego czasu.

Wszedł do domu, ale nie chciał wracać do salonu, gdzie Kevel nadal prowadził przesłuchanie.

- Gdzie jest jej pokój? Na parterze?... Nie, na piętrze - przypomniał sobie nagle. Chwilę wahał się przed naciśnięciem klamki. Maureen bynajmniej nie zapraszała go do siebie; gdyby tak weszła? - Ale w razie czego i tak policja przetrząśnie tu wszystko co do sztuki - uspokoił swoje sumienie i wszedł do środka.

Pokój Maureen Denverley był taki jak ona sama. Jasny, czysty, bezpretensjonalny. Tapczan przykryty wesołą, ze smakiem dobraną narzutą. Stół, parę wygodnych krzeseł, szafa z ubraniami. Pod oknem nieduże, dziewczęce biurko. W wazonach świeże kwiaty, kilka rodzinnych fotografii w jasnych, prostych ramkach. „Czego ja tu szukam? - zawstydził się nagle Brent. - Skrwawionych sukni? rękawiczek? Nie, to niemożliwe. Nawet jeśliby... Przecież potem prawie całą dobę ona była u nas.”

Na krześle stała nieduża torba podróżna, której Maureen jeszcze nie zdążyła rozpakować. Miała ją ze sobą w Londynie. Otwarty zamek błyskawiczny pozwalał bez trudu zajrzeć do środka. Nie było tam nic nadzwyczajnego. Parę damskich drobiazgów, przybory toaletowe, ręcznik, ranne pantofle, podróżny płaszcz deszczowy i album, który Miss Denverley dosłała od pana Dawsona. James jeszcze raz przebiegł wzrokiem dedykację. *“... aby po powrocie do rodzinnego kraju nie zapomniała tak szybko piękna ziemi, na której wyrosła...”*

„Mój Boże, jak sielankowy żywot tam wiodła w porównaniu z ponurą historią, która spotkała ją w tym rodzinnym kraju zaraz po przyjeździe” - westchnął Brent i ostrożnie włożył do torby książkę, starając się nadać jej poprzednie położenie.

Przez proste skojarzenie przypomniał mu się inny album i myśl znów wróciła do Hodgarthy'ego i jego towarzyszy.

Zszedł na dół i skierował się do biblioteki. Przedłużające się przesłuchanie Maureen było mu teraz na rękę.

W dawnym gabinecie Christophera Hodgarthy'ego nie zastał nikogo. Otworzył właściwą szufladę biurka. Obok teczek, ułożonych tak jak pamiętał, zaraz za starymi kalendarzami, leża i skórzany woreczek. Ten sam, który Anna wyjęła z wazonu i którego zastosowania nie mogli wtedy rozszyfrować.

Tknięty nagłą, nieskrystalizowaną jeszcze myślą, Brent szybko wysypał zawartość na blat biurka. Sześć kul rozbiegło się na wszystkie strony. „No tak, oczywiście sześć! - pomyślał Brent.

- Jedna czarna i pięć białych, wszystko się zgadza... A może?... Zaraz, zaraz, jak on to mógł zrobić? Jak ja postąpiłbym na jego miejscu?... Tak. To jedyna bezpieczna możliwość?” - Uważnie obejrzał po kolei wszystkie kule. Potem ostrożnie ułożył koło siebie dwie białe. Znów rozbiegły się po gładkiej powierzchni biurka. Brent pomyślał chwilę i wyciągnął z kieszeni zapalniczkę. Po kolei przykładał ją do każdej z kul. Wynik tego niezrozumiałego eksperymentu musiał być pozytywny, bo szeroki uśmiech satysfakcji rozlał się na jego twarzy. Z powrotem włożył kule do woreczka. Przynajmniej jedna sprawa stała się dla niego jasna. Teraz James wyjął z szuflady teczki i jeszcze raz przerzucił zawarte w nich papiery. Nie znalazł jednak nic nowego. Dłuższą chwilę poświęcił tylko zdjęciu Hodgarthy'ego i Andrews'a wraz z towarzyszami broni; fotografii, która niedawno pchnęła jego myśli na właściwy trop. Przyjrzał się uważnie wszystkim sylwetkom. Były nieduże i trochę wyblakłe. „Jak bardzo od tamtych czasów zmienił się Andrews! Ledwo można go poznać - pomyślał Brent. - Za to Hodgarthy'ego dużo łatwiej jest zidentyfikować na podstawie jego innych zdjęć. Tak, dwadzieścia pięć lat... Ja sam też inaczej wyglądałem ćwierć wieku temu.” Westchnął przypomniawszy sobie stare dzieje.

Chwilę jeszcze przyglądał się fotografii, po czym schował ją na właściwe miejsce. Teraz sięgnął po stare kalendarze. Jak pamiętał, było ich trzynaście. Rozłożył je porównując daty wytłoczone na okładkach. No tak! Brakowało, egzemplarza z

pięćdziesiątego czwartego roku. Ale przecież Maureen mówiła, że są wszystkie. A zatem? Pomyłka? W to wątpił. Więc kto go zabrał? Maureen? Andrews? Ktoś inny? Brent zastanawiał się nad motywem. Pięćdziesiąty czwarty rok... Tak, to znów potwierdzało jego hipotezę. To i album. W tej sprawie również nie mógł się mylić. - Cóż z tego, kiedy nadal nie wiem, kto i dlaczego zabił Andrewsa? - Nagle znów powróciło zniechęcenie.

Ułożywszy wszystko w szufladzie, James zapadł w ponurą zadumę. Przymknął oczy i zdarzenia ostatnich dni przesunęły się przed jego oczami jak film... Tak. W swojej koncepcji jedną rzecz przyjął z założenia. A jeśli to założenie było fałszywe? To co? Jeszcze raz przypomniał sobie pewne fakty. Fakty, w które wierzył. A gdyby je teraz zrewidować?... To była zupełnie nowa myśl!

Przypomniała mu się niedawna wizyta w pokoju Maureen Denverley. Jednak nie okazała się ona bezskuteczna. James czuł, że trzyma w ręku nową nić; nić, która doprowadzi go do rozwiązania zagadki. Jeszcze raz sięgnął do szuflady. Wyjął z niej stare zdjęcie i woreczek z kulami. Umieszczenie fotografii w wewnętrznej kieszeni marynarki nie nastęrczało trudności, natomiast spora sakiewka w żaden sposób nie chciała się nigdzie zmieścić. Jaka szkoda, że nie zabrał ze sobą teczki! „Może w biurku znajdę coś odpowiedniego?” - pomyślał i zajrzał do dolnej, większej szafki.

Miał szczęście. Stara, lecz niezbyt zniszczona aktówka świetnie nadawała się do tego celu. Po chwili z teczką w ręce Brent wyszedł z biblioteki i udał się na poszukiwanie Kevela. Nadinspektor skończył wreszcie rozmowę z panną Denverley, która bliska łez siedziała jeszcze w fotelu.

- Niech się pani dobrze namyśli - mówił Kevel. - Póki śledztwo trwa, można jeszcze uzupełnić zeznania.

Maureen zwiesiła głowę. Uporczywie wpatrywała się w jakiś nieokreślony punkt na dywanie.

Brent podszedł do przyjaciela i szepnął mu na ucho kilka słów. Kevel skinął głową.

- Teraz wyjeżdżam i zostawiam pani czas do namysłu, Miss

Denverley. Proszę jednak, aby nie oddalała się pani z Timbergate. Zostawiam tu mojego pracownika. Jego obecność proszę traktować jako, hm, urzędowe wzmocnienie tej prośby.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła właśnie dziesiąta.

Kevel, przypomniawszy sobie o telefonie do lekarza, jeszcze raz zwrócił się do Maureen.

- Pozwoli pani, że skorzystam jeszcze z telefonu? Dziewczyna skinęła głową i Stanicy Kevel szybko opuścił pokój.

Brent skłonił się Maureen z daleka i podążył za nim.

- Zostań tu z Maureen, Anno - powiedział do żony, którą znalazł w sąsiednim pokoju. - Ja muszę jechać z Kevelem do Londynu. śledztwo nie skończyło się jeszcze. Stanley nie był specjalnie miły dla twej kuzynki. Teraz bardzo potrzeba jej twojej opieki... Uwważaj, żeby nie zrobiła czasem jakiegoś głupstwa.

Anna Brent popatrzyła na męża wielkimi, szeroko otwartymi oczami, ale nie odważyła się zadać żadnego pytania.

- Bądź o nią spokojny, Jim - powiedziała tylko.

Kiedy James opuścił dom, Kevel czekał już w samochodzie. Twarz jego była surowa i nie zachęcała do konwersacji.

- No więc? Jak brzmi werdykt doktora Regana? - zapytał Brent, gdy ujechali już kilkaset jardów i samochód skręcił na londyńską autostradę.

Nadinspektor milczał przez chwilę, a potem, nie odwracając głowy od okna, powiedział:

- Zmartwisz się, Jim. Andrews zginął pomiędzy dziewiątą a dziesiątą piętnaście.

Rozdział piętnasty WŁASCIWIE NIE BYŁO ŻADNEGO KLUBU

- Nie przypuszczałem, że zobaczę cię tak wcześnie, Jim - powiedział Kevel, gdy nazajutrz rano przyjaciel i wszedł do jego londyńskiego gabinetu.

- Dopiero ósma dwadzieścia. Widzę, że stajesz się rannym

ptaszkiem.

- Łatwo to chyba zrozumieć - mruknął ponuro Brent. - Mnie też interesuje ostatnia afera... Czy dostałeś już materiały z Seaside Garden?

- Niestety, nie. Właśnie dopiero co telefonował Croft. Ma je przysłać w ciągu dnia. Jak widać, jego ludzie nie pracują tak błyskawicznie, jak nam to mówił wczoraj.

- Co robić? Dobrze chęci to jeszcze nie wszystko. Musimy wobec tego uzbroić się w cierpliwość... A szkoda, bo bardzo chciałem jak najprędzej obejrzeć sobie to i owo.

- Nie sądzę, aby te informacje zmieniły w czymkolwiek przebieg śledztwa - powiedział z powątpiewaniem nadinspektor. - Jeśli o mnie chodzi, winę Maureen Denverley uważam za bezsporną. Wczorajsza rozmowa z nią w Timbergate, a potem telefon do doktora Regana przekonały mnie o tym całkowicie.

- A właśnie - ożywił się James. - Czy skontaktowałeś się z dyrektorem Dawsonem?

- Niezupełnie - pokręcił głową Kevel. - Telefonowałem do South Australian Airlines zaraz po przyjeździe do biura, ale Dawsona jeszcze nie było. Sekretarka poinformowała mnie, że spodziewa się go dopiero o jedenastej. Była bardzo niezadowolona, kiedy powiedziałem, że musimy się z nim widzieć, bo Dawson ma być w biurze bardzo krótko. Zdaje się, że już o trzynastej z minutami odlatuje z powrotem do Sydney.

- A to rzeczywiście niedobrze - zgodził się Brent. - Myślę, że mimo to, pan dyrektor zechce nas jednak przyjąć.

- No pewno, że zechce - uśmiechnął się nadinspektor. - W końcu policji trudno jest odmówić... Ale, szczerze mówiąc, nie wiem, czy ta rozmowa nie będzie zwykłą stratą czasu. Zarówno naszego, jak i Dawsona.

- Stratą czasu?! - Brent zdawał się być wręcz oburzony. - A wczoraj kto pytał Maureen Denverley o jej usposobienie, o skłonności do zdenerwowania i tak dalej?

Zdaje się, że zapominasz, iż dyrektor Dawson jest jedynym człowiekiem w Londynie, który zna tę dziewczynę jeszcze z Sydney.... Jestem głęboko przekonany, że jego informacje

mogą być bardzo interesujące.

- No dobrze, już dobrze - uspokoił przyjaciela Stanley Kevel. - Oczywiście, pójdziemy do Dawsona... Ja też jestem człowiekiem, Jim. Jeśli tylko będę mógł zdobyć materiał, który potem, w sądzie, pomoże obrońcom Miss Denverley, to bądź pewien, że zrobię to bardzo chętnie. W końcu to raczej Andrews był odrażającą kreaturą, a nie ta Bogu ducha winna dziewczyna, która tak fatalnie uwikłała się w tę sprawę.

- Ciesz się, że mimo długoletniej pracy w policji, masz tak wrażliwe serce, Stan - zauważył kwaśno Brent.

- Co chcesz, policjant też człowiek - odparł nadinspektor ignorując ironię zawartą w słowach przyjaciela. - Mamy teraz trochę czasu, Jim. Może więc w oczekiwaniu na przesyłkę z Cardiff i spotkanie z Dawsonem, porozmawialibyśmy wreszcie o klubie samobójców? Nie mówiłeś mi jeszcze o wszystkich swoich poprzednich ustaleniach. A przecież w prowadzonym teraz śledztwie wszystko musi być wyjaśnione, jako integralnie związane ze śmiercią Andrews.

- Przewidywałem, że poruszysz ten temat - uśmiechnął się Brent. - Przyniosłem nawet ze sobą pewne materiały. Mam nadzieję, że pomogą ci one uwierzyć w moje opowiadanie, które prawdopodobnie będzie dla ciebie nie lada zaskoczeniem.

- Zaskoczeniem? - zdziwił się nadinspektor. - Intrygujesz mnie, Jim. Mów prędko, co masz na myśli.

- Nie ma nic za darmo, Stan. - James z trudem stłumił ziewnięcie. - Jak słusznie zauważyłeś, ostatnio bardzo wczesnie wstaję, do czego doprawdy nie jestem przyzwyczajony. Czy myślisz, że w tej szacownej instytucji znalazłaby się dla mnie filiżanka kawy? Jestem pewien, że poprawiłaby bardzo moją intelektualną wydajność.

- Możesz dostać choćby całe wiadro - zapewnił go Kevel. - Czekaj, wydam tylko polecenie.

Nadinspektor opuścił gabinet, a Brent podszedł do okna. Dochodziła dziewiąta i mimo soboty ruch na ulicy przybrał na sile. Różnobarwny tłum zapełniał oba chodniki, a jezdnią sunęły w obie strony długie sznury pojazdów. Metropolia zaczęła swój ruchliwy, zgiełkliwy dzień.

Niebawem wrócił nadinspektor, a idący tuż za nim sierżant Hopkins ostrożnie wniósł do gabinetu dwie filiżanki aromatycznej czarnej kawy. Postawił je na biurku zerkając ciekawie na Brenta. Spojrzawszy jednak na surowe oblicze swego szefa zreflektował się i szybko wyszedł z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

Brent umoczył usta w kawie.

- Wspaniała! - powiedział z uznaniem. - Jeśli Hopkins sam ją zaparzył, to przyznam się, że do dziś nie doceniałem wszystkich wysokich kwalifikacji, jakie musi posiadać sierżant policji municypalnej.

Kevel prawie niedostrzegalnie wzruszył ramionami.

- Proszę cię, nie wygłupiaj się, Jim. Przecież obiecałeś mi opowiedzieć jakąś intrygującą historię o klubie samobójców. Brent spowaźniał i postawił na spodeczku trzymaną w rękę filiżankę.

- Dobrze. Opowiem. Ale będzie to nie tyle opowieść o klubie samobójców, co o panu inżynierze Andrewsie i jego pięciu ofiarach.

Nadinspektor popatrzył badawczo na przyjaciela.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Jim?

- To, że właściwie nie było żadnego klubu samobójców - wyjaśnił z prostotą Brent.

- Jak to nie było?! - Kevel prawie poderwał się z fotela. - Przecież to ty sam o nim opowiadałeś, a zdobyte przez nas informacje całkowicie tę twoją hipotezę potwierdziły!

- Tak, tak. To się oczywiście zgadza - James machnął ręką prawie lekceważąco. - Ale cały dowcip polega na tym, że dla Andrews a klub samobójców był w rzeczywistości jedynie bezpiecznym środkiem do zdobycia majątku. Oczywiście, kosztem życia jego kolegów, którzy się dali na to nabrać.

- Jim! Czy ty myślisz, że Andrews?...

- Nie tylko jestem pewien, że Andrews oszukiwał w tej makabrycznej grze, ale nawet mogę udowodnić, jak to zrobił.

W głosie Brenta zabrzmiała tak niezbita pewność, że Kevel nawet się nie odezwał.

- Pewno cię interesuje, jak się to wszystko odbyło -

odpowiedział James na nieme pytanie przyjaciela. - W tym celu musimy się cofnąć do początków roku 1954, a może nawet jeszcze wcześniej, kiedy w umyśle Charlesa Belvedere Andrews powstał, pierwszy plan tego diabelskiego przedsięwzięcia.

Dane, które zebraliście w Yardzie, pozwalają z wystarczającą dokładnością naszkicować jego sylwetkę z tamtych czasów. Przyjrzyjmy się jej... Od razu widać, że jest to człowiek obdarzony silnym instynktem wodzowskim. W czasie wojny jako dowódca samodzielnej jednostki komandosów był w swoim żywiole. Czuł się na swoim miejscu. Przywykł do wydawania rozkazów i do tego, że podwładni okazywali mu bezwzględny posłuch. Był przy tym odważny, inteligentny, o surowej dyscyplinie wewnętrznej, więc nic dziwnego, że okazał się wzorowym żołnierzem i w pełni zasłużył na otrzymane odznaczenie... Jednak wojna skończyła się któregoś dnia i Andrews musiał, niestety, zmienić rolę, w której występował, na inną, odpowiadającą mu znacznie mniej. Jak wielu z nas, znalazł się w impasie. Ale przecież miał bardzo dobry fach. Trzy lata przed wojną skończył wyższe studia techniczne na wydziale lotniczym, po których podjął pracę konstruktorską w dużych zakładach produkcyjnych. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że po wyjściu z wojska inżynier Andrews wrócił; jako konstruktor, do tej samej fabryki. Nie mógł jednak przystosować się do starej, zapomnianej już sytuacji, kiedy pracuje się pod okiem i komendą zwierzchnika. Toteż, mimo niewątpliwych talentów inżynierskich, coraz popadał w konflikty ze swoim kierownictwem. Z pewnością właśnie dlatego awansował znacznie wolniej, niż jego mniej nawet uzdolnieni koledzy, umiejący sobie lepiej radzić w kontaktach międzyludzkich... Oczywiście, ten stan rzeczy był dla Andrews bardzo dolegliwy i zapewne wtedy zaczął odczuwać chęć zostania szefem jakiejś wielkiej firmy, w której to właśnie on będzie rządził. Ale na to trzeba było mieć odpowiedni kapitał bądź odpowiednie talenty taktyczne. Ani jednego, ani drugiego Andrews wówczas nie posiadał. Przypuszczalnie doszedł do wniosku, że łatwiej będzie mu zdobyć pieniądze, niż zmienić sobie usposobienie. W

konsekwencji zaczął przemyślać nad różnymi sposobami bezpiecznego zdobycia kapitału... No i w którymś momencie zrodziła się w jego głowie idea klubu samobójców.

Kevel zafascynowany patrzył na przyjaciela, zaś James pociągnął łyk kawy i mówił dalej.

- Rozmawialiśmy już, jak ów klub funkcjonował. Przypomnijmy sobie teraz rzeczy najważniejsze. Kilka osób ubezpiecza się w różnych towarzystwach asekuracyjnych, a następnie co roku jedna z nich ginie. Za każdym razem któryś z pozostałych przy życiu członków klubu podejmuje sumę polisy ostatniego zmarłego kolegi i dzieli ją na tyle części, ile osób jest aktualnie w stowarzyszeniu. Ustaliliśmy też, że pewne kwoty zostają zużyte na opłacenie coraz wyższych stawek w odpowiednich towarzystwach. Sumy ubezpieczeń rosną, a ilość osób do ich podziału maleje. Oczywiście, aby poszczególne ubezpieczenia mogły być w ogóle zrealizowane, każdy z samobójców powinien upozorować swoją śmierć na nieszczęśliwy wypadek. Widocznie nie było to aż tak trudne, bo żadnego z pięciu zgonów nie zakwestionowano ani w kompaniach asekuracyjnych, ani też w Scotland Yardzie.

Brent z wymownym uśmiechem spojrział na rozmówcę.

Nadinspektor westchnął tylko cicho, ale nic nie odpowiedział. Milczeli obaj przez chwilę, po czym Kevel zapytał:

- No, a jakim sposobem namówił Andrews swych pięciu byłych towarzyszy broni na udział w tak ryzykownej imprezie? I dlaczego właśnie ich, a nie nikogo innego?

Brent bezradnie rozłożył ręce.

- Tu wchodzimy już w sferę domysłów. Sądzę, że Andrews musiał po prostu dobrze znać swoich byłych kolegów i orientować się, jakie potrzeby i ukryte marzenia ma każdy z nich. Wizja dużych pieniędzy bywa tak atrakcyjna, że ludzie nieraz tracą głowę i nie zastanawiają się nad tym, jaką stawkę ryzykują w tej grze... Spróbujmy zresztą z posiadanych przez ciebie informacji dopasować do tych pięciu motywów, które każdego z nich mogły skłonić do uczestnictwa w przedsięwzięciu Andrews. - James zaczął przerzucać

podsunięte mu przez przyjaciela kartki z życiorysami:

- Oliver Candall... Na przykład on chciał mieć może pieniądze na dobry samochód, kobiety, przyjemny styl życia... A jako pilot-oblatywacz i tak prawie codziennie ponosił ryzyko śmierci, więc mogło mu się wydawać, że właściwie nie zwiększa tak bardzo swego faktycznego zagrożenia... Malcolm Bromway... Malarz. Niezrównoważony... długi... hazard... Może więc chciał zdobyć pieniądze na spłatę długów, a może też klub samobójców wydał mu się jeszcze jedną grą hazardową... Oba wytłumaczenia wydają mi się dość prawdopodobne... Harold Brien. No, z jego życiorysu wyraźnie widać, że wynalazki stanowiły jego idee fixe i gotów był dla nich wszystko poświęcić. Tak gwałtownie szukał pieniędzy na ich realizację. W tej sytuacji klub samobójców na pewno wydał mu się wręcz zbawieniem... Cecil Whitehorn... Tak, na pewno tak... Musiał tęsknić do posiadanej przed wojną pozycji towarzyskiej i finansowej... Może żywot odludka wiódł dlatego, że utracił jedną pozycję, nie umiał się dostosować do nowej, w jego mniemaniu gorszej... Mógł właśnie z tego powodu przystąpić do klubu... Wreszcie Christopher Hodgarthy... Tu najtrudniej znaleźć motyw finansowy, bo Hodgarthy był wtedy zupełnie dobrze sytuowany. Ale, jak wiemy, w początkach tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku stracił ukochaną żonę, a ponadto podejrzewano go o przyśpieszenie jej śmierci. Hodgarthy, znajdujący się wówczas w stanie skrajnej apatii, mógł przystąpić do klubu w nadziei, że ponoszone ryzyko poruszy go niejako i wyrwie z fatalnego stanu nerwów. Mógł też w ogóle się nad tym nie zastanowić z powodu zubożenia, w jakim właśnie tkwił...

Brent spojrział na przyjaciela i potrząsnął głową.

- Nie jestem Duchem Świętym, więc nic nie mogę tu twierdzić na pewno. To, co powiedziałem, to tylko przypuszczenia, które mi się nasunęły w oparciu o te życiorysy... Rzeczywiste motywacje mogły więc być trochę odmienne. Ale sam mechanizm funkcjonowania klubu samobójców musiał być właśnie taki, jaki ci przedstawiłem.

- Czy przypuszczasz, że Andrews jeździł do każdego z tych

pięciu i osobno namawiał go na przystąpienie do tej imprezy? - spytał Kevel z powątpiewaniem.

- Nie, nie sądzę. Na pewno wyglądałoby mocno podejrzenie, gdyby Andrews aż do tego stopnia zabiegał o zorganizowanie swego stowarzyszenia - odparł James. - Myślę, że raczej zrobił on wszystko, aby jego koledzy uznali tę propozycję za spontanicznie zrodzoną przez chwilę. Przecież żaden z nich nie mógł się zorientować, że były dowódca ma już wszystko przemyślane i ułożone, bo wtedy, pomimo całego prestiżu, jakim Andrews cieszył się w tym gronie, rzecz stałaby się co najmniej niewyraźna. Dlatego jestem raczej skłonny przypuszczać, że propozycja Andrews została zgłoszona na jakimś koleżeńskim spotkaniu w tym składzie... Nie tak trudno było Andrewsowi wytworzyć właściwy nastrój. Na przykład mógł powiedzieć, że czasy powojenne nie przyniosły żadnemu z nich tych złotych gór, które jeszcze w niebezpiecznych wojennych dniach spodziewali się znaleźć w pełnym szczęśliwości świecie, jaki nastanie po zawieszeniu broni... Przecież zawsze można znaleźć powód, żeby sobie ponarzekać i zarazić innych swoim pesymizmem... Andrewsowi najwidoczniej się to udało i jego pomysł został przez wszystkich przyjęty. A potem... Potem nikt już nie chciał się wycofywać... Stało się to sprawą honoru.

Nadinspektor z przerażeniem popatrzył na przyjaciela.

- Święty Boże! Jak ty na to wpadłeś, Jim?! Rzeczywiście trzeba mieć wyobraźnię autora powieści kryminalnych, żeby wymyślić coś podobnego... Przy czym, niestety, wygląda na to, że masz rację... Jednakże ten Andrews... Wiesz, wprawdzie jestem policjantem od tylu lat i z tego tytułu z niejedną już zbrodnią się spotkałem, ale postępowanie tego typu wydaje mi się szczególnie odrażające. Jak on mógł w celu zdobycia pieniędzy narazić na pewną śmierć właśnie te osoby, z którymi wspólnie przeżył niejedno zagrożenie?

- Jak widać, istota zwana człowiekiem jest wciąż pełna nieoczekiwanych możliwości - uśmiechnął się gorzko Brent. - Między innymi z tego powodu będzie mi bardzo przykro, gdy o tej sprawie dowie się cała Anglia... Ale właśnie to, co ciebie i

mnie tak oburza, dla Andrewsa mogło stanowić argument wręcz odwrotny. Przecież kiedyś właśnie tym samym pięciu ludziom uratował życie w sytuacji, zdawałoby się. beznadziejnej... Mógł więc uważać, że w pewnym sensie żyją oni z jego łaski i wobec tego ma większe prawo dysponować właśnie ich osobami.

- Rozumiem - Kevel ciężko westchnął. - A powiedz mi, Jim, w jaki sposób Andrews zabezpieczył się przed naznaczeniem jego samego na samobójcę? Jakie masz na to dowody?

Brent wyjął worek z kulami z aktówki Christophera Hodgarthy'ego i podał go nadinspektorowi.

- Dowody trzymasz właśnie w ręce - powiedział.

Stanley Kevel popatrzył zdumionym wzrokiem na skórzaną sakiewkę. Rozwiązał plecionkę, którą była ściągnięta, i po chwili sześć kul leżało przed nim na biurku.

- Jakież kule! Jedna czarna i pięć białych... Co to jest, Jim? - nadinspektor podniósł wzrok na przyjaciela, ale ten milczał.

- No, zastanów się dobrze, Stan - rzucił wreszcie z lekkim uśmiechem.

- Czekaj! - wykrzyknął w podnieceniu nadinspektor. - Kiedy tu byłeś poprzednio i rozmawialiśmy o klubie, powiedziałaś, że prawdopodobnie samobójcę wybierano rokrocznie drogą losowania. Czyżby to były losy klubu samobójców?! Jest ich sześć. To zgadzałoby się z pierwotną liczbą członków... A kula czarna mogłaby być właśnie losem śmierci.

- Oczywiście, masz rację - pokiwał głową Brent. - Ten worek znalazłem w bibliotece Christophera Hodgarthy'ego podczas mojej pierwszej bytności w Timbergate. Właściwie znalazła go tam moja żona. Zastanawialiśmy się nad jego znaczeniem, ale nie mogliśmy nic wymyślić. Wtedy za mało jeszcze wiedziałem... Dopiero wczoraj zrozumiałem, do czego on służył, i dlatego zabrałem go z Timbergate, podczas gdy ty przesłuchiwałaś Maureen Denverley.

- Ale co znaczą te numery na białych kulach? Tego nie rozumiem.

- Ja też nie mam co do tego stuprocentowej pewności. Ale przypuszczam, że w tym samym losowaniu samobójcy

wybierali również spadkobiercę, który miał podjąć sumę ubezpieczeniowej polisy. Może więc ponumerowali kule, aby było wiadomo, kto ma być spadkobiercą?

- Hm, to prawdopodobne - przyznał Kevel. - Jednak nadal nie wiem, jakim sposobem Andrews oszukiwał swoich towarzyszy.

- Mogę cię zapewnić, że zrobił to wyjątkowo sprytnie - Brent spojrzął na rozmówcę z filuternym nieomal uśmiechem. - Nie wiem, czy wczoraj w Seaside Garden przyjrzałeś się dość dokładnie zwłokom. Ja jednak, jeszcze podczas spotkania w Timbergate, zwróciłem uwagę na pewien istotny, jak się okazało, szczegół. Otóż Andrews musiał mieć w czasie wojny wypadek. Był ranny w lewą rękę i założyłem, że w jej środkowym palcu pozostał jeszcze odłamek pocisku. Koniecznie zwróć na to uwagę, jak dostaniesz wyniki sekcji.

Właśnie ten mały kawałek żelaza podsunął Andrewsowi jedyną w swoim rodzaju możliwość... Przyjrzyj się tym kulom jeszcze raz, Stan.

- Może jestem nie spostrzegawczy - powiedział wreszcie nadinspektor - ale nic nie mogę zauważyć. Wygląda na to, że wielkość i ciężar wszystkich kul są dokładnie takie same. A też i powierzchnia każdej z nich jest idealnie gładka.

- Naturalnie, że tak. Gdyby były jakiegokolwiek zewnętrzne różnice, to mogliby je zauważyć również pozostali członkowie klubu. A tego Andrews nie mógł w żadnym razie ryzykować. Musiał mieć sposób nie do podpatrzenia.

- Naprawdę nie wiem, jaki, Jim. Nie męcz mnie dłużej, bo przecież ty już wiesz.

James wyjął z kieszeni swoją starą zapalniczkę. Odwrócił ją do góry dnem i podał przyjacielowi.

- Widzisz, tu jest taka mała busola - wyjaśnił. - Przyłóż ją do każdej z kul, a będziesz wiedział akurat tyle, co ja.

Kevel posłusznie wykonał polecenie.

- Ależ to niesłychane - powiedział po chwili. - Te kule są namagnesowane! Wszystkie, z wyjątkiem czarnej!

- No właśnie - potwierdził Brent. - A zatem, podczas ciągnięcia, Andrews mógł sprawdzić, czy kula, którą trzymał w ręce, była bezpieczną kulą białą. Lekkie dotknięcie jej

powierzchni środkowym palcem musiało wykazać przyciąganie tkwiącego w nim kawałka żelaza.

- To bardzo przebiegły sposób - przytaknął nadinspektor. - Ale wiesz, niepokoi mnie w związku z tym jeszcze jedna sprawa. Być może, zadam ci głupie pytanie... Ale skoro w tych kulach są magnesy, to dlaczego one się nie przyciągają? Przecież busola pokazuje, że są namagnesowane.

- Oczywiście, że są! Ale masz równocześnie rację, że się nie przyciągają... Przecież, gdyby było inaczej, to któryś z losujących bardzo łatwo mógłby wyciągnąć z worka cały łańcuszek kul, zamiast tej jednej, którą wziął do ręki. Wtedy wszystko natychmiast by się wydało.

- Tak, to jasne. Ale jak Andrews temu zapobiegł? Czy to w ogóle jest możliwe?

- Musi być możliwe, skoro zostało zrealizowane: Nie zapominaj, że Andrews był inżynierem. Kto, jeśli nie on, miał wiedzieć, jak się robi takie sztuczki? Daj te kulki do zbadania swoim ekspertom, a na pewno znajdzie się szybko zupełnie logiczne wyjaśnienie twoich wątpliwości. Nadinspektor otworzył szufladę swego służbowego biurka i schował do niej woreczek kryjący tajemnicę klubu samobójców.

- Aha, dobrze, że sobie przypomniałem - powiedział wyjmując jakąś kartkę. - Wczoraj, po odwiezieniu cię do domu, wstąpiłem jeszcze do biura i trochę zastanawiałem się nad całą historią. Ponieważ śledztwo w sprawie zabójstwa Andrews wymaga zarazem wyjaśnienia tej afery ubezpieczeniowej, więc również myślałem o niej. Wprawdzie nie mogłem przewidzieć, że opowiesz mi dziś tak fantastyczne rzeczy, ale i ja zastanawiałem się nad naszym klubem. Wyjąłem ten twój graf i właśnie w związku z nim doszedłem do ciekawych wniosków. Mówiąc ściślej, do ciekawych wątpliwości.

- O, a to interesujące! - Brent popatrzył z zaciekawieniem na rozmówcę. - W takim razie teraz ty wytaczaj swoją armatę.

- To trochę za szumne określenie - skromnie zaoponował nadinspektor. - Ale przyznam ci się, że ten Whitehorn od wczoraj nie daje mi spokoju.

Brent zmrużył oczy i z napięciem przyglądał się przyjacielowi.

- Zaczyna się niezwykle interesująco - powiedział wreszcie.

- Ciekaw jestem, co masz na myśli.

Kevel podsunął mu kartkę z grafem obrazującym podejmowanie ubezpieczeń.

- Popatrz sam - powiedział. - Przecież poza faktem niepozostawienia testamentu, Whitehorn wcale nie odstaje od swoich pozostałych zmarłych towarzyszy. Zginął w tych Alpach właśnie we wrześniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku, czyli dokładnie wtedy, kiedy powinien był umrzeć kolejny członek klubu... A przecież nikt inny wówczas nie zginął. To daje do myślenia... Jednakże nikt nie zgłosił się, aby zrealizować jego ważną polisę. Dlaczego? Pozostali członkowie klubu, to jest Andrews i Hodgarchy, stracili w ten sposób aż sto pięćdziesiąt tysięcy funtów! Widzę tu tylko dwie możliwości, z których żadna niestety, nie ma sensu: Albo Whitehorn zginął przypadkowo, czyli niepotrzebnie z punktu widzenia interesów członków klubu, i wtedy w tym samym czasie powinien był zginąć jeszcze ktoś inny, albo też śmierć jego była umyślna i winien był pozostawić testament.

- Istotnie. Jedna z tych dwóch możliwości jest prawdziwa, aczkolwiek z pewną modyfikacją - wyraz napięcia zszedł z twarzy Jamesa i teraz był on zupełnie spokojny.

- Ja też się nad tym dość długo głowiłem, zanim zrozumiałem, o co chodziło Andrewsowi.

- Andrewsowi?! - wykrzyknął Kevel.

- Tak, tak. To jeszcze jedna ze sztuczek pana inżyniera - powiedział Brent. - Bo Whitehorn oczywiście wyciągnął swój los śmierci i zostawił testament, zanim poszedł na alpejską wycieczkę. Ale... testament opiewał na Andrewsa, mój drogi.

To właśnie on najspokojniej w świecie zniszczył ów dokument już po wypadku Whitehorna.

- Zniszczył? Ależ to absurdalne, Jim!

- Wcale nie tak bardzo. Popatrz na graf, a uprzytomnisz sobie, że właśnie w ten sposób Andrews odcinał się aż od połowy wszystkich członków klubu. To znaczy od Whirtehorna, Candalia i O'Briena... Tylko dzięki temu policja i towarzystwa ubezpieczeniowe nie wyłapały całej szóstki drogą łańcuszkową.

- No, ale Andrews stracił na tym fortunę! Hodgarchy zresztą również.

- Ja myślę, że Hodgarchy wcale o tym nie wiedział, Stan. Przypuszczam, że Andrews dał mu nawet połowę pieniędzy z tytułu rzekomego spadku po Whiteltonie. Musiał tak zrobić, bo jak inaczej wytłumaczyłby towarzyszowi swoje, z pozoru bezsensowne, działanie. Przecież nie mógł Hodgarchy'emu powiedzieć, że nie podejmuje tych pieniędzy, bo za rok, po śmierci tegoż Hodgarchy'ego, dostanie jeszcze większą fortunę. I już z nikim nie będzie się nią musiał dzielić... Właśnie uświadomiwszy sobie, jak to musiało być z polisą Whitehorna, zdobyłem zarazem pewność co do rzeczywistych poczynań naszego bohatera.

- Tak, to jest logiczne! Osoba, która celowo nie podjęła ubezpieczenia po alpinistcie, mogła mieć tylko taką motywację - zgodził się nadinspektor. - Kandydatów do tej roli było już tylko dwóch: Hodgarchy i Andrews. Ale Hodgarchy zmarł po roku, w przepisowym wrześnieowym terminie. Zatem czarnym charakterem musiał być Charles Belvedere Andrews... Ale jakim cudem na to wpadłeś, Jim?

Jednakże Brent nie zdążył już odpowiedzieć, bo właśnie wszedł do pokoju policjant z dużą zalakowaną kopertą w ręku.

- No, nareszcie mamy wyniki - ucieszył się Kevel rozerwawszy kopertę. - Przede wszystkim od lekarza... Śmierć między dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą piętnaście na skutek przebicia lewej komory serca ostrym narzędziem... Ogólny stan zdrowia denata był dobry... Żadnych więcej rewelacji nie ma... Ale, ale, masz rację z tym palcem! Rzeczywiście, był w nim kawałek metalu, który został zabezpieczony w laboratorium w Cardiff... Chcesz to obejrzyć, Jim? - zapytał nadinspektor nie wypuszczając z ręki świadectwa doktora Regana.

- Jeśli mam być szczerzy, wolałbym raczej ekspertyzę daktyloskopów.

Kevel zaczął grzebać w stosie papierów zalegających teraz biurko.

- O, więc jednak miałem rację! - wykrzyknął Kevel podnosząc

do oczu jeden z nich.

- No, co z tymi odciskami?

- Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany - powiedział nadinspektor. - To jest ekspertyza balistyczna. Chyba również powinien cię zainteresować fakt, że pocisk znaleziony w ścianie gabinetu został wystrzelony z rewolweru Andrews'a.

- Tak, to też jest istotne - zgodził się James. - Ale bądź tak uprzejmy i znajdź mi to, o co cię prosiłem.

Kevel odnalazł wreszcie właściwą kartkę i podał ją przyjacielowi.

Brent przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią w napięciu, wreszcie podniósł wzrok na swego rozmówcę.

- Bardzo dobrze - powiedział zadowolony. - Czy chcesz wiedzieć, kto i gdzie zostawił swoje wizytówki? Chętnie ci przeczytam...

Na sztylciecie brak jest jakichkolwiek odcisków. Biurka i krzesła dotykali Andrews, Maureen Denverley i Mary Barnes. To samo dotyczy filiżanek po czarnej kawie i srebrnej tacy. Na ekspresie do kawy są ślady Andrews'a i Mary Barnes. Na obu kieliszkach - Andrews'a, Maureen Denverley oraz Mary Barnes. Na liście od Hodgarthy'ego są wyraźne odciski Andrews'a, Maureen Denverley oraz jakieś stare, zatarte. Na okładce albumu nie ma żadnych odcisków, natomiast na rewolwerze wyłącznie odciski pozostawione przez właściciela. To samo na kominku, stojącym tam starym zegarze i na lampie biurkowej. Na klamkach okiennych zostały odciski Andrews'a i Mary Barnes. Na klamce od drzwi brak jest w ogóle śladów od wewnątrz, zaś od zewnętrznej strony znajdują się odciski ręki Mary Barnes.

- Nie wiem, z czego się tak cieszysz, Jim - twarz nadinspektora była teraz ponura jak chmura gradowa. - Przecież brak odcisków na sztylciecie oraz brak śladów pozostawionych przez Maureen Denverley na drzwiach do hallu wskazuje na pewną premedytację. To znaczy, że odciski te zostały wytarte, bo przecież przedtem być tam musiały.

- Naturalnie, że tak - zgodził się uprzejmie Brent.

- W takim razie przyznam się, że nie rozumiem cię zupełnie.

To znaczy nie rozumiem twoich reakcji... Wydawało mi się cały czas, że lubisz Maureen Denverley, co uważałem za zupełnie zrozumiałe. Trudno mi więc pojąć twój świetny humor w momencie, kiedy okazuje się, że ona...

- Ależ, człowieku, zrozum - przerwał mu bezceremonialnie Brent. - Zrozum, że ja nareszcie wiem, co, jak i dlaczego stało się wczorajszego wieczoru w Seaside Garden!

- Miło mi zauważyć, że prawda jest dla ciebie ważniejsza niż uczucia - trochę sucho powiedział nadinspektor. - To bardzo cenna właściwość, gdy się współpracuje z policją. Czy mógłbyś mi powiedzieć...

- Nie, nie mógłbym - uciał James po raz drugi. - Przynajmniej nie mógłbym teraz, bo jest za cztery minuty jedenasta. A ja, wbrew posądzeniu mnie przed chwilą o znieczulicę, naprawdę chciałbym, abyśmy zdążyli się zobaczyć z Dawsonem.

Rozdział szesnasty ZAMKNIĘTY KRĄG

Londyńskie biuro South Australian Airlines Co. mieściło się w centrum miasta. Jednakże rozległy gazon, którym otoczony był wysoki nowoczesny budynek, zapewniał mu odrobinę izolacji wśród zgiełku i tłoku City.

Portier w służbowym uniformie skwapliwie otworzył drzwi i dwaj mężczyźni znaleźli się w eleganckim hallu, pełnym światła dzięki otaczającym go szklanym ścianom. Wysoki, piegowaty młody człowiek z okienka z napisem „Informacja” udzielił właściwych wskazówek i po chwili szybkobieżna winda niosła ich na dwunaste piętro. Mieścił się tam gabinet, który został oddany do dyspozycji dyrektora Dawsona na czas jego krótkiego pobytu w Londynie.

- Dzień dobry pani - powiedział Kevel do przystojnej dwudziestokilkuletniej sekretarki. - Czy zastaliśmy pana dyrektora Dawsona?

Zamiast reklamowego promiennego uśmiechu, młoda kobieta obrzuciła ich kwaśnym, niechętnym spojrzeniem.

- Nie, dyrektor Dawson jeszcze nie przyszedł. Ale niepotrzebnie się panowie fatygowali. Pan Dawson już nikogo nie przyjmuje, bo zaraz wyjeżdża. Proszę się zwrócić do dyrektora naszej filii, pana Rogersa. Piętro niżej, pokój tysiąc sto jedenaście.

Sekretarka uważając sprawę za załatwioną odwróciła głowę w stronę przepisywanego tekstu i natychmiast rozległ się szybki klekot maszyny.

- Jedną chwileczkę, proszę pani - zaprotestował Stanley Kevel.

Wyjął z kieszeni legitymację i podsunął ją gorliwej młodej osobie.

- To właśnie ja telefonowałem do pani dziś rano. Niestety, musimy zająć panu dyrektorowi odrobinę jego cennego czasu. Czy można tutaj poczekać?

W tym momencie do sekretariatu wszedł wysoki, szczupły mężczyzna o pooranej bruzdami twarzy i siwych, gładko zaczesanych włosach. Mimo że dawno musiał już skończyć pięćdziesiąt lat, ruchy jego pozostały sprężyste, niemal młodzieńcze.

- Dzień dobry, Miss Gordon - uśmiechnął się miło do sekretarki. - Czy były do mnie jakieś telefony?

- Dzień dobry, panie dyrektorze. Tak, były, panie dyrektorze. Wszystkie służbowe przełączyłam do dyrektora Rogersa, ale jeden był specjalnie do pana. Z policji... - Dziewczyna mimowolnie ściszyła głos. - O, ci panowie tu stoją.

Dawson wykręcił się na pięcie i dopiero wtedy zauważył czekających.

- Panowie są z policji? I koniecznie do mnie? - Głos jego przepełniało zdumienie.

Stanley Kevel przedstawił siebie i przyjaciela, po czym powiedział:

- Bardzo mi przykro, że musimy panu zająć parę minut, ale sprawa jest poważna... Zresztą, myślę, że nie odmówi pan nam swej pomocy dowiedziawszy się, o co chodzi.

Starszy pan uważnie popatrzył na mówiącego zza szkieł w grubej rogowej oprawie.

- Nie powiem, żebym był tym zachwycony. Za dwie godziny wyjeżdżam z Londynu, a przedtem czeka mnie jeszcze załatwienie kilku spraw służbowych... Ale jeśli to rzeczywiście coś pilnego, naturalnie, służę panom. Lawrence R. Dawson otworzył drzwi i okrągłym gestem zaprosił gości do środka. Piękne, mahoniowe meble, na ścianach liczne fotograficzne migawki z najróżniejszych punktów kuli ziemskiej oraz wielka mapa obrazująca zasięg działalności kompanii od progu przekonywały wchodzącego, że znajduje się w gabinecie wysokiego dygnitarza dobrze prosperującej linii lotniczej.

- Proszę, siadajcie panowie - powiedział Dawson wskazując fotele stojące po drugiej stronie masywnego dyrektorskiego biurka, ustawionego tuż koło okna. Sam też zajął swoje miejsce naprzeciwko i popatrzył wyczekująco na nieoczekiwanych gości.

- Sprowadza nas do pana bardzo poważna sprawa, Mister Dawson - zaczął Kevel. - Ale zanim powiem, o co chodzi, pozwoli pan, że zadam kilka pytań. Nie chciałbym, aby udzielając odpowiedzi, sugerował się pan czymkolwiek.

- Hm, to trochę dziwne odwrócenie kolejności, ale proszę. Niech pan pyta - zgodził się dyrektor.

- Czy zna pan osobiście Miss Maureen Denverley, przybyłą niedawno do Anglii?

- Owszem. Znam ją zupełnie nieźle. Jakiś czas pracowała w Sydney u mojego przyjaciela i wtedy miałem okazję zetknąć się z nią kilkakrotnie. Lecieliśmy też razem do Londynu. To bardzo sympatyczna młoda osoba.

- A czy nie uważa pan jej za nerwową? Wybuchową? Czy pański przyjaciel nie miewał z nią tego typu kłopotów? Dawson wyglądał na zaskoczonego ostatnim pytaniem nadinspektora.

- Nigdy o niczym podobnym nie słyszałem. Zawsze byłem przekonany, że to spokojna, opanowana dziewczyna... A dlaczego, jeśli można wiedzieć, pyta mnie pan o jej usposobienie?

- Ubiegłej nocy zamordowano znanego londyńskiego przemysłowca w jego nadmorskiej posiadłości. Zapewne jego nazwisko nie jest panu obce. To Charles Belvedere Andrews,

filar naszego przemysłu lotniczego.

- Więc Andrews nie żyje?! Jakie to przykre.

- Czy znał go pan osobiście?

- Nie, tylko ze słyszenia. Nigdy nie zetknęliśmy się na gruncie zawodowym, ponieważ ja nie bywam w Londynie, a on prawdopodobnie nie przyjeżdżał do Sydney - wyjaśnił Dawson.

- Ale czyżby w związku z Andrewsem pytał mnie pan o Maureen Denverley?

- Tak - potwierdził Kevel. - W dniu morderstwa ta młoda osoba odwiedziła Charlesa Andrewsa w jego letniej siedzibie. Istnieją poważne podstawy, aby przypuszczać, że w krytycznej chwili znajdowała się ona w pobliżu ofiary.

- Myśli pan, że to ona go zamordowała? - Dawson z niedowierzaniem popatrzył na nadinspektora. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Niestety, jak dotychczas wszystko na to wskazuje - odparł Kevel. - Wiemy, że między Andrewsem a panną Denverley doszło do ostrej scysji, a niedługo potem inżynier został zamordowany... Dlatego pytałem pana o jej usposobienie. Przypuszczam, że poniosły ją nerwy i...

- Ale ja naprawdę nie mogę w to uwierzyć. - Australijczyk, w zamyśleniu potrząsnął głową. - Z tego, co wiem o Maureen Denverley, jest to najspokojniejsza osoba pod słońcem. - Nigdy nie wiadomo, co się może kryć pod pogodnym czołem - zauważył Kevel. - No cóż, szkoda, że nie dowiedzieliśmy się od pana niczego, co pozwoliłoby zrozumieć jej działanie.

- Ale, sądząc z pańskich słów, nie ma żadnych niezbitych dowodów na to, że mordercą jest rzeczywiście Miss Denverley? - upewnił się Dawson. - O ile dobrze zrozumiałem, nikt jej na gorącym uczynku nie złapał?

- Owszem, ale poszlaki są tak wyraźne... - Kevel rozłożył ręce gestem ubolewania.

- A zatem, czeka ją proces poszlakowy - zasępił się dyrektor. - To doprawdy okropna historia... Ale, ale, pan jest zdaje się jej krewnym, Mister Brent! Mam nadzieję, że postara się pan o dobrego adwokata. Może jednak uda się wyciągnąć z tego dziewczynę.

- Zapewniam pana, dyrektorze, że zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy. Dawson ze smutkiem popatrzył na Jamesa, a potem dyskretnie zerknął na zegarek. Nadinspektor zauważył to i podniósł się z fotela.

- Nie będziemy panu zabierać więcej czasu - powiedział. - Proszę wybaczyc, że przyszedliśmy tu w tak nieodpowiedniej dla pana chwili.

Dyrektor odparł, że to zupełnie zrozumiałe i że z pewnością zdąży jeszcze na swój samolot. Wymienił z Kevelem pożegnalny uścisk dłoni i nadinspektor skierował się do wyjścia.

Tymczasem Brent zatrzymał się przez chwilę przed ścianą, na której wisiała kolorowa panorama południowych Andów.

- Piękne zdjęcie - powiedział z uznaniem. - Czy to pańska produkcja, dyrektorze?

Dawson i Kevel ze zdziwieniem popatrzyli na mówiącego.

- Nie. Skądże znowu - zaprzeczył dyrektor. - Dlaczego to panu przyszło do głowy?

- Widziałem u Maureen Denverley album z pańskimi zdjęciami z Australii - wyjaśnił Brent. - Są bardzo piękne. Dawson zarumienił się lekko.

- Cieszy mnie, że się panu podobały. W wolnych chwilach zajmuję się trochę fotografią. To dobre odprężenie po pracy.

- A jakie obiekty lubi pan najlepiej fotografować? - spytał znów James. - Przyrodę? Architekturę? Ludzi?

- Och, to trudno powiedzieć - odparł dyrektor. - To już zależy od konkretnej sytuacji. Nie mam jakichś określonych preferencji. Stojący już przy drzwiach Kevel odchrząknął znacząco i z wyrzutem popatrzył na przyjaciela. Był zły, że wbrew elementarnym nakazom dobrego wychowania zachowuje się on jak na towarzyskiej pogawędce. Przecież dyrektor bynajmniej nie mógł być zachwycony tą przedłużającą się wizytą. James zdawał się jednak zupełnie tego nie dostrzegać.

- Bardzo lubię udane górskie panoramy. Takie jak ta tutaj - wskazał ręką na ścianę. - Sam niejednokrotnie próbowałem coś takiego sfotografować, ale, niestety, rezultaty były zawsze mizerne... A czy pan zajmuje się również fotografią górską,

Mister Dawson?

Dyrektor uśmiechnął się z wyraźnym przymusem. Widać było, że w gruncie rzeczy jest już zły.

- Nie, ponieważ nigdy nie bywam w górach. Cierpię na lęk przestrzeni. Może to zabrzmieć dziwnie w ustach dyrektora linii lotniczej, ale unikam również podróży samolotem. Dlatego przeważnie siedzę w Sydney. Lot do Londynu był moim pierwszym od wielu lat.

Brent odwrócił się od ściany i podszedł do biurka. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

- Cierpi pan na lęk przestrzeni? Nigdy bym się nie spodziewał usłyszeć tego od pana, Mister Whitehorn!

Dyrektor za biurkiem i Kevel przy drzwiach zamarli w bezruchu.

Przez chwilę panowała w pokoju niczym nie zmałconą cisza. Wreszcie przerwał ją Dawson.

- Pan się pomylił, Mister Brent! - powiedział sucho. - Nazywam się Lawrence Richard Dawson i do tej pory wydawało mi się, że jest pan o tym zupełnie dobrze poinformowany.

- Naturalnie, że tak, Mister Whitehorn - zgodził się James. - Wiem, że już od ładnych paru lat używa pan tego nazwiska.

Dawson wyprostował się w swoim fotelu. Spojrzenie jego szaroniebieskich oczu było nieomal lodowate.

- Sądzę, że zachowuje się pan niedopuszczalnie! Gdyby nie obecność funkcjonariusza policji, w tej chwili wyrzuciłbym pana z pokoju. Co w ogóle mają znaczyć te niezrozumiałe insynuacje? Brent usiadł naprzeciw wzburzonego dyrektora i najspokojniej w świecie zapalił papierosa.

- Drogi panie, nie bawmy się w ciuciubabkę - powiedział tonem łagodnej perswazji. - Przecież pan jest inteligentnym człowiekiem i w tej chwili dobrze sobie zdaje sprawę, że te moje, jak je pan nazwał, insynuacje, nie mogą być gołosłowne.

Brent wyjął z kieszeni zdjęcie i podał je dyrektorowi. - Bardzo łatwo jest pana zidentyfikować jako rzekomo zmarłego Cecila Whitehorna. Podobieństwo z młodym mężczyzną z tej fotografii byłoby oczywiście niewystarczającym dowodem, ale

przecież znalazłyby się pańskie inne, wyraźniejsze zdjęcia. Choćby w Królewskim Klubie Wysokogórskim czy w towarzystwie ubezpieczeniowym, nie mówiąc już o pańskim miejscu pracy do roku pięćdziesiątego siódmego... Żyją też jeszcze ludzie, którzy tu pana znali. Jedenaście lat to znów nie taki wielki szmat czasu.

Dawson z namysłem popatrzył na Jamesa. Wyjął z biurka fajkę, nabił ją starannie i też zapalił.

- Cóż, ma pan rację - powiedział wreszcie, wypuściwszy wielki kłęb dymu. - To rzeczywiście można udowodnić.

Kevel dopiero teraz odzyskał mowę. Szybko podszedł do biurka i zatrzymał się przed dyrektorem.

- Ależ to niesłychane! - wykrzyknął. - Więc pan jest Cecilem Whitehornem! Żałuję bardzo, ale w tej sytuacji musi pan odłożyć swój wyjazd i pozostać do dyspozycji policji aż do czasu wyjaśnienia tej sprawy.

- Tak, tak, naturalnie - niemal automatycznie zgodził się rzekomy Australijczyk. Jego oczy były nadal utkwione w twarzy Brenta.

- Jak pan na to wpadł? James uśmiechnął się lekko. - Oglądając pański prezent dla panny Denverley zwróciłem uwagę, że dedykację napisał pan pismem technicznym. To było dosyć niecodzienne. Dwa dni później, już po śmierci Andrews, znalazłem u niego inny album, który nieboszczyk dostał od swego przyjaciela Whitehorna i w którym poprzednio widziałem wypisaną dedykację. Fakt, że stronica ta była teraz wydarta, skojarzył mi się z dedykacją w albumie Miss Denverley. Wtedy zapragnąłem poznać osobiście człowieka, który ma tak niewyraźny charakter pisma lub też tak bardzo nie lubi go ujawniać.

Dyrektor lekko wzruszył ramionami.

- Nie powie mi pan, że na tak wątej podstawie doszedł pan do swoich zdumiewających wniosków

- Ależ nie - przyznał James. - To tylko wzbudziło moje zainteresowanie i odpowiednio ukierunkowało uwagę. Jak poprzednio powiedziałem, już wtedy znałem alpejskie zdjęcia Whitehorna. Uważnie obejrzałem więc australijski album i

znalazłem liczne podobieństwa, pomimo że istotnie nie było tam ani jednego zdjęcia z gór. Ja też znam się trochę na fotografii, Mister Whitehorn, a pan jest w tej dziedzinie zbyt dużą indywidualnością, aby nie zostawił pan swego charakterystycznego piętna. Piętna, które można rozpoznać niezależnie od tematyki, którą się pan zajmuje... Potem przypomniałem sobie, że ze zmarłych członków klubu samobójców tylko pańskiego ciała nie odnaleziono. W tym momencie wnioski były już dziecinnie proste.

- Powiedział pan coś o klubie samobójców? Co to ma znaczyć?

- Mister Whitehorn, proszę mi wierzyć, że znam całą prawdę od początku do końca. Znam i mogę to udowodnić. Nadinspektor Kevel dysponuje wystarczająco dużą ilością materiałów obrazujących ową makabryczną zabawę, jaką wraz z tymi ludźmi na zdjęciu uprawiał pan w latach pięćdziesiątych.

- Więc pan wszystko wie - powiedział Whitehorn bezbarwnym głosem.

- Wystarczająco dużo, aby przekonać o tym każdego sędziego - odparł James. - Mam jednak parę drobnych pytań, które chętnie bym panu zadał. Oczywiście nie musi pan na nie odpowiadać, ale to raczej nie zmieni pańskiej sytuacji.

W tym momencie zadzwonił telefon. Dyrektor podniósł słuchawkę.

- Nie, nie wyjeżdżam, panno Gordon... Proszę odesłać samochód i nadać dalekopis do Sydney, że z ważnych powodów zostaję w Londynie... Nie, bez podania następnego terminu wyjazdu... Tak, to wszystko. Dziękuję pani. Whitehorn położył mikrotelefon na widełkach i znów podniósł wzrok na Brenta.

- Co chciałby pan wiedzieć?

- Jest dla nas oczywiste, że propozycja założenia klubu samobójców wyszła od pańskiego byłego dowódcy. Chcielibyśmy jednak usłyszeć, kiedy i jak to się stało.

- Na jednym z dorocznych spotkań naszej jednostki - odparł dawny komandos. - Zżyliśmy się w latach wojny i potem, po zawieszeniu broni, cała nasza szóstka postanowiła utrzymywać ze sobą kontakt. Rokrocznie, zawsze w marcu, spotkaliśmy się

u Christophera Hogarthy'ego który miał najlepsze warunki lokalowe. Nie wiem, skąd panowie wiedzą, że właśnie Andrews wpadł na pomysł tej historii z ubezpieczeniami, ale było tak rzeczywiście. Żadnemu z nas nie wiodło się wtedy najlepiej i chętnie na to przystaliśmy. To było w marcu pięćdziesiątego czwartego roku.

- Czy coroczne losowania też odbywały się u Hodgarthy'ego?

- Tak. Co roku, w pierwszą sobotę września.

- Sądzę, że zawsze losowaliście alfabetycznie, prawda?

- Tak - Whitehorn był teraz zdziwiony. - Skąd pan to wszystko wie? Czy rozmawiał pan na ten temat z Andrewsem?

- Nie, nie rozmawiałem - zaprzeczył James. - Jednakże inaczej być nie mogło... Ale niech pan nam powie, jak to było z pańską wycieczką na Poire. Wiemy tylko, że przedtem, w ostatnim losowaniu, wyciągnął pan los śmierci, zaś Andrews los spadkobiercy. A propos! Jakim numerem oznaczony był los spadkobiercy?

- Pierwszym.

- No dobrze. Więc pan zostawił odpowiednio zredagowany testament i wyjechał do Courmayeur, żeby udać się na swoją ostatnią samotną wspinaczkę...

Brent urwał i pytająco spojrzął na byłego alpinistę.

- Owszem. Istotnie tak było - zaczął Whitehorn. - I rzeczywiście zamierzałem popełnić samobójstwo. Wydawało mi się, że nie jestem zbyt przywiązany do tego padolu, a moje życie nie układało się najszcześliwiej... I wtedy, już w ścianie, stała się rzecz zaskakująca. Nie wbiłem dobrze haka i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, poleciałem kilkadziesiąt stóp w dół. Zatrzymałem się o cale przed głęboką lodowcową rozpadliną. Jeszcze dziś pamiętam tamto moje wrażenie... Nagle zrozumiałem, jak bardzo boję się śmierci i jak bardzo chcę żyć. Moja dość nędzna egzystencja stała się nagle cenna i pożądana. Ale przecież nie mogłem do niej wrócić. Co powiedzieliby Andrews i Hodgarthy? Do tej pory żaden z nas jeszcze nie stchórzył. Po krótkim namyśle postanowiłem upozorować wypadek. Stworzyłem pozory, że porwała mnie lawina śnieżna. Sam skończyłem wędrówkę i przez Grand Plateau zszedłem do

Chamonix. Niebawem znalazłem się w Mediolanie. Poszedłem do jakiejś podejrzanej wyglądającej tawerny i tam zwierzyłem się bufetowej, że zbiegłem z francuskiego więzienia. Poprosiłem ją o inne ubranie i pomoc w wydostaniu się z Europy. Ta kobieta skontaktowała mnie z tamtejszym światkiem przestępczym. Oni wystarali mi się o fałszywe dokumenty, dali trochę pieniędzy i w Genui wsadzili mnie na statek odchodzący do Australii.

Po przyjeździe przepracowałem kilka miesięcy jako robotnik portowy, a później, uzyskawszy już dokumenty na nazwisko Lawrence Richard Dawson, znalazłem pracę biurową w Sydney. Dzięki znajomości języków obcych i posiadanemu wykształceniu zacząłem powoli uzyskiwać coraz lepsze stanowiska. Aż wreszcie, przed pięcioma laty, doszedłem do obecnej pozycji. - Czy interesował się pan dalszymi losami klubu samobójców?

Whitehorn potrząsnął głową.

- Nie, nigdy! Moim marzeniem było już nikogo z nich nie spotkać, nie wracać do tamtej okropnej i głupiej historii sprzed lat. Zresztą to nie było trudne do zrealizowania. Australia leży tak daleko od Anglii.

- A czy nigdy nie musiał pan tu bywać służbowo?

- Nie, kontakty z filiami były w gestii innego dyrektora. Zresztą wszyscy wiedzieli, że mam lęk przestrzeni i wolę z tego powodu nie latać. Niestety, ostatnio mój kolega rozchorował się i byłem zmuszony przylecieć tu za niego. Zrobiłem to bardzo niechętnie. Jak widać, moje obawy były uzasadnione.

- I aż do przyjazdu tutaj nic pan nie wiedział, jak potoczyły się dalej losy dwóch pozostawionych w Anglii towarzyszy?

- Niezupełnie. Mimo oddalenia wiedziałem o wypadku Hodgarchy'ego na torze wyścigowym. Doszły mnie też słuchy o wspaniale rozwijającej się karierze Andrewsa.

- A właśnie. A propos Christophera Hodgarchy'ego - ożywił się Brent. - Czy spotkawszy w Sydney Maureen Denverley rozpoznał pan w niej pasierbicę dawnego przyjaciela?

- Nie. Przynajmniej nie od razu. Kiedy bywałem w Timbergate, ona była zupełnie małą dziewczynką. Kiedyś

jednak mój przyjaciel notariusz coś powiedział o jej rodzinie i wtedy przypomniałem ją sobie z tamtych lat.

- No, a gdy spotkaliście się w samolocie?...

- Tak. Wtedy Maureen Denverley opowiedziała mi dokładniej o swojej sytuacji. Mówiła o śmierci matki, ojczyma, otrzymanym spadku i o Andrewsie, dobrym przyjacielu ojczyma, który miał jej pomóc urządzić się po powrocie do kraju.

- I ta sympatyczna postać opiekuńczego wujaszka niezbyt się panu spodobała, tak?

- Dlaczego miałyby mi się nie podobać? - zdziwił się Whitehorn. - Oczywiście, wiedziałem, skąd się wzięły pieniądze, dzięki którym Andrews zrobił karierę, ale jego opiekuńcze podejście do Miss Denverley potraktowałem wtedy jako akt ekspiacji.

Brent pochylił się do przodu i z napięciem wpatrywał się w mówiącego.

- Powiedział pan „wtedy”, Mister Whitehorn. A zatem później stało się coś, co zmieniło pańskie nastawienie do byłego dowódcy. Co to takiego było?

- Chwyta mnie pan za słowa, Mister Brent - odparł niechętnie dyrektor.

- Już wiem! - wykrzyknął James. - Spotkał pan Maureen Denverley w Londynie, kilka dni po przyjeździe. To musiała być jej pierwsza w stolicy bytność po podjęciu spadku. Ta sama, podczas której ja ją poznałem. Maureen Denverley opowiedziała panu o swoich wątpliwościach i niepokojach... Nie myłę się, prawda?

- Nie, nie myli się pan. Rozmawialiśmy wtedy dość długo i Miss Denverley opowiedziała mi o swych pierwszych dniach w Timbergate, w tym również o liście, jaki przed śmiercią napisał do niej ojczym. Ta dziewczyna nie mogła wiedzieć, dlaczego Hodgarthy miał złe przeczucia ani też przed kim ją w istocie ostrzegał. Ale dla mnie te słowa zabrzmiały jak sygnał alarmowy. Zrozumiałem, że musiało dojść do jakiegoś spięcia pomiędzy Hodgarthy'm a Andrewsem. Wyglądało na to, że Christopher nagle stracił zaufanie do swego przyjaciela. Ale

mimo to nie cofnął się przed popełnieniem samobójstwa. Więc co właściwie między nimi zeszło?

- I wtedy postanowił pan złamać dane sobie słowo, aby nigdy w życiu nie wracać do sprawy klubu samobójców - powiedział wolno Brent.

- Tak - odparł ponuro Whitehorn. - W tym momencie popełniłem największe głupstwo od czasów, kiedy brałem udział w tamtej szkodliwej i idiotycznej grze.

- Czy osobiście odwiedził pan towarzystwa ubezpieczeniowe?

- Nie. Chciałem zachować wszelkie środki ostrożności. Wymyśliłem jakąś bajeczkę i poszedłem do prywatnej agencji detektywistycznej...

- ... poprzez którą dowiedział się pan, że Hodgarchy pozostawił Andrewsowi dwieście tysięcy funtów, natomiast pańskie ubezpieczenie nigdy nie zostało podjęte - dokończył za niego Brent.

Whitehorn popatrzył na niego zdumiony.

- Doprawdy, nie wiem, jakim cudem orientuje się pan tak dokładnie w tych sprawach.

- Och, to po prostu kwestia wprawy - powiedział lekko James.

- A czy domyśla się pan, dlaczego Charles B. Andrews zniszczył pański testament? A może właśnie o to zapytał go pan osobiście?

Dyrektor wyglądał, jakby zamienił się w słup soli.

- Pan mówi, że Andrews zniszczył mój testament? - wyjąkał wreszcie.

- Przecież to jasne - James Brent miał taką minę, jakby mówił o sprawach zgoła trywialnych. - Andrews specjalnie zniszczył pański testament wyłącznie po to, by policja nie deptała mu po piętach, gdy już po śmierci Hodgarchy'ego zrealizuje do końca ów nikczemny cel, jaki sobie postawił kilka lat wcześniej... On was wszystkich oszukał, Mister Whitehorn. Te samobójstwa były właściwie morderstwami.

- Co za kanalia! - Whitehorn powiedział to z pozoru cicho, ale ileż ukrytej pasji zabrzmiało w jego głosie. - Teraz rozumiem, dlaczego tak zareagował, kiedy... - umilkł nagle nie dokończywszy zdania.

- ... kiedy zapytał go pan o swoją polisę - znów dopowiedział za niego James. - Współczuje panu, naprawdę współczuję panu serdecznie, Mister Whitehorn. Pański były dowódca był prawdziwym potworem!

- Co to ma znaczyć? O czym mówisz, Jim? - zaniepokoił się nagle Kevel nie biorący dotąd udziału w rozmowie.

- Cóż, to się, niestety, dłużej nie do ukryć - powiedział Brent, ale w jego głosie nie było ani odrobiny satysfakcji. - Już od paru godzin wiem, kto zabił Andrews.

- Więc to pan jest jego mordercą, Mister Dawson?! Chciałem powiedzieć, Mister Whitehorn? - Nadinspektor w kompletnym osłupieniu wpatrywał się to w Brenta, to w Australijczyka.

- Tak, to ja go zabiłem - w postawie Whitehorna była teraz jakaś ponura determinacja. - I powiem panom, że w tej chwili bynajmniej tego nie żałuję. Nie wiedząc jeszcze o prawdzie, pomściłem i siebie, i moich zmarłych kolegów.

- Ale jak to się stało? Przecież nikt tam pana nie widział - nie mógł zrozumieć Kevel. - I skąd ty, Jim, o tym wiedziałeś?

- Przede wszystkim pozwólmy mówić najlepiej zorientowanej osobie. Jakże to było, Mister Whitehorn? Czy zechce nam pan to opowiedzieć? - powiedział Brent łagodnym tonem.

- Opowiem panom. Teraz to już nie ma najmniejszego znaczenia.

Whitehorn jeszcze raz nabił fajkę i rozpoczął swoją relację.

- Chciałbym, aby panowie uwierzyli mi, że nie miałem najmniejszego zamiaru krzywdzić mego byłego dowódcy. Bynajmniej nie podejrzewałem go o wystrychnięcie nas na dudka. Intrygowały mnie tylko dwie rzeczy; niejasne podejrzenia Hogarthy'ego i historia mojej polisy. Właśnie o to postanowiłem Andrews zapytać. Dyrektor przerwał i zagapił się na coś za oknem.

Raz i drugi zaciągnął się aromatycznym dymem. Wreszcie podjął wątek opowieści.

- Realizacja tego spotkania nie była dla mnie rzeczą prostą. Nie chciałem tego robić w Londynie z obawy przed niepożądanymi świadkami. Zależało mi na zachowaniu zupełnego incognito. Nawet Andrews nie mógł się zorientować,

co robię w Londynie... Z pomocą przyszedł mi prosty przypadek. W środę przed południem zatelefonowała do mnie Miss Denverley. Spotkaliśmy się na malej kawie i wtedy dowiedziałem się o jej projektowanym wyjeździe do Seaside Garden. Korzystając z tej informacji, postanowiłem tam pogadać z Andrewsem, gdy już będzie sam. Po południu, zamiast jak zwykle wrócić do hotelu, wsiadłem w samochód i pojechałem do Seaside Garden. Przedtem sprawdziłem na mapie możliwości dojazdu i wybrałem nieuczęszczaną drogę po stronie przeciwnej niż Rotterbury. Samochód zostawiłem w lasku i przez skaliste nabrzeże, gdzie nie było już żadnej drogi, dotarłem do ogrodzenia posiadłości Andrews. To była trochę wspinaczka, ale dla mnie nie aż tak trudna. Natomiast gwarantowała ona, że nie spotkam po drodze nikogo z okolicznej ludności. Za ogrodzeniem zauważyłem w pewnym miejscu kępę drzew i krzewów. Tamtędy więc przelazłem przez parkan i ukryłem się w gąszczu. Zapadał właśnie zmrok. Nagle, kilka jardów ode mnie, zobaczyłem rozmawiających dwóch ludzi. Podczołgałem się do nich. Jednym z nich był pan, Mister Brent. Rozmawialiście cicho, ale ja mam bardzo dobry słuch. Z waszej rozmowy dowiedziałem się, że w gabinecie Andrews nie ma akurat nikogo. Kiedy więc odeszliście, prześliznąłem się do tylnego wejścia i wszedłem do domu. Łatwo znalazłem właściwe drzwi które, na moje szczęście, nie były zamknięte na klucz. Wszedłem do pokoju i postanowiłem zaczekać na Andrews. Rozejrzałem się i wtedy na półce z książkami zobaczyłem ten alpejski album. Nie zdążyłem go jednak otworzyć, bo nagle usłyszałem w korytarzu kroki i rozmowę Andrews z Miss Denverley. Skoczyłem do okna i schowałem się za kotarą. Przeżyłem chwilę strachu zaraz po ich wejściu, bo Andrews podszedł do okien i zaczął je zamykać. Bałem się, że mnie zobaczy, jeśli zechce zasunąć zasłony. A spotkanie z nim w obecności Miss Denverley byłoby w najwyższym stopniu niepożądane... Na szczęście jednak Andrews nie ruszał zasłon, natomiast zamknął zewnętrzne okiennice. Potem usiadł i zaczął rozmawiać ze swym gościem.

- Więc pan był świadkiem tej sceny od początku do końca! -

wykrzyknął Kevel.

- Tak. To, co Andrews powiedział o Hodgarchy'm było w najwyższym stopniu niesmaczne. To była wręcz nikczemność!

- Jak na to zareagowała panna Denverley? - spytał z przyzwyczajenia nadinspektor.

- Prawie że się rozpląkała - odparł Whitehorn. - Ale ta osóbką też ma temperament! Dość dosadnie powiedziała Andrewsowi, co myśli o jego stosunku do jej ojczyma. Krzyczała na głos. Na to Andrews powiedział, żeby się zaraz wynosiła, i dziewczyna z płaczem wybiegła z gabinetu.

Brent rzucił Kevelowi triumfujące spojrzenie, ale szybko zwrócił znów wzrok na mówiącego dalej Whitehorna.

- Myślą panowie, że ta kanalia przejęła się ową sceną? Nic podobnego! Ledwo Maureen Denverley zniknęła za drzwiami, on przyglądał lekko włosy i najspokojniej w świecie zaczął regulować stojący na kominku zegar.

- A widzisz, Stan? Nie miałem racji? - wyrwało się Jamesowi.

- Co pan powiedział? - spytał dyrektor.

- Ach, nic, nic. To zupełnie inna historia - Brent zbagatelizował swoją poprzednią uwagę. - I co było dalej?

- Przyznam się, że dosyć zdenerwowała mnie ta scena. Wyszedłem więc zza kotary i coś powiedziałem na temat traktowania młodych dam. Andrews przeraził się. Wyglądał, jakby zobaczył ducha... No tak, przecież był pewien, że nie żyje od lat. „To ty, Whitehorn? - wystękał wreszcie.

- Skąd się tu wzięłeś?". Powiedziałem mu, że specjalnie zmartwychwstałem, żeby dowiedzieć się, dlaczego nie podjął mojego ubezpieczenia. Ale Andrews już się opanował. Roześmiał się jakoś nieprzyjemnie. Szybko podszedł do biurka i powiedział: „*Więc po to zmartwychwstałeś? To wielka nieostrożność z twojej strony. Ja uważam, że zaświaty są najlepszym miejscem dla nieboszczyka*". Błyskawicznie wyciągnął rewolwer, ale ja już byłem przy nim. Podbiłem mu rękę. Kula świsnęła tuż koło mojego ucha i utkwiała gdzieś w ścianie. Dalej wszystko stało się nagle. Bardziej poczułem, niż zdążyłem pomyśleć, że grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo. Chwyciłem nóż, który leżał na biurku i uderzyłem. Musiałem

trafić w serce, bo upadł natychmiast. Przyłożyłem mu do ust lusterko i stwierdziłem, że nie żyje... Dopiero potem zacząłem myśleć. Zrozumiałem, że jeśli ktoś teraz wejdzie, jestem zgubiony. Kto uwierzyłby, że działałem w obronie koniecznej? Przed wyjściem musiałem jednak zatrzeć ślady swej wizyty. Za pomocą chusteczki przekręciłem więc klucz w zamku i rozejrzałem się po pokoju. Następnie ostrożnie otworzyłem szufladę biurka i wrzuciłem do niej rewolwer. Starannie wytarłem rękojeść sztyletu. Wreszcie wyjąłem album, który przed wejściem Andrews'a zdążyłem dotknąć. Chciałem tylko wytrzeć okładkę, ale zobaczyłem wewnątrz moją odręcznie napisaną dedykację oraz wycięty z czasopisma artykuł o mojej śmierci w Alpach. Wydarłem więc pierwszą stronę, zabrałem wycinek z gazety, po czym odstawiłem książkę na półkę. Teraz już mogłem odejść. Przy drzwiach wytarłem ślady moich palców z klamki i szybko opuściłem dom tą samą drogą, którą przyszedłem. Nie spotkałem nikogo i myślę, że mnie też nikt nie widział. Potem wróciłem prosto do Londynu. To wszystko.

- Czegoś takiego domyślałem się - powiedział Brent - chociaż sądziłem, że działał pan z zemsty, a nie we własnej obronie. Jednak wierzę panu bez zastrzeżeń. To bardzo pasuje do Charlesa Andrews'a! Musiał chcieć pana zabić, skoro nie tylko był pan reliktem jego niesławnej przeszłości, ale i koronnym świadkiem nowego, zaplanowanego przezeń morderstwa.

- Nowego morderstwa? A kogo znów chciał zabić?

- Maureen Denverley, oczywiście. Ale na szczęście mu się to nie udało.

- Nie, doprawdy, widzę, że wykonałem nader pożyteczną pracę uwalniając świat od osoby tego pana.

Stanley Kevel lekko odchrząknął. Wiedział, że mimo wszystko musi spełnić swój obowiązek.

- Żałuję bardzo, Mister Whitehorn, ale muszę pana poprosić o udanie się z nami.

Były alpinista popatrzył na niego z roztargnieniem.

- Tak, oczywiście. Zaraz będę do panów dyspozycji. Przymknął oczy i jeszcze raz zaciągnął się dymem z fajki. Wreszcie wstał i jakby wyczekująco popatrzył na obu mężczyzn.

Kevel i Brent podnieśli się ze swych foteli.

Nagle Whitehorn zrobił gwałtowny ruch w stronę otwartego okna. W ułamku sekundy zobaczyli jego nogi nad parapetem i zaraz znikł im z oczu. Nadinspektor rzucił się do okna. Daleko w dole zobaczył ciemny, znieruchomiwały kształt, odbijający się od zielonego trawnika.

- Jim, on skoczył z dwunastego piętra! Nawet nie będzie co zbierać.

- Przecież przed chwilą powiedział, że zaraz będzie do naszej dyspozycji. To najbardziej makabryczny dowcip, jaki zdarzyło mi się słyszeć - mruknął ponuro Brent.

- Ale dlaczego on to zrobił? Przecież w tej sytuacji nie dostałby dużego wyroku.

- Ale i tak czekałoby go więzienie, a przedtem proces i kompromitacja. W dodatku wyszłaby na jaw niechlubna afera ubezpieczeniowa. Brent potrząsnął głową.

- Nie, to wszystko nie było dla Whitehorna. Sam widziałeś, jak bardzo cenił on swą pozycję i prestiż. Mając do wyboru kompromitację i śmierć, zawsze wybrałby to drugie wyjście. Prawdopodobnie zdecydował się na to, gdy tylko dowiedział się, że wiem, kim jest naprawdę... W ten sposób krąg samobójców zamknął się ostatecznie, a razem z nim twoje śledztwo.

Kevel znów wyjrzał przez okno.

Wokół samobójcy zebrała się już grupa ludzi.

- Merytorycznie masz rację, ale czeka mnie jeszcze sporo formalności. Muszę też zaraz zająć się tym biedakiem.

- Idź więc do swoich obowiązków, Stan. A jutro, jak już będziesz wolniejszy, przyjeźdź do Timbergate. Maureen Denverley należy się od ciebie dobre słowo.

Rozdział siedemnasty „PRZECIWI SOBIE SAMYM”

James Brent uważnie przysłuchiwał się wywodom swej małżonki, ale figlarny uśmiech błąkał się w kąciку jego ust.

- Naturalnie, masz rację, moja droga. Ale... jest pewien drobiazg, który nie pozwala mi spełnić natychmiast twojej słusznej skądinąd prośby. Drobiazg, o którym powinnaś zresztą pamiętać. Osobom postronnym nie udziela się żadnych informacji przed zakończeniem śledztwa.

- Ależ, Jim! - zaprotestowała Anna. - Przecież zaraz po przyjeździe powiedziałeś...

- Co powiedziałem, to powiedziałem. Byłyście obie tak zdenerwowane, że musiałem was jakoś uspokoić. Jednak nie usłyszycie ode mnie ani jednego słowa więcej, dopóki nie zjawi się tu Stanley Kevel. Przecież telefonował, że będzie o piątej. Wytrzymaj jeszcze te kilka minut.

Anna Brent westchnęła z rezygnacją. Upór Jamesa знаła od lat.

- Nic nie pomoże, Maureen - zwróciła się do kuzynki. - On będzie milczał jak głaz. Z braku lepszego zajęcia, chodźmy zatem przygotować popołudniową herbatę. Twoja pomocnica ma dzisiaj, zdaje się, wolny dzień.

Kobiety zniknęły w głębi domu i Brent leniwie wyciągnął się na leżaku. Przyjemnie było w zaciszu tego starego, pachnącego latem ogrodu. „Może powinienem kupić taki domek w kwiatkach, w ładnej okolicy? George byłby tym na pewno zachwycony, a Anna wychowała się przecież na wsi... Tak, to całkiem niegłupi pomysł...”

Z sielskich rozmyślań wyrwał go rosnący warkot silnika. Po chwili samochód zatrzymał się przed gankiem. James wstał i podszedł przywitać się z Kevelem.

- Widzę, że ciebie ogarnęło już beztrioskie lenistwo - powiedział nadinspektor. - Ja natomiast pracowałem od wczesnego rana. Dwie godziny temu wstałem od maszyny. Ale wstępny raport skończony.

- W takim razie można już uchylić rąbka tajemnicy? Kobiety o mało mnie nie zameczyły.

- Prawdę mówiąc, trudno im się dziwić - zauważył Kevel. - Ja sam chętnie usłyszałbym od ciebie kilka wyjaśnień.

- Chodźmy zatem - Brent ujął przyjaciela pod rękę. - Czeka nas herbata i pogodna, towarzyska konwersacja.

Obie panie zastali w salonie. Długi, niski stolik nakryty był do podwieczorku. Na kolorowej, ręcznie haftowanej serwecie stały cztery biało-granatowe filiżanki, także talerzyki oraz świeżo upieczone domowe ciasteczka.

Zobaczywszy nadinspektora, Maureen wyraźnie się zarumieniła. Kevel też był nieco zmieszany.

- Bardzo mi przykro z powodu naszej ostatniej rozmowy, Miss Denverley - powiedział podchodząc do dziewczyny.

- Niech się pani nie gniewa, ale naprawdę wszystko w tym śledztwie zdawało się wskazywać na pani winę. Sam nie wiem, jakim cudem James domyślił się prawdy.

- My usiłujemy wydobyć to z niego od samego rana - powiedziała Anna Brent. - Ale Jim milczy jak zakłęty. Może pańska obecność i zaparzona przez Maureen herbata rozwiążą mu wreszcie język.

Panna Denverley napełniła filiżanki ciemnoczerwonym płynem, nad którym falowała mgielka pary.

- Skoro o herbacie mowa, proszę, siadajcie państwo. Wszystko gotowe. Czy pan słodzi, Mister Kevel?

- Nie, nie. Poproszę tylko odrobinę mleka. O tak, dziękuję pani.

- No, Jim - odezwał się nadinspektor upiwszy łyk herbaty. - Oczy świata zwrócone są na ciebie. Opowiedz, w jaki sposób domyśliłeś się, że mordercą Andrews'a był Whitehorn, a nie nasza przemiła gospodyni.

- Właściwie to było bardzo proste i dziwię się, że od razu na to nie wpadłem - powiedział Brent. - Jeden szczegół w gabinecie Andrews'a świadczył, że Maureen Denverley jest zupełnie niewinna.

- Jaki szczegół? - zdziwił się Kevel.

- Zegar na kominku. Przecież kiedy przyjechaliśmy do Seaside Garden, zegar chodził i wskazywał właściwą godzinę.

- Nie rozumiem cię - nadinspektor zmarszczył brwi usiłując rozszyfrować myśl przyjaciela.

- No tak - kiwnął głową Brent. - Zgodziliśmy się przecież co do tego, jak miało wyglądać zaplanowane przez Andrews'a morderstwo na osobie Maureen Denverley.

- Andrews chciał mnie zamordować?! - Dziewczyna z przestraczem spojrzała na mówiącego.

- Tak, tak. Radzę pani wziąć zaraz proszek uspokajający, Maureen. Inżynier Andrews żywił wobec pani bardzo brzydkie zamiary.

- Ale dlaczego, na miłość boską? - zawołała Anna.

- Darujcie, nie mogę jednocześnie odpowiadać na wszystkie pytania - stanowczo zaprotestował James. - Zajmijmy się najpierw przebiegiem wypadków tamtego wieczora w Seaside Garden.

Tuż przed kolacją Andrews specjalnie posunął piętnaście minut naprzód zegar na kominku w gabinecie, a następnie, gdy wrócił tam z Maureen, za pomocą listu wywołał gwałtowną sprzeczkę. Wszystko wyłącznie po to, aby panna Denverley opuściła jego dom punktualnie o dwudziestej pierwszej czterdzieści. Ale zegar na kominku wskazywał za pięć dziesiątą, więc Maureen chcąc zdążyć na pociąg, wybrała drogę nad morzem. Drogę, która skazywała ją na niechybną śmierć, bo podnosząca się fala przyływu zmyłaby ją w pewnym momencie do morza bez żadnej możliwości ratunku. Wiedziałem o tym zawczasu i dlatego Miss Denverley spotkała mnie na początku tej ścieżki.

- Och, więc to tak -- westchnęła Maureen z przerażeniem i podziwem patrząc na swego wybawcę.

- Oczywiście, gdyby Miss Denverley utopiła się - ciągnął dalej Brent - policja w pierwszym rzędzie przesłuchałaby Andrews'a i jego służbę. Dlatego inżynier musiał sobie zapewnić alibi. W tym celu była ta cała kombinacja z zegarem.

Po wyjściu Maureen Andrews powinien był natychmiast zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze - przestawić zegar na właściwą godzinę, po drugie - wezwać pokojówkę, aby zabrała do mycia ekspres i brudne naczynia. Mary Barnes weszłaby do jego gabinetu, stwierdziłaby, że gość już wyszedł i potem z czystym sumieniem świadczyłaby, że Miss Denverley opuściła Seaside Garden o dwudziestej pierwszej czterdzieści, więc powinna była zdążyć na pociąg bezpieczną drogą przez gościniec.

- Co za przebiegła bestia - szepnęła Anna Brent.

- Rzeczywiście, to było pomysłowe. Na szczęście, ja nie jestem gorszy w tej konkurencji - powiedział skromnie James. - Ale wróćmy do gabinetu w Seaside Garden. Załóżmy na chwilę, że Maureen poniosły nerwy i to ona zamordowała niczego z jej strony nie podejrzewającego Andrewsa. Jaki widok zastalibyśmy nazajutrz? Oczywiście zegar na kominku nadal śpieszyłby się piętnaście minut, bo, jak wiemy, pokojówka niczego tam nie dotykała. A Maureen jako morderca nie miałaby najmniejszego powodu, aby ów zegar regulować. Ten zegar powinien być od razu skreślić Maureen Denverley z listy podejrzanych, nie mówiąc już o innych, później ujawnionych dowodach jej niewinności.

- A co jeszcze świadczyło na moją korzyść?

- Analiza daktyloskopowa. Brak było odcisków pani I Andrewsa na albumie alpejskim, który na moich oczach wręczyła pani Andrewsowi. On oczywiście mógł ten album zniszczyć, ale wycieranie okładki z odcisków byłoby w jego przypadku bezsensowne. Pani też nie miała najmniejszego powodu, aby to robić. To samo tyczy się klamki u drzwi do gabinetu. Znalaziono wyłącznie odcisk ręki pokojówki i to tylko od strony zewnętrznej. A Mary Barnes sprzątała gabinet w dniu morderstwa o godzinie dziesiątej rano i potem na pewno nie wycierała już klamki. Zatem powinny na niej być odciski palców pani i Andrewsa. Żadne z was nie starłoby ich, bo inżynier był przecież w swoim własnym domu, a pani nawet gdyby go zamordowała, też nie wycierałaby klamki. W końcu pani wizyta w Seaside Garden dla nikogo nie była tajemnicą. Tak, Miss Denverley jako morderca mogłaby zetrzeć odciski wyłącznie ze sztyletu, którym się posłużyła. Fakt, że gdzie indziej też brakowało śladów, świadczył o jej niewinności. Znaczyło to bowiem, że już po jej wyjściu musiał je wytrzeć ktoś inny. Oczywiście był to właściwy morderca Andrewsa.

- Tak, to jest logiczne - zgodził się Stanley Kevel. - Ale cóż za zbieg okoliczności, że morderca zadziałał natychmiast po wyjściu Miss Denverley. Dowiedziawszy się, o której zginął Andrews, nie widziałem praktycznie żadnej możliwości znalezienia innego kandydata do roli mordercy.

- A jednak to również dawało się odczytać z pierwszych naszych ustaleń w Seaside Garden.

Brent strzepnął popiół z papierosa i przekornie popatrzył na przyjaciela.

- Powiedziałem już, że po wyjściu Maureen Denverley, Andrews natychmiast powinien był zrobić dwie rzeczy. Jednakże zrobił tylko pierwszą, to jest przestawił zegar. Nie wezwał natomiast pokojówki, chociaż leżało to w jego najbardziej żywotnym interesie. Zauważyłeś, Stan, że nikt ze służby nie wiedział na pewno, o której wyszła Miss Denverley? No, a w myśl koncepcji Andrews, służba musiała być o tym poinformowana jak najdokładniej!

- Zatem - powiedział nadinspektor - morderca musiał się zjawić pomiędzy pierwszą a drugą czynnością Andrews. I rzeczywiście tak było.

- Jest jeszcze ta kula w ścianie - przypomniał Brent. - Pamiętasz, Stan, jak mówiłeś, że tobie ona też do niczego nie pasuje? I słusznie, bo w przebiegu spotkania: Maureen-morderca i Andrews-ofiara nie było miejsca na żadne strzały. Również nie można przyjąć, że Andrews po południu sprawdzał rewolwer po to, aby móc dobić topiącą się Miss Denverley. Jej zgon musiałby wyglądać zupełnie niewinnie i przypadkowo. Nasz inżynier był przecież wybitnym specjalistą od nieszczęśliwych wypadków. Nie, ten strzał mógł paść dopiero przy spotkaniu Andrews z kimś innym, z kimś, kto w Seaside Garden zjawił się zupełnie dla gospodarza nieoczekiwanie. I tu znów ślad prowadzi nas do Whitehorna.

- Przekonałeś mnie, Jim. Miss Denverley wygląda już zupełnie kryształowo... Ale skąd, u licha, wiedziałeś, że Whitehorn nie zginął i że to właśnie on zjawił się w charakterze mściciela?

- A gdzie poza klamką i sztyletem brakowało odcisków palców? - Brent sparzył się dopalonym papierosem i szybko zdusił niedopałek w popielniczce. - Na albumie, który Whitehorn podarował kiedyś Andrewsowi! Brakowało też strony z dedykacją. Mój kochany, tę stronę mógłby ostatecznie zniszczyć Andrews, ale już po wizycie Maureen Denverley.

Przecież ona musiała ją widzieć i dopóki żyła, byłoby to dla naszego bohatera niebezpieczne. Wiemy, że morderca przeszkodził inżynierowi wezwać pokojówkę, co na pewno było pilniejsze niż niszczenie dedykacji. A jednak dedykacja zniknęła, Kto poza Andrewsem, mógł mieć w tym interes? Tylko Whitehorn, o ile nie zginął. Ale przecież jego ciała nie znaleziono. To dawało do myślenia. Ponadto, mówiłem już, że w książce ofiarowanej Maureen, Dawson napisał dedykację pismem technicznym. Miss Denverley powiedziała też kiedyś, że Dawson ostatnio gwałtownie się postarzał. Gdy widywała go w Sydney, wyglądał młodziej i nie miał siwych włosów. Czyżby trochę ucharakteryzował się na podróż do Londynu? To wydawało się dość prawdopodobne. Więc jeśli tak, to w jakim celu? Oczywiście po to, aby nie rozpoznali go ludzie, których tu kiedyś znał.

- To jest niesamowite - szepnęła Maureen. - Pan naprawdę czyta w ludzkich myślach, Mister Brent.

- Żebyś wiedziała! - dodała z przekonaniem Anna. - Jako żona wiele mogę o tym powiedzieć. Nic przed nim nie można ukryć! To czasem bywa bardzo trudne do zniesienia.

- Czyżbyś zamierzała się rozwieść, moja droga? - Brent spojrział na żonę z rozbawieniem.

- Nie. Zdążyłam się już przyzwyczaić - uśmiechnęła się Anna. - Zresztą odrobina trudności w życiu nadaje jego blaskom właściwego urok... Ale powiedz wreszcie, Jim, dlaczego ten wstrętny Andrews chciał zabić Maureen. Przecież ona mu nic złego nie zrobiła.

- Tak, ale on się bał - odparł z naciskiem Brent. - Bał się tego, co Maureen już wie, i tego, czego się jeszcze może dowiedzieć. Oczywiście, gdy pisał do niej do Sydney, nie miał wobec dziewczyny żadnych krwawych zamiarów. Wiedział tylko, że w domu Hodgarchy'ego mogą się znajdować jakieś obciążające go materiały. Już choćby losy klubu samobójców, nie mówiąc o innych dokumentach. Dlatego chciał się dostać do Timbergate pod pozorem pomocy młodej i niedoświadczonej dziewczynie. Wtedy zaś przeszukałby dokładnie spuściznę po Christopherze Hodgarchy'm, zanim Maureen zdążyłaby się czegokolwiek

dotknąć. Ale miał pecha, bo Maureen przyleciała samolotem i trafiła do Timbergate bez jego opiekuńczego wsparcia. Kiedy zaś on sam się tam zjawił, dowiedział się, że Maureen zdążyła już przejrzeć papiery ojczyma i zorientował się, że chce ona ustalić prawdziwą przyczynę śmierci Christophera Hodgarthy'ego.

Maureen chodziło przede wszystkim o to, czy ojczym nie popełnił samobójstwa z powodu wyrzutów sumienia spowodowanych przyśpieszeniem śmierci swej żony. Ale Andrews zrozumiał to opacznie. Pomyślał, że dziewczyna wpadła prawdopodobnie na trop klubu samobójców.

W kalendarzu Hodgarthy'ego z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego musiały być jakieś notatki o tym przedsięwzięciu. Dlatego Andrews zabrał go z biurka Hodgarth'ego podczas swej nocnej wizyty.

- Tak jest - potwierdził nadinspektor. - Okładkę od tego kalendarza znaleziono podczas rewizji w Seaside Garden. Oczywiście, była w biurku u Andrews'a.

- No właśnie - pokiwał głową Brent. - Andrews nie wiedział przecież, czy Maureen zaglądała do tego kalendarza. Jej zachowanie sugerowało mu taką możliwość.

- Och, tak - powiedziała Maureen Denverley. - Teraz sobie przypominam. Kiedy rano spotkaliśmy się w hallu i odprowadziłam go do garażu, on zaczął coś mówić o Chrisie. I wtedy ja powiedziałam, że bardzo się zastanawiam, czy też wypadek na torze nie był umyślny. Pan Andrews zapytał, dlaczego tak myślę. Był tym bardzo poruszony. Ale ja nie chciałam mówić, czego się obawiam. Powiedziałam, że to takie niejasne przecucie, nic konkretnego. On popatrzył na mnie uważnie i zaraz zmienił temat.

- No widzi pani - Brent uśmiechnął się usatysfakcjonowany.

- W dodatku wręczenie mu przez panią albumu ze zdjęciami z Alp dopełniło miary. Ta książka była dowodem zażyłości, jaka łączyła Andrews'a z Whitehornem w latach pięćdziesiątych. Zażyłości, której ujawnienie też mogłoby być dla niego niebezpieczne. Ale to już dłuższa historia i nie chce mi się jej jeszcze raz opowiadać.

- W takim razie ja cię wyręczę - zaproponował wspaniałomyślnie Stanicy Kevel. - Miss Denverley należy się rzetelna relacja o prawdzie ostatnich lat życia jej ojczyrna. Usłyszysz ją pani ode mnie tytułem rekompensaty za doznane niedawno krzywdy moralne.

Gdy nadinspektor skończył opowieść o klubie samobójców, pierwsza odezwała się Anna Brent.

- A więc te kule, które znalazłam w chińskiej wazie, były losami samobójców?! Nic dziwnego, że nie domyśliliśmy się wtedy, do czego służyły.

- A właśnie - ożywił się Kevel. - Miałaś rację, Jim. Moi eksperci wyjaśnili, w jaki sposób namagnesowane kule mogą się nie przyciągać. Mam nawet przy sobie wyniki magnetycznego i materiałowego badania, jakiemu je poddano. Otóż każda z kul białych mieści w sobie sześć prostopadłościennych magnesów ułożonych jakby w gwiazdkę. Cały dowcip polega na tym, że magnesiki te zostały najpierw namagnesowane, a dopiero potem ułożone w materiale wypełniającym kulę tak, żeby każdy z nich zwrócony był tym samym biegunem do powierzchni kulistej.

Na to wszystko nałożony został cienki metalowy płaszcz stanowiący zewnętrzną powłokę kuli. Ponieważ w każdej z pięciu kul zastosowano ten sam sposób ułożenia magnesów pod względem ich biegunowości, zaś materiał wypełniający i powłoka kul były magnetycznie obojętne, więc kule nie przyciągały się, a odpychały. A biorąc pod uwagę kształt kul, właściwość ta była, praktycznie rzecz biorąc, niezauważalna. Nikt bowiem nie może się dziwić, że kule wyjęte z worka rozbiegają się po stole, bo to jest zjawisko przy takim kształcie normalne.

- No dobrze, pomijając te szczegóły techniczne interesuje mnie jedno - odezwała się Anna. - Dlaczego te kule były w wazie? Czyżby Christopher Hodgarthy nie mógł dla nich znaleźć lepszej kryjówki?

- Ależ to wcale nie Hodgarthy je tam włożył - wyjaśnił James. - Podczas swojej nocnej wizyty Andrews zapewne znalazł je w biurku. I oczywiście chciał je zabrać ze sobą. Ale nagle

spłoszyły go czyjeś kroki na górze. Złakł się, że może kogoś spotkać, gdy będzie z tym workiem wracał do swojego pokoju. Był on za duży, żeby go schować do kieszeni. Dlatego Andrews wrzucił worek do wazy i miał zamiar zabrać go stamtąd tuż przed wyjazdem. Ale gdy rano, z neseserem w ręce, wkroczył do biblioteki, zastał tam mnie. Rad nierad musiał więc kule zostawić.

- Mój Boże, jakie to wszystko okropne - powiedziała Maureen półgłosem. - Teraz rozumiem, dlaczego Chris miał wyrzuty sumienia, skąd się wzięła w jego domu chińska porcelana i dlaczego właśnie te, a nie inne strofy zakreślił on w „Ryszardzie Trzecim”. Musiał bardzo źle myśleć o sobie i o całym tym przedsięwzięciu, które miało go kosztować życie, tak jak przedtem kosztowało już jego kolegów.

„*Tak z woli Boga źli ludzie zwracają ostrze swych mieczów przeciw sobie samym*”. Trudno znaleźć lepsze słowa na określenie myśli, które musiały dręczyć biedaka przed śmiercią... Jak pan sądzi zwróciła się do Kevela - czy Chris byłby zadowolony, gdybym tę porcelanę przekazała do British Museum?

- Hm - chrząknął zakłopotany nadinspektor - o tym trudno mi doprawdy wyrokować. Ale myślę, że z pani strony byłby to rzeczywiście piękny i słuszny gest.

- Czego nie przewidzieliśmy?

- Temperamentu panny Denverley, mój drogi. Tak okropnie musiała się zdenerwować usłyszonymi oszczerstwami na temat swego ojczyma, tak obrzydliwym i niebezpiecznym człowiekiem wydał się jej Andrews, że straciła głowę. Porwała z biurka nóż do papieru i zanim się opamiętała, Andrews już nie żył.

- Ale czy twoim zdaniem silny jeszcze mężczyzna, w dodatku były komandos, dałby się tak łatwo zadźgać dziewczynie? - W głosie Brenta zabrzmiała nuta sceptyzmu.

- Ależ on się tego wcale nie spodziewał, Jim! Nie przyszło mu to do głowy ani przez chwilę! Patrzył na Maureen Denverley jako na swoją ofiarę. Jej śmierć miała być już przecież kwestią minut. Tymczasem nagle ofiara stała się mordercą, a morderca ofiarą...

(fragment)

